

C Z A S D I A L O G U

Ingarden, Koźmiński, Pietraszkiewicz, Rychard, Szczepłek, Świderski, Wiącek

MAGAZYN

Teraz Polska

nr 2(40), 2023



TERAZ POLSKA



ISSN 2299-1395



Światło Cię Uniesie

Okna, które zmieniają dom



Okna FAKRO | INNOVIEW powstały z połączenia drewna i aluminium, co wpływa na ich wyjątkową trwałość i daje możliwość tworzenia ogromnych przeszkleń. Naturalne drewno zapewnia ciepły klimat wnętrza oraz ponadczasową estetykę, a wysoka energooszczędność obniża rachunki za ogrzewanie. Okna są unikatowe, ponieważ każde wytwarzane jest na indywidualne zamówienie z szeroką możliwością personalizacji.





Wspólnota i dialog

Tegoroczny okres przedświąteczny naznaczony jest atmosferą zmiany, również politycznej. Nastroje po obu stronach – dosyć intensywne. Warto zatem sięgnąć po kojącą moc klasyki i wspomnieć Arystotelesa, który mawiał, że „polityka to rodzaj sztuki rządzenia państwem, której celem jest dobro wspólne”. Ta piękna definicja była możliwa, ponieważ dla wspomnianego filozofa właśnie pojęcie wspólnoty było kluczowe podczas rozważań politycznych. Wykuwała się ona w toku dialogu, który jest wielkim dziedzictwem kultury ludzkości i jest także głównym tematem obecnego wydania naszego czasopisma. A czy dziś powinniśmy się owymi pojęciami posługiwać? Czy pozostają adekwatne w obecnych czasach? W mass mediach kreowany jest raczej obraz odwrotny: epatowanie podziałami, narracja społecznego chaosu. Możemy odnieść wrażenie, że dalej nam do wspólnoty i dialogu niż kiedykolwiek w historii. A przecież są nam one niezbędne, są dla nas jedynym wyjściem.

Moim zdaniem ducha epoki determinują trzy przemiany cywilizacyjne, które rozgrywają się właśnie na naszych oczach. Pierwsza przemiana dzieje się wokół nauk medycznych, biologicznych, biotechnologii; omawiana jest m.in. pod hasłem „One Health – Jedno Zdrowie”. Druga przemiana polega na coraz mniej kontrolowanej ekspansji świata cyfrowego, na czele z dokonującym się projektem tworzenia sztucznej superinteligencji. I w końcu ostatnią wielką przemianą i równocześnie wyzwaniem jest określenie na nowo miejsca dla nas – ludzi

– w świecie zdeterminowanym przez dwie wcześniejsze rewolucje.

Bez myślenia w kategoriach dobra wspólnego i bez dążenia do porozumienia na drodze dialogu powyższe przemiany obrócą się przeciwko nam. I tu odniosę się na chwilę do polityki. Senator Adam Szejnfeld, członek Kapituły „Teraz Polska”, pisze w felietonie dla magazynu, że „nic tak nie jest potrzebne, jak powrót do rozmowy, przystąpienie do dialogu i rozpoczęcie odbudowy wspólnoty”. Autorytet intelektualny prof. Andrzej Rychard, którego mamy zaszczyt gościć regularnie na naszych łamach, twierdzi w obecnym numerze magazynu, że „polityka dogania społeczeństwo”. Niezbędne jest, by doganiała również rzeczywistość i dostrzegała, że w obecnej sytuacji budowanie wspólnoty i warunków do dialogu winno się znaleźć wśród celów pierwszoplanowych.

Przemiany społeczno-gospodarcze, które w związku z powyższym nas czekają, trudno sobie również wyobrazić bez uwzględnienia aktywnej roli naszych przedsiębiorców. To im w dużej mierze zawdzięczamy skok rozwojowy będący następstwem ostatniej transformacji ustrojowej. Dziś bez niezbędnych ułatwień prawnych i systemowego wspierania krajowego biznesu nie możemy liczyć na wysoką lokatę w owym wyścigu do przyszłości.

Życzę Państwu inspiracji podczas lektury naszego magazynu, a z okazji nadchodzących Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku – zdrowia, sukcesów, przyjaźni, miłości. I oczywiście – dobrego dialogu i odbudowania wspólnoty.

Krzysztof Przybył

*Redaktor naczelny
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”*

Temat numeru

- 6 **Polityka dogania społeczeństwo.** Esej *Andrzeja Rychara*
10 **Moim priorytetem jest rozpatrywanie skarg obywateli.**
Z prof. **Marcinem Wiąckiem** rozmawia *Kamil Broszko*.

Gospodarka

- 15 **Katastrofa jest możliwa, ale ciągle jeszcze mało prawdopodobna.**
Z prof. **Andrzejem K. Koźmińskim** rozmawia *Kamil Broszko*.
20 **Polski sektor bankowy jest nadmiernie obciążony.**
Z **Krzysztofem Pietraszkiewiczem** rozmawia *Kamil Broszko*.
26 **Wysoka jakość, prestiż marki i nowe pojmowanie patriotyzmu**
– wyniki sondażu „Teraz Polska”. *Kamil Broszko*
30 **Godło „Teraz Polska” z rekordową rozpoznawalnością.** *Michał Lipiński*

Polacy

- 32 **Chciał, aby życie na wodzie było bardziej komfortowe.**
Sprzedaje luksusowe houseboaty na całym świecie.
Z **Witoldem Witkowskim** rozmawia *Kamil Broszko*.
36 **Ekskluzywne polskie wina owocowe podbijają świat.**
Z **Marcinem Bańcerowskim** rozmawia *Kamil Broszko*.
39 **Beneficjentami naszej technologii są lekarze i pacjenci.**
Z **Krzysztofem Mędrałą** rozmawia *Kamil Broszko*.

Idee

- 42 **Debata „Teraz Polska” na Kongresie Zdrowie Polaków 2023.**
Marzena Tataj
46 **Ekorelacje i ekokomunikacja w przestrzeni i na płaszczyźnie.**
Z **Witem Bogusławskim** rozmawia historyk sztuki
Irmína Dubaniowska-Kutek.
50 **O siostrzeństwie polskich rzeźbiarek.**
Z dr **Ewą Ziemińską** rozmawia *Marzena Tataj*.
56 **Śmiej się, powiedz, że jest to rok fantastyczny.**
Z **Sebastianem Świdorskim** rozmawia *Krzysztof Przybył*.

Regiony

- 60 **Dialog poprzez architekturę.**
Z prof. **Krzysztofem Ingardenem**
rozmawiają *Marzena Tataj* i *Kamil Broszko*.
65 **Chcemy, by odwiedzało nas milion turystów rocznie.**
Z **Bartłomiejem Szewczykiem** rozmawiają *Marzena Tataj* i *Kamil Broszko*.
69 **Promotorzy Polski są wśród nas. Trzeba ich pokazać.** *Marzena Tataj*
71 **O sporcie z humorem i honorem.**
Janusz Zaorski, Andrzej Person, Stefan Szczepłak, Krzysztof Przybył.

Felieton

- 73 **Słowo.** *Adam Szejnfeld*
74 **Polski dialog obumiera.** *Marcin Rosołowski*



MAGAZYN
FUNDACJI
POLSKIEGO GODŁA
PROMOCYJNEGO

www.terazpolska.pl

Magazyn
TERAZ POLSKA

Redaktor naczelny:
Krzysztof Przybył
Redaktor prowadzący:
Marzena Tataj
Redakcja:
Kamil Broszko
Okładka:
Wit Bogusławski

Adres redakcji:
ul. Górskiego 1,
00-033 Warszawa
tel. 22 201 26 90
e-mail:
m.tataj@terazpolska.pl
www.terazpolska.pl

Wydawca:
Fundacja Best Place
– Europejski Instytut
Marketingu Miejsc
na zlecenie
Fundacji Polskiego
Godła Promocyjnego
„Teraz Polska”
www.bestplaceinstitute.org

**Projekt graficzny
i skład:**
Tamburyn, www.tamburyn.eu

Korekta:
Kamil Broszko

Druk:
KRM Druk Sp. z o.o. Sp. k.

POLSKIE LINIE LOTNICZE

LOT

A STAR ALLIANCE MEMBER 

Ważne, z kim podróżujesz

Z rodziną lub znajomymi. Podróżując po świecie, Europie czy Polsce. Od lat lub po raz pierwszy. Spełniając marzenia lub rozwijając biznes.

Z nami zawsze będziesz się czuć bezpiecznie i komfortowo. Zapraszamy na nasze gościnne pokłady.

Sprawdź

lot.com

Polityka dogania społeczeństwo

Rządząca do wyborów w 2023 r. Zjednoczona Prawica przeszła ogromną ewolucję. Od zwycięstwa zapewniającego rządnienie do zwycięstwa będącego w istocie porażką, bo rządu nie zapewnia. Co to znaczy, poza kolejnym wynikiem wyborczym?¹

Andrzej Rychard

Są takie poglądy, że póki w wyborach można odrzucić autokrację, to znaczy, że jeszcze demokracja nie zginęła. I zapewne taki jest też sens wyniku wyborów parlamentarnych. Ale u jego podstaw leży chyba jeszcze głębszy sens: wybory ukazały, że polska polityka zaczyna doganiać zmiany społeczne. Mawia się, że ostra polaryzacja polskiej polityki odzwierciedla istnienie dwóch Polsk, z grubsza odpowiadających dwóm podstawowym siłom na naszej scenie politycznej: Zjednoczonej Prawicy i demokratycznej opozycji. Zjednoczonej



Andrzej Rychard – socjolog, profesor nauk humanistycznych, wykładowca akademicki. Ukończył studia z zakresu socjologii na Uniwersytecie Warszawskim. Zawodowo związany z Instytutem Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk, jest dyrektorem tej jednostki. Był członkiem zarządu Fundacji im. Stefana Batorego, a także wykładowcą na Wydziale Nauk Humanistycznych i Społecznych Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. Autor wielu prac dotyczących socjologii instytucji politycznych, gospodarczych i socjologii transformacji, komentator życia publicznego w mediach.

Prawicy, w tym jej głównemu organizmowi, jakim jest PiS, bliżej do Polski z mniejszych miejscowości, grup słabiej sytuowanych, do Polski mniej tolerancyjnej, dość konserwatywnej, zaś oponentom, reprezentowanym głównie przez Koalicję Obywatelską, bliżej do Polski z większych miast, relatywnie nieco lepiej sytuowanej, z silniejszą obecnością wartości modernizacyjnych i liberalnych. Oczywiście to podział uproszczony, zapewne najsilniejszy na poziomie polityki i mediów, a na poziomie społeczeństwa, lokalnie, chyba trochę słabnący. Nie bardzo wierzę bowiem w te słynne porzekadła o podziałach dzielących stoły wigilijne itp. Tym niemniej polaryzacja jest faktem.

Do czasu wyborów parlamentarnych w polskiej polityce lepszą reprezentację miała Polska mniej zmodernizowana. Bo i w sporym stopniu taka była struktura naszego społeczeństwa – zarówno demograficzna, jak i „świadomościowa”. Ale już od lat w tej strukturze zachodziły istotne zmiany, na które jako socjologowie zwracaliśmy uwagę. Rósł poziom wykształcenia: od ok. 7 proc. osób z wyższym wykształceniem w końcu lat 80. do ponad 23 proc. wśród ogółu ludności w wieku 13 lat i więcej (spis powszechny z 2021 r.). Społeczeństwo stawało się coraz bardziej świeckie – tu wiele wskaźników świadczy choćby o malejącym uczestnictwie w mszach, mniejszej liczbie powołań czy wreszcie wprost o malejącym odsetku deklarujących wiarę w Boga (z 94 proc. w 1992 r. do 87 proc. w 2021 r., szczególnie szybko maleje religijność wśród młodych – dane CBOS). Zarazem rośnie, choć powoli i z nierównościami, poziom materialny społeczeństwa i utrzymuje się bardzo silne poparcie dla naszej obecności w Unii Europejskiej. To wszystko zmiany w kierunku szeroko pojętej modernizacji.

Ale gdy zwracałem na to uwagę, kontrowano – skądinąd nie bez racji – moje opinie: mówisz i mówisz o tej modernizacji, a rządzi PiS. W końcu to zaczęło się zmieniać i procesy strukturalne pomału penetrują politykę i określają jej kształt. Dane z Europejskiego Sondażu Społecznego z 2022 r., realizowanego w Polsce od lat przez Instytut Filozofii i Socjologii PAN, dobitnie ilustrują te trendy. W ciągu ostatnich czterech lat bardzo wzrosła akceptacja dla obecności imigrantów w Polsce czy dla mniejszości seksualnych („wstyd” z powodu obecności takiej osoby w rodzinie deklarowało w 2018 r. 33 proc. społeczeństwa, a w 2022 r. – 13 proc.). Zarazem rosło zainteresowanie polityką i jakąś formą udziału w życiu publicznym, a malało poczucie, że są ku temu możliwości. Rozwierały się nożyce między chęcią

obywatelskiej i politycznej partycypacji a jej możliwościami, czyli powstawało coś w rodzaju obywatelskiej frustracji.

Brakowało jednak impulsu, okazji. Rolę tę spełniły wybory. Dla socjologa to, co wydarzyło się w Polsce i wciąż się dzieje, to fascynujące zjawiska. Dla mnie najciekawsze w nich jest właśnie przenikanie się logiki głębszego, długoterminowego procesu społecznego (modernizacja społeczeństwa) i nie do końca przez ten proces zdeterminowanej polityki. Chodzi o interakcję tego, co trwałe i jakoś przewidywalne, z tym, co zmienne i często nieoczekiwane. A zjawisk nieoczekiwanych jest w naszym życiu społecznym wiele. Miałem okazję pisać na tych łamach („Magazyn Teraz Polska”, nr 2/38, 2022), jak potężne jest to, co nieoczekiwane. I ostatnie wybory wykazały, że nieprawdą jest, że istnieje jakiś konieczny trend, nieuchronny proces w kierunku antyliberalizmu jako reakcja na lata proliberalizmu. Przeciwnie, wiele zależy od wyniku wyborczego, tak jak wiele zależało od niewielkiego w końcu zwycięstwa PiS w 2015 r. Co więcej, jeśli zachodzi już jakiś proces, to chyba właśnie powolny, ale widoczny kierunek proliberalny i promodernizacyjny w strukturze polskiego społeczeństwa. I to wybory były punktem, w którym zbiegły się kierunek procesu strukturalnego i jego polityczne odzwierciedlenie. Ale to nakazuje nam pamiętać, że takie korzystne zbiegnięcie się nie jest historycznie konieczne – przecież nadal mogło być tak, że ta nowocześniejsza Polska pozostanie bez swej politycznej reprezentacji. I jeśli nowy, tworzony przez dotychczasową opozycję rząd zawiedzie, wówczas znów ta modernizująca się część Polski może zostać bez swej politycznej reprezentacji.

Tym, co wspomogło ów długofalowy proces społeczny w odnalezieniu swego wyrazu politycznego, była mobilizacja. Mobilizacja o wielostronnym charakterze.

Przede wszystkim ewolucję przeszły rozmaite ruchy protestu. Pamiętamy poruszenie obywatelskie sprzed paru lat w trakcie protestów wobec zamachów na sądy czy zamiarów kryminalizacji aborcji. Ale protesty te nie przekładały się na politykę, nawet więcej: ich organizatorki i organizatorzy niechętnie widzieli polityków jako uczestników. To się zmieniło. Być może także pod wpływem polityków: Donald Tusk bardzo mocno nawoływał do mobilizacji, choćby w trakcie dwóch z sukcesem zorganizowanych marszów. Kierował wszak swe apele nie tylko do ich uczestników, ale także – a może przede wszystkim – do tych, którzy zostali w domach. Kolejnym czynnikiem mobilizującym społeczeństwo obywatelskie było jego coraz silniejsze instytucjonalizowanie się. To rola wielu organizacji pozarządowych (zwraca na to uwagę na przykład Zofia Letkiewicz z Fundacji Odpowiedzialna Polityka), już nie wyłącznie spontanicznych działań. Przy czym (i dziękuję za tę uwagę Ireneuszowi Krzemińskiemu) często to była instytucjonalizacja nowego typu, nie tylko używająca formalnych instytucji, na przykład trwała i aktywna obecność

w tzw. mediach społecznościowych². Kolejnym świadectwem wzrostu i dojrzwania obywatelskiej aktywności była pojawiająca się uważność w podejmowaniu decyzji wyborczych. Nie mam tu żadnych systematycznych danych, ale do mnie samego kilkakrotnie zwracali się znajomi, jakoś konsultując pomysły głosowania na konkretne osoby na liście, niezależnie od ich miejsca. Już nie lista była ważna, a osoby ze swymi pomysłami i programami. Ludzie stali się bardziej rozważni i konkretni, dokonując wyboru. Ale to oznacza i tyle, że tacy też będą, dokonując oceny i rozliczania nowych rządzących. Nic na kredyt.

Wszystko to pokazuje, że chyba powoli traci swą adekwatność określenie Anny Gیزی-Poleszczuk sprzed lat o „chałupniczym społeczeństwie obywatelskim” w Polsce. Czyli raczej nieformalnym, lokalnym i spontanicznym. Ono już się zmienia, staje się chyba jakoś trwalsze i umie komunikować się z polityką. W rezultacie widzieliśmy ogromną mobilizację, szczególnie grup najbardziej progresywnych. To młodzi, gdzie partycypacja w grupie 18–29 lat wzrosła z 46 proc. w 2019 r. do blisko 69 proc. w roku 2023 (sondaż exit poll IPSOS). To też kobiety, które uczestniczyły w wyborach częściej niż przedtem.

Jedną z przyczyn tej mobilizacji, tak wyraźnie widocznej w grupach progresywnych (młodzi i kobiety), jest, paradoksalnie, świadoma polityka PiS, która obróciła się przeciw temu ugrupowaniu. PiS bowiem po błędnym odseparowaniu polityki od życia ludzi przez PO (słynne billboardy typu: „Nie róbmy polityki, budujmy szpitale”) szybko związało politykę z codziennością. Najpierw z korzyścią dla siebie (ja, polityk, daję ci 500 plus). Ale potem obróciło się to przeciw nim – gdy kobiety zobaczyły, jak kryminalizacja aborcji przez politykę wpływa na ich indywidualną wolność. A gdy młodzi dostrzegli, jak polityka wpływać może na przykład na ich europejskie wolności związane z przemieszczaniem się, sami też się ruszyli – Europa to przecież dla nich codzienność życiowa.

Co ciekawe, opozycja demokratyczna starała się owo społeczeństwo mobilizować, przyciągając do aktywności na przykład grupy do tej pory słabiej uczestniczące w życiu politycznym czy też niezdecydowane. To była taktyka otwierania się. Przeciwną wybrało PiS – raczej zamykało się i demobilizowało niezdecy-

¹ W tekście wykorzystuję pewne idee zawarte w wypowiedzi w debacie powyborczej Fundacji im. Stefana Batorego

² Nawiasem mówiąc, uważam za bardzo niefortunne polskie tłumaczenie angielskiego terminu „social media”. To właśnie „media społeczne”, o ogromnych zasięgach łączących to, co lokalne, z wręcz globalnym, dalece wykraczające poza „społecznościowy” charakter, które to słowo sugeruje wyłącznie lokalność typu: ja z sąsiadem coś sobie piszemy razem.



© PAPIŁUKASZ GAGULSKI

dowanych. Tak jakby w brutalności swej kampanii miało ukryty przekaz: zobaczcie, ta polityka taka brudna, lepiej zostańcie w domu. Kto wie, czy ten podział pracy między mobilizowaniem i demobilizowaniem nie był jakoś racjonalny, bo – jak pokazują na przykład badania CBOS – niezdecydowani to raczej osoby o poglądach centrowych i lewicowych, tak więc mający większy potencjał dla opozycji demokratycznej niż dla PiS.

Dla mnie ważnymi sygnałami, że coś dzieje się w sferze obywatelskiej przed wyborami, były nawet nie wyniki sondaży, co pewne twarde dane o zachowaniach przedwyborczych. Dane o ogromnym wzroście osób rejestrujących się do głosowania za granicą, dane o osobach chcących (słusznie lub nie) głosować poza miejscem zamieszkania w przekonaniu, że tam ich głos znaczy więcej – to były interesujące wskaźniki. Coś wisiało w powietrzu. I zmaterializowało się w wyniku wyborczym.

W przypadku rządu tworzonego przez dotychczasową opozycję bezmiar zadań jest ogromny. Przede wszystkim, nim zaczęliśmy krytycznie nowe rządy rozliczać, musimy wziąć pod uwagę, że zmierzają one z potężnym dziedzictwem PiS. Partia ta stworzyła bowiem całociowy system: od idei, przez instytucje, do praktyk. To właśnie system PiS powodował, że zmiana przez PiS dokonywana dalece wykraczała poza zmianę rządu czy polityki. Była zmianą ustrojową, z zaczątkami wręcz zmiany cywilizacyjnej.



Kraków, 15 października 2023 r. Wybory parlamentarne. Kolejka osób oczekujących na oddanie głosu w siedzibach obwodowej komisji wyborczej (nr 122, 123 i 124) w Krakowie.

Na poziomie idei system PiS ma dwa ważne elementy. Pierwszy to szczególny rodzaj konserwatywnej modernizacji. Z Zachodu bierzemy to, co materialne, ale duchowości nam nie ruszajcie. Ten model, który kiedyś nazwałem modelem husarza w elektrycznym samochodzie, ignoruje jednak, że już od czasów Maxa Webera wiemy, że duch, czyli wartości, jest niezbędny także dla rozwoju materialnego. Husarz nie pojedzie elektrykiem, zapewne go w ogóle nie zbuduje. Drugi element to na przykład zawarte w programie PiS z 2019 r. przekonanie, że tak naprawdę dla Polaków ważne są dwa poziomy: naród i rodzina. A środek, czyli to, co pomiędzy, zasługuje na mniejszą uwagę. Czyli świat instytucji jest mniej ważny, bo one są wszak w środku. Zaskakująco przypomina to diagnozę dokonaną przez wybitnego socjologa Stefana Nowaka już wiele lat temu w odniesieniu do Polski lat 70. i 80. Nowak pisał o „próżni społecznej”, czyli właśnie o pustce w owym środku. Tyle że jego opis był smutną diagnozą rzeczywistości, a w programie PiS jawi się jako stan pożądany!

Na poziomie instytucji to oczywiste próby niszczenia i przebudowy instytucji demokracji liberalnej i próby konsolidowania tego systemu. Ale cały czas napotykały one na przeszkody

w postaci procesów dekonsolidacyjnych – w wyniku protestów czy wewnętrznych napięć. Co prawda te zjawiska dekonsolidacyjne były osłabiane, więc system jakoś się kleił. Głównie dlatego, że wiele osób nie łączyło kropek, nie widziało całości obrazu. I na to władza – jak to często władza – liczyła. A po części dlatego, że nawet ci, którzy widzieli związki między różnymi zjawiskami, byli skłonni wybaczać to, co złe, także w wyniku profitów socjalnych. I tak powoli trwało ścieranie się integracji z dezintegracją i kto wie, czy kiedyś system instytucji, ta wciąż swoista hybryda, nie nabrałby jakiejś w miarę spójnej tożsamości.

Z kolei na poziomie praktyk liczyły się przede wszystkim kadry. To one miały realizować wolę polityczną. Ale tu zachodziła interesująca ewolucja, świadcząca o swoistym dojrzewaniu systemu PiS. Otóż o ile na początku kadry były najważniejsze, a istniejące instytucje liberalnej demokracji były istotne głównie jako obiekt do psucia i obsadzania swoimi, to po pewnym czasie PiS zrozumiało znaczenie instytucji: zaczęło budować własne. Całe imperium, nie tylko spółek Skarbu Państwa, ale też niby-pozarządowych organizacji, różnych „narodowych” instytutów, zaczęło rosnąć. To wciąż wymaga monitoringu i analiz. Ale jest to cała sieć, ogólnokrajowa, do której płyną duże strumienie pieniędzy. Tak jakby PiS – o ironio – stosowało apel Jacka Kuronia z lat 80.: „Nie palcie komitetów, budujcie własne”. W ten oto sposób ewolucja na poziomie praktyk zmieniła też poziom instytucji. A instytucje trudniej zmienić niż same praktyki – i to nowa ekipa też musi brać pod uwagę.

Właśnie ten całościowy, spójny system (idee, instytucje, praktyki) został zakwestionowany w wyborach. Spotyka się niekiedy pogląd, że PiS przegrało przez błędy w kampanii. Nie zgadzam się. Kampania PiS była perfekcyjna i prawdziwa. Perfekcyjnie i prawdziwie pokazywała bowiem naturę PiS. Była uczciwa w szczególnym sensie – bo uczciwie pokazywała nieuczciwość PiS i sojuszników. I to właśnie zostało odrzucone. PiS przegrało nie przez kampanię. PiS przegrało przez PiS.

•

Czy proces doganiania społeczeństwa przez politykę jest trwały? Czy mobilizacja przetrwa? Nie wiem. Jest niestety możliwe, że strukturalny proces modernizacji utraci swą polityczną reprezentację. To właśnie jest rola nieoczekiwanego, tego, co w socjologii organizacji nazywa się kontyngencją, czyli – w uproszczeniu – zależnością od zjawisk nieoczekiwanych, których prawdopodobieństwo trudno rozpoznać. Ale jedno wydaje się w miarę pewne: jeśli ci młodzi, kobiety – generalnie obóz zmobilizowanych – poczują się zawiedzeni, to dla Polski będzie źle. Oni są przyszłością. A mogą odejść. Niektórzy zamkną się w domach, inni dadzą sobie radę na przykład za granicą. Utrata ich kompetencji, motywacji i zaangażowania to utrata szans dla nowej Polski. Oby tak nie było.

Moim priorytetem jest **rozpatrywanie skarg obywateli**

- Gdybym miał wskazać, z czym najczęściej zwracają się do Rzecznika obywatele, to powiedziałbym, że z wnioskami o złożenie skarg na prawomocne orzeczenia sądowe w sprawach karnych, cywilnych, rodzinnych czy konsumenckich.
- Należy niezwłocznie zmienić podstawy ustawowe kreowania składu Krajowej Rady Sądownictwa i uchylić przepisy pozwalające na dyscyplinarne karanie sędziów za treść wydawanych przez nich orzeczeń.
- Kwestią, którą traktuję priorytetowo, są prawa osób z niepełnosprawnościami. To moim zdaniem grupa najbardziej narażona na wykluczenie społeczne. Staram się uświadomić władzy, że wsparcie tych ludzi to nie tylko świadczenia finansowe.
- Prawo międzynarodowe wypracowało standardy, jakie powinny być stosowane wobec osób nielegalnie przekraczających granicę. Nie spełniają ich przepisy pozwalające na zawrót do granicy (zwane pushbackiem), wprowadzone do polskiego prawa w 2021 r.
- W każdej szkole powinien pracować psycholog, każda szkoła powinna współpracować z poradnią psychologiczną. Naprawa sytuacji w tym obszarze jest niezwykle pilna.

Z prof. **Marcinem Wiąckiem**, rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Jakie są obszary zainteresowania i interwencji, w których działa teraz Rzecznik Praw Obywatelskich?

Marcin Wiącek: Moim priorytetem jest rozpatrywanie skarg obywateli. Zgodnie z art. 80 Konstytucji każdy ma prawo zwrócić się do RPO, jeśli uważa, że władza publiczna naruszyła jego wolności lub prawa. Rzecznik jest dla wielu osób ostatnią deską ratunku, gdy w sprawie nie pomoże sąd czy administracja. Dlatego staram się tak organizować pracę – moją i mojego biura – aby wyeliminować zaległości i doprowadzić do tego, że każda skarga spotka się z reakcją Rzecznika w ciągu maksymalnie kilku tygodni. Nie może być tak, że obywatel czeka na odpowiedź rok czy nawet kilka lat, a takie sytuacje niestety się zdarzały. Wiele się udało w tym zakresie już zrobić, przede wszystkim dzięki postawie i zaangażowaniu osób, z którymi mam zaszczyt współpracować w moim biurze. A spraw jest bardzo dużo. W 2023 r. liczba skarg do Rzecznika przekroczy 80 tys., co będzie rekordem w historii funkcjonowania tego urzędu.

Gdybym miał wskazać, z czym najczęściej zwracają się do Rzecznika obywatele, to powiedziałbym, że z wnioskami o złożenie skarg na prawomocne orzeczenia sądowe w sprawach karnych, cywilnych, rodzinnych czy konsumenckich. Wynika to z faktu, że często obywatel nie może wnieść kasacji czy skargi kasacyjnej do Sądu Najwyższego, bo nie pozwalają mu na to przepisy. Możliwości RPO są w tym zakresie dużo szersze. Poza tym obywatel nie może samodzielnie złożyć tzw. skargi nadzwyczajnej do SN – mogą to uczynić w zasadzie tylko rzecznik i prokurator generalny. Dodam w tym kontekście, że z uwagi na niezwykle rozbudowaną współpracę RPO z sądami od początku mojego urzędowania apeluję o przywrócenie sądom odpowiednich gwarancji niezależności, a sędziom – niezawisło-



Marcin Wiącek – rzecznik praw obywatelskich od 2021 r., profesor Uniwersytetu Warszawskiego, doktor habilitowany nauk prawnych. Kierownik Zakładu Praw Człowieka na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Specjalizuje się w prawie konstytucyjnym i prawach człowieka. W latach 2007–2021 był zatrudniony w Biurze Orzecznictwa Naczelnego Sądu Administracyjnego. W latach 2014–2018 był członkiem Rady Legislacyjnej przy Prezesie Rady Ministrów. W latach 2014–2016 był kierownikiem aplikacji legislacyjnej prowadzonej przez Rządowe Centrum Legislacji. Był również członkiem Głównej Komisji Urbanistyczno-Architektonicznej. Członek Centrum Badań nad Prawnymi Aspektami Technologii Blockchain, działającego na Wydziale Prawa i Administracji UW. Autor ponad stu publikacji naukowych dotyczących w szczególności prawa konstytucyjnego, sądownictwa konstytucyjnego, sądownictwa administracyjnego oraz ochrony praw człowieka. Uczestnik licznych konferencji naukowych, w tym międzynarodowych.

© ARCHIWUM RP

ści. Na skutek reform dokonanych w sądach w ostatnich latach gwarancje te nie są wystarczające, a wizerunek polskich sądów został – w kraju i za granicą – mocno nadszarpnięty. Dlatego tak ważne jest jak najszybsze wykonanie wyroków europejskich trybunałów, które jasno wskazują, że w Polsce nie jest właściwie realizowane prawo każdego człowieka do niezależnego sądu. Uważam, że należy niezwłocznie zmienić podstawy ustawowe kreowania składu Krajowej Rady Sądownictwa i uchylić przepisy pozwalające na dyscyplinarne karanie sędziów za treść wydawanych przez nich orzeczeń. Bez tych zmian czekają nas kolejne niekorzystne dla Polski wyroki trybunałów w Luksemburgu i Strasburgu.

Kolejną kwestią, którą traktuję priorytetowo, są prawa osób z niepełnosprawnościami. To moim zdaniem grupa ludzi najbardziej narażona na wykluczenie społeczne. Staram się uświadomić władzy, że wsparcie tych ludzi to nie tylko świadczenia finansowe. Są one oczywiście ważne i powinny być na odpowiednim poziomie, ale ważniejsze jest zapewnienie ludziom z niepełnosprawnościami poczucia podmiotowości, prawa do swobodnego decydowania o życiu na równi z innymi, na ile tylko jest to możliwe. Dlatego konieczne są zmiany prawne, m.in. uchwalenie ustawy o asystentach osobistych, zniesienie lub przynajmniej istotne zmodyfikowanie instytucji ubezwłasnowolnienia, reforma systemu orzekania o niepełnosprawności. Jest w tym obszarze naprawdę wiele do zrobienia.

KB: Jedną z najważniejszych wolności obywatelskich jest wolność słowa. Jednak w dobie galopujących technologii informacyjnych i zmieniających się obyczajów związanych z komunikowaniem owa idea wolności słowa wydaje

się coraz mniej pojemna, niewystarczająca, aby normować to, co się we wspomnianych obszarach dzieje. Jak to widzi RPO?

MW: Wolność wypowiedzi jest bardzo pojemna, gdyż wypowiedź nie ma określonej formy. Wypowiedzią jest przekazanie informacji czy wyrażenie poglądu w każdej możliwej postaci, nie tylko słowem, ale również w inny sposób – może to być zarówno dzieło plastyczne czy muzyczne, jak i monografia naukowa czy komentarz na stronie internetowej.

Do Rzecznika Praw Obywatelskich wpływa dużo skarg od osób korzystających z wolności wypowiedzi w Internecie. Przykładowo wiele z tych skarg dotyczy usuwania komentarzy lub blokowania użytkowników na stronach internetowych prowadzonych przez instytucje publiczne, w szczególności w mediach społecznościowych. Rozumiem, że czasami zachodzi taka potrzeba, gdyż zdarzają się wpisy mające charakter pomówień czy nawoływania do nienawiści. Natomiast należy pamiętać – i staram się to przypominać władzy – że prawo do krytyki nie ogranicza się do poglądów, które są odbierane przychylnie, postrzegane jako nieszkodliwe czy wolne od kontrowersji. W każdym przypadku trzeba wyważyć wchodzące w grę wartości. Dlatego też rozwiązaniem, które sugeruję, jest wprowadzenie przez instytucje publiczne regulaminów zawierających jednoznaczne i przejrzyste zasady usuwania komentarzy czy blokowania użytkowników, wprowadzenie ostrzeżeń, trybu odwoławczego, określenie czasu, na jaki blokada może być stosowana. Mówiąc ogólnie, właściwa ochrona wolności wypowiedzi sprzeciwia się arbitralności w moderowaniu strony internetowej czy mediów społecznościowych instytucji publicznej. A taką arbitralność niekiedy obserwujemy.

Kolejna kwestia: korzystanie z wolności wypowiedzi za pośrednictwem Internetu niesie za sobą również pewne zagrożenia, z którymi nie jest łatwo walczyć. Użytkownicy Internetu działają w poczuciu anonimowości i wynikającym z niego braku poczucia odpowiedzialności za słowo. Tymczasem niekiedy słowo czy materiał podany do wiadomości publicznej potrafi wyrządzić człowiekowi wielką krzywdę, doprowadzić do upokorzenia czy wręcz targnięcia się na własne życie. Wciąż jednak brakuje skutecznych instrumentów do walki z takim zjawiskiem, z hejtem internetowym. Trzeba również wzmocnić działalność edukacyjną, aby budować w ludziach przekonanie, że wolność wypowiedzi jest nie tylko prawem czy swobodą, ale również zobowiązaniem. Korzystanie z wolności powinno odbywać się w warunkach

szacunku dla drugiego człowieka, nawet jeśli nie zgadzamy się z jego poglądami czy chcemy skrytykować jego działalność.

KB: Choć sprawa uchodźców na granicy białoruskiej zesłała już dawno z czołówek portali internetowych, to wiadomo, że oni wciąż napływają z tego kierunku. Równocześnie sporo opiniotwórczych i cieszących się zaufaniem publicznym osób mówi o wielkich nieprawidłowościach związanych z reakcją państwa polskiego, wynikających z naruszenia norm międzynarodowych i zasad humanitaryzmu. Jak dziś cały kryzys migracyjny, trwający od czerwca 2021 r., widzi RPO? Czy państwo polskie naruszyło prawa człowieka?

MW: Kryzys migracyjny jest wywołany bezdusznymi i niehumanitarnymi działaniami reżimu białoruskiego, których celem jest wykorzystanie ludzi poszukujących lepszego życia, aby zdestabilizować sytuację w Polsce i Unii Europejskiej. Jest oczywiste, że w obliczu tego, co nazywamy wojną hybrydową, państwo powinno podjąć działania wzmacniające nienaruszalność polskiego terytorium. Dlatego też wyraziłem swego czasu opinię, że zbudowanie bariery na granicy polsko-białoruskiej mieściło się w sferze swobody ustawodawcy i rządu do decydowania o tym, w jaki sposób zapewnić bezpieczeństwo granic. Nie wolno jednak w tym wszystkim zapominać o podstawowym obowiązku każdej władzy, jakim jest ochrona godności człowieka. Przysługuje ona każdemu człowiekowi, bez wyjątku, bez względu na to, czy znalazł się na polskim terytorium legalnie czy nielegalnie.

Prawo międzynarodowe wypracowało standardy, jakie powinny być stosowane wobec osób nielegalnie przekraczających granicę. Podstawowym jest tzw. zakaz zbiorowego wydalania cudzoziemców. Wbrew być może nieco mylącej nazwie zakaz ten nie oznacza, że każdego cudzoziemca trzeba przyjąć i nie wolno go wydalic z Polski. Powinno się to jednak odbywać w warunkach zapewniających humanitarne traktowanie i choćby minimum procedury, pozwalającej cudzoziemcowi na przedstawienie swojej sytuacji i na ocenę, czy wydalenie do tego czy innego kraju nie narazi go na ryzyko śmierci lub niehumanitarnego traktowania. Tego standardu nie spełniają przepisy pozwalające na zawrócenie do granicy (zwane pushbackiem), wprowadzone do polskiego prawa w 2021 r. Nie jest to zresztą tylko moje zdanie, lecz również sądów administracyjnych, które oceniały tę kwestię. Za jakiś czas wypowie się w tej sprawie również Eu-

Niekiedy słowo czy materiał podany do wiadomości publicznej potrafi wyrządzić człowiekowi wielką krzywdę, doprowadzić do upokorzenia czy wręcz targnięcia się na własne życie.

ropejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu i – znając jego orzecznictwo – uważam, że stwierdzi naruszenie przez Polskę Europejskiej Konwencji Praw Człowieka.

KB: W jednej z publicznych wypowiedzi wspomniał pan o prawie człowieka do czystego powietrza oraz o zainteresowaniu i działaniach RPO w tym obszarze.

Jak wygląda ta kwestia w warunkach naszego kraju?

Jakich zmian można się spodziewać po interwencji RPO?

MW: Prawo do czystego środowiska – w tym do czystego powietrza – to prawo człowieka. W Polsce do niedawna było ono bagatelizowane i mówiło się o nim zbyt mało, mimo że o ochronie środowiska Konstytucja RP wspomina w kilku przepisach. O prawie do czystego powietrza zaczęto w naszym kraju poważnie rozmawiać dopiero wtedy, gdy do świadomości społecznej przeniknął problem smogu i skutków, jakie może wywołać jego nadmiar dla zdrowia i życia człowieka. Polskie społeczeństwo uznało walkę ze smogiem za coś naprawdę istotnego, powstały organizacje takie jak Polski Alarm Smogowy, które podjęły skuteczną walkę o zmiany w tym obszarze. Organy władzy, szczególnie samorządy, zaczęły wspierać wymianę starych pieców węglowych czy promować poruszanie się po miastach komunikacją publiczną, aby zredukować emisję spalin. Kolejnym krokiem powinno być zwiększenie wrażliwości po stronie instytucji publicznych, w szczególności sądów. Niestety, prawo do czystego powietrza wciąż nie zasłużyło sobie na efektywną ochronę sądową. Klasycznym przykładem jest to, że obywatele nie mogą obecnie skutecznie zaskarżyć do sądu tzw. wojewódzkich programów ochrony powietrza, czyli najważniejszych aktów dotyczących jakości powietrza, jakim oddychamy. Rzecznik kilkakrotnie próbował zmienić ich podejście, ale niestety do tej pory bezskutecznie. Mam nadzieję, że uda mi się w pewnym momencie znaleźć argumenty, które doprowadzą do zmiany aktualnej linii orzeczniczej.

Ponadto w najbliższym czasie do moich priorytetów będzie należało doprowadzenie do kilku oczekiwanych od wielu lat zmian legislacyjnych, m.in. w obszarze związanym z ochroną lasów, które na jakość powietrza mają fundamentalny wpływ. Pamiętajmy też, że czyste powietrze to nie tylko powietrze wolne od smogu, ale też powietrze wolne od odorów, a w tej kwestii pozostajemy daleko w tyle i konieczne są zmiany prawne.

KB: Jedną z podstawowych wolności jest wolność prasy. Z tak rozumianą wolnością powinny wiązać się rzetelność

i bezstronność. Czy RPO podejmuje interwencje dotyczące naszych mediów? Czy widzi trudności związane z realizacją postulatu wolności prasy w dobie zwiększającego się koniunkturalizmu i komercjalizacji mediów?

MW: Jako rzecznik nie mam kompetencji do dokonywania urzędowych ocen rzetelności czy bezstronności materiałów prasowych czy postawy poszczególnych dziennikarzy. Natomiast uważam, że istnieje wiele problemów legislacyjnych w tym obszarze, wymagających interwencji parlamentu. Bez dobrej legislacji nie da się bowiem zapewnić pluralizmu mediów i ich niezależności. W szczególności problemem już od siedmiu lat są uregulowania dotyczące mediów publicznych. W 2016 r. Trybunał Konstytucyjny wydał wyrok w zasadzie podważający podstawy prawne funkcjonowania Rady Mediów Narodowych,

odpowiedzialnej za kreowanie składów organów zarządzających telewizją i radiem publicznym. To zadanie powinna wykonywać Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, a nie pozakonstytucyjny organ, który nie posiada gwarancji niezależności od władzy politycznej.

Kolejna kwestia – pluralizm mediów. Mój poprzednik na urzędzie RPO zaskarżył do sądu decyzję prezesa UOKiK o wyrażeniu zgody na przejęcie spółki Polska Press przez PKN Orlen. Ja od samego początku uważałem, że problemem nie jest decyzja UOKiK, ale ułomność polskiego prawa, co zresztą potwierdził sąd, oddalając skargę. Ustawodawstwo nie przewiduje bowiem, aby koncentracje na rynku prasy mogły

być oceniane z punktu widzenia zagrożeń dla pluralizmu mediów. To istotna luka, którą parlament powinien jak najszybciej usunąć. Trzecią sprawą, o której mogę powiedzieć w tym kontekście, są działania władzy publicznej, których efektem mogą być zakłócenia na rynku mediów prywatnych. Przykładem takich działań była ustawa modyfikująca bez odpowiednich regulacji przejściowych zasady przedłużania koncesji na nadawanie programów telewizyjnych, nazywana lex TVN. Dobrze się stało, że ta ustawa nie weszła w życie, ale jej historia pokazuje, jak łatwo za pomocą pozornie drobnej zmiany ustawowej wywołać ryzyko poważnego kryzysu w obszarze pluralizmu w mediach – kwestii tak ważnej dla demokracji.

KB: Polski wymiar sprawiedliwości boryka się z różnymi problemami, ale dla obywatela (w tym przedsiębiorcy) bodaj największym jest długość trwania postępowań. Nie wygląda na to, aby coś się miało zmienić na lepsze w tej materii, zważywszy na przeciążenie sędziów i personelu.

W najbliższym czasie do moich priorytetów będzie należało doprowadzenie do kilku oczekiwanych od wielu lat zmian legislacyjnych, m.in. w obszarze związanym z ochroną lasów, które na jakość powietrza mają fundamentalny wpływ.



MW: Wielokrotnie sygnalizowałem ten problem odpowiednim organom – zarówno gdy chodzi o postępowanie karne, jak i cywilne. Przewlekłość dotyczy w szczególności postępowań przygotowawczych prowadzonych przez prokuraturę. Według statystyk ich czas wydłużył się w niektórych sprawach nawet pięciokrotnie. Są postępowania trwające powyżej pięciu lat. Konsekwencją tego zjawiska są wydłużające się okresy stosowania tymczasowego aresztowania. Jest to szczególnie niepokojące, gdyż tymczasowe aresztowanie to pozbawienie wolności człowieka, który jest objęty domniemaniem niewinności. Dodam, że moim zdaniem sądy zbyt pochopnie stosują ten środek, w wielu przypadkach nie badając w sposób wystarczająco skrupulatny możliwości alternatywnego zastosowania wolnościowych środków zapobiegawczych, na przykład dozoru policyjnego czy zakazu opuszczania kraju. Jest to wynikiem pewnych wad systemu prawnego, niedostosowania go do orzecznictwa zarówno polskiego Trybunału Konstytucyjnego, jak i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Niestety, formułowane przeze mnie i moich poprzedników apele o zmianę tego stanu rzeczy nie zostały jak dotąd wysłuchane.

Ponadto wiele osób zwraca się do RPO w przypadku, gdy stoją w poczuciu bezradności wobec sądu, który dopuszcza się w ich sprawie przewlekłości. Ludzie nie rozumieją, dlaczego wydanie orzeczenia w czasie – wydawałoby się – prostej sprawie może trwać latami. Wówczas jedyne, co mogą zrobić, to zwrócić się do sądu z prośbą o wyjaśnienie przyczyn przedłużającego się postępowania. Udzielane nam odpowiedzi dają niepokojący obraz istotnych wad systemowych, jakie dręczą polską władzę sądowniczą. Zasadniczym powodem wydłużania się czasu trwania postępowań są braki kadrowe w sądach, co wynika z nieobsadzenia etatów sędziowskich, asystenckich i administracyjnych. To z kolei powoduje, że sędziowie mają referaty obejmujące po kilkaset spraw. Nadal nierozwiązany problemem jest sporządzanie opinii przez biegłych sądowych, których jest zbyt mało. Jest to z kolei efektem nieuregulowania prawnego problematyki wykonywania zawodu biegłego sądowego – co od wielu już lat jest sygnalizowane przez kolejnych rzeczników praw obywatelskich.

Myślę też, że w wielu sprawach sądy są niepotrzebnie angażowane, co potęguje ich przeciążenie. Zasadniczym zadaniem sądów jest wymierzanie sprawiedliwości, a więc rozstrzyganie sporów. Tam, gdzie nie ma sporu, nie ma konieczności, aby sprawą od początku do końca zajmował się sąd. Mam na myśli przykładowo sprawy ksiąg wieczystych, spadków, postępowania rejestrowe. Sąd powinien w takich przypadkach wkraczać tylko wtedy, gdy jest taka potrzeba – gdy uczestnicy postępowania nie zgadzają się ze sobą albo gdy powstaje zagrożenie dla interesu publicznego. Dlatego też należałoby się zastanowić nad gruntowną re-

formą polskiego prawa pod kątem zdjęcia z sądów tych spraw, dla których konstytucja czy prawo międzynarodowe nie wymaga rozstrzygnięcia orzeczeniem sądowym. Uważam, że taka rozsądna reforma doprowadziłaby do przyspieszenia wielu postępowań.

KB: Nieraz w mediach podejmowany jest problem niedostatecznej w naszym kraju opieki psychiatrycznej, ze szczególnym uwzględnieniem dzieci. Wiem, że RPO upomina się o systematyczny rozwój sieci centrów zdrowia psychicznego. Jak ten problem jest widziany przez RPO i jakich efektów interwencji możemy się spodziewać?

MW: Problem ochrony zdrowia psychicznego jest tematem, który pozostaje w moim szczególnym zainteresowaniu. W moim biurze działa Komisja Ekspertów ds. Ochrony Zdrowia Psychicznego, w skład której wchodzi lekarze, psycholodzy, prawnicy i użytkownicy psychiatrii. Zwracają oni uwagę, że psychiatria w Polsce przez całe dziesięciolecia była niedofinansowana i zaniedbywana, a jedyną formą wsparcia, na jaką mogli liczyć chorzy, była oferta dużych szpitali psychiatrycznych, które oprócz leczenia farmakologicznego i izolacji nie oferowały w zasadzie żadnych innych form wsparcia. Ostatnie lata to czas ważnych zmian, które jako rzecznik dokładnie obserwuję. Wdrażana jest reforma mająca na celu stworzenie systemu opieki w miejscu zamieszkania chorego, adekwatnego do jego potrzeb fizycznych, psychicznych i społecznych, a także zapewniającego wsparcie w powrocie do odgrywania ról społecznych oraz przeciwdziałającego stygmatyzacji i wykluczeniu. Podstawą tej reformy są centra zdrowia psychicznego. Niestety, reforma psychiatrii osób dorosłych spowalnia, a poza tym można zaobserwować próby odejścia od jej założeń, tj. odpowiedzialności terytorialnej oraz modelu finansowania (*per capita*).

Jeśli zaś chodzi o psychiatrię dzieci i młodzieży, to dostrzegam, że w ciągu ostatnich lat młodzi pacjenci zyskali nowe możliwości uzyskania pomocy psychologicznej i psychiatrycznej. Niemniej konieczne są dalsze zmiany. W szczególności powinny one dotyczyć wyceny świadczeń. Podstawową wadą reformy psychiatrii dzieci i młodzieży, wskazywaną przez współpracujących ze mną ekspertów, jest przyjęta zasada rozliczania: placówkom płaci się za liczbę wykonanych usług, a nie za objęcie opieką określonej liczby potrzebujących. Ponadto brakuje specjalistów: lekarzy, psychologów, psychoterapeutów czy pielęgniarek psychiatrycznych. W każdej szkole powinien pracować psycholog, każda szkoła powinna współpracować z poradnią psychologiczną. Naprawa sytuacji w tym obszarze jest niezwykle pilna. Nie może być tak, że na wizytę u psychologa oczekuje się miesiącami. Bardzo niepokojące są też dane dotyczące liczby samobójstw i prób samobójczych młodych ludzi.



prof. Leon Koźmiński



Uroczystość przyznania doktoratu honoris causa Edwardowi C. Prescottowi. Od lewej: prof. Andrzej K. Koźmiński, Edward C. Prescott, prof. Grzegorz Kołodko, prof. Witold T. Bielecki.

Katastrofa jest możliwa, ale ciągle jeszcze mało prawdopodobna

- Jeżeli będziemy podnosić płace w takim samym stopniu, w jakim rosną ceny, to wtedy może dojść do katastrofy. To jest szaleńcze zachowanie, natomiast nie ma żadnej gwarancji, że pod wpływem impulsów politycznych nie zostanie wybrane.
- Prawdopodobne jest utrzymywanie się przez dłuższy czas sytuacji niskiego wzrostu, wysokiej inflacji, a zatem stopniowego pogarszania się poziomu życia.
- Można sobie wyobrazić społeczeństwo, które nie konsumuje, a jego obywatele dostają przydział na jedną parę butów na dwa lata, nie mają dostępu do mięsa, jeżdżą na rowerach, bo samochody są zabronione. Tylko że to oznacza wprowadzenie swego rodzaju dyktatury.
- Prekariusze są niebezpieczni, bo są to ludzie sfrustrowani. A frustracje są niebezpieczne dla jakiegokolwiek porządku.
- My, Polacy, mamy kłopot z elitami, dlatego że kolejne ich generacje – może nie dosłownie, ale w przenośni na pewno – wyrzynamy.

Z prof. [Andrzejem K. Koźmińskim](#) rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Produkt krajowy brutto w drugim kwartale tego roku był gorszy od prognoz ekonomistów. Co to oznacza dla gospodarki i społeczeństwa?

Andrzej Koźmiński: Wiadomo, to oznacza stagflację – współwystępowanie niskiego albo ujemnego wzrostu ze względnie wysoką inflacją.

KB: Tyle pojęć ekonomicznych. A z punktu widzenia zwykłego człowieka, pracy, prowadzenia biznesu?

AK: Dla zwykłego człowieka oznacza to, że ceny rosną, a płace nie mają szans rosnąć, bo produkcja nie rośnie.

KB: Czyli będzie gorzej. Czy sytuacja zasługuje już na miano recesji?

AK: Recesja jest wtedy, kiedy jest ujemny wzrost przez dwa kwartały pod rząd, więc chyba niedługo będzie recesja. Ale wie pan, to nie jest istotne. Istotne jest, że ten wzrost jest ujemny albo bardzo niski. Czy on będzie na poziomie -0,1, czy 0,1 – to niewiele zmienia. W każdym razie z punktu widzenia tak zwanego przeciętnego zjadacza chleba oznacza to, że chleba będzie mniej.

KB: Ale na tyle, żeby jakoś wyżyć?

AK: To zależy od tego, ile kto ma. Różni ludzie reagują na takie sytuacje w różny sposób. Osoby biedniejsze ograniczają konsumpcję, a bogate wręcz przeciwnie – zwiększają konsumpcję, dlatego że nie mają żadnych bodźców do oszczędzania.

KB: I jak ten ruch ograniczania konsumpcji przez część społeczeństwa będzie oddziaływał na dalsze wyniki, skoro już za obecny spadek PKB wini się właśnie spadek konsumpcji?

AK: To jest normalne, racjonalne zachowanie gospodarstw domowych – jak mają mniejsze dochody, to mniej wydają. Co oczywiście powinno doprowadzić stopniowo do zmniejszenia inflacji. Ale jeżeli rząd będzie dalej szalał z kosztownymi prezentami wyborczymi, to ta inflacja może się nie zmniejszyć, może być nawet odwrotnie.

KB: A można się spodziewać, że rząd będzie szalał, skoro mamy gorący czas przedwyborczy.

AK: Zgadza się. I to oznacza, że ten stan będzie się utrzymywał przez dłuższy czas.

KB: Co nam wówczas grozi?

AK: To jest sytuacja znana z lat 70. Nie oznacza ona, że nastąpi jakaś straszliwa katastrofa, ale nie będzie nam się poprawiać, a raczej trochę pogarszać. Oczywiście to wszystko przy założeniu, że nie nastąpi jakieś szaleństwo polegające na uruchomieniu spirali cenowo-płacowej. Czyli mówiąc krótko, jeżeli będziemy podnosić płace w takim samym stopniu, w jakim rosną ceny, to wtedy może dojść do katastrofy. To jest szaleńcze zachowanie, natomiast nie



© ALK

Andrzej Krzysztof Koźmiński

– polski ekonomista, socjolog, nauczyciel akademicki, profesor nauk ekonomicznych, specjalizujący się w zakresie zarządzania. Od 1963 do 1976 r. pracował w SGPiS, od 1973 r. był wykładowcą na Wydziale Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1981–1987 pełnił funkcję dziekana Wydziału Zarządzania UW. Od lat 90. związany z Akademią

Leona Koźmińskiego (noszącą imię jego ojca). Objął w niej stanowisko profesora zwyczajnego i kierownika Katedry Zarządzania. Przez 18 lat pełnił funkcję rektora tej uczelni (do 2011 r.), następnie został przewodniczącym rady powierniczej i prezydentem ALK. Członek korespondent Polskiej Akademii Nauk.

Odnaczony m.in. Krzyżem Kawalerskim, Krzyżem Oficerskim (2000) i Krzyżem Komandorskim (2011) Orderu Odrodzenia Polski. W 2016 r. został udekorowany Orderem Palm Akademickich. W 2014 r. otrzymał odznak honorową „Za zasługi dla bankowości Rzeczypospolitej Polskiej”. Uhonorowany tytułem doktora honoris causa Uniwersytetu Szczecińskiego (2015), ESCP Europe (2017) oraz Uniwersytetu Warszawskiego (2022). Wyróżniony nagrodą specjalną Lewiatana przyznaną przez Konfederację Lewiatan (2015).

ma żadnej gwarancji, że pod wpływem impulsów politycznych nie zostanie wybrane. Katastrofa jest możliwa, ale ciągle jeszcze stosunkowo mało prawdopodobna. Jednak prawdopodobne jest utrzymywanie się przez dłuższy czas sytuacji niskiego wzrostu, wysokiej inflacji, a zatem stopniowego pogarszania się poziomu życia.

KB: A jeżeli najgorszy scenariusz by się urzeczywistnił, to co nas czeka dalej? Bankructwo państwa?

AK: Nie. Wtedy nastąpi tak silna presja społeczna, że państwo i inni pracodawcy będą musieli podnosić płace w takim samym stopniu, w jakim rosną ceny, czyli nastąpi indeksacja płac. To się zdarzyło w Polsce w 1989 r. i doprowadziło do hiperinflacji. Wówczas nastąpił wzrost cen o 600 proc.

KB: Jednak jakoś przetrwaliśmy.

AK: Tak, w sensie biologicznym przetrwaliśmy. Argentyńscy mają tę rozrywkę regularnie, co jakieś 10–15 lat, i ciągle tańczą tango.

KB: Czyli człowiek wytwarza mechanizmy przystosowawcze i każdą sytuację gospodarczą jest w stanie w jakiś sposób ujarzmić i przetrwać.

AK: Nawet niemała część więźniów Oświęcimia przetrwała, nie mówiąc już o gułagu.

KB: Są głosy, które mówią, że powinniśmy ograniczać wzrost, a zająć się problemami klimatycznymi i nową jakością życia, potrzebami społecznymi. Czy tak się da?

AK: Oczywiście, że się nie da. Wzrost jest źródłem bogactwa, wszelkich środków, które mogą i powinny być wydawane na realizację potrzeb cywilizacyjnych, w tym ratowanie planety. Ale jeżeli tych środków nie ma, to nie będą wydane ani na ratowanie

planety, ani na nic innego. Dlatego właśnie postulat ograniczania wzrostu jest szkodliwy. Ale niech pan się nie martwi, nikt tego poważnie nie traktuje.

KB: Czy w takim razie w świetle tych potrzeb, które istnieją, szczególnie w kwestii troski o planetę, myśli się o jakichś nowych modelach gospodarczych?

AK: Niestety, nie bardzo. To znaczy takie modele stosunkowo łatwo można skonstruować, ale to są modele intruzywne, czyli takie, które oznaczałyby narzucenie ludziom pewnego stylu życia, na przykład energooszczędnego. Oczywiście to jest możliwe, ale w społeczeństwach demokratycznych, a nawet w społeczeństwach, w których tak zwany głos ludu jakoś się liczy – mało prawdopodobne. Można sobie wyobrazić społeczeństwo, które nie konsumuje, a jego obywatele dostają przydział na jedną parę butów na dwa lata, nie mają dostępu do mięsa, jeżdżą na rowerach, bo samochody są zabronione albo tak opodatkowane, że ich nie stać. A temperaturę w mieszkaniu muszą utrzymywać na poziomie 16 stopni Celsjusza. Tylko że to oznacza wprowadzenie swego rodzaju dyktatury. I można sobie wyobrazić różne szaleńcze scenariusze, zgodnie z którymi kryzys klimatyczny staje się tak dotkliwy, że tego rodzaju środki zaczną być poważnie brane pod uwagę. W tej chwili dokonuje się łagodna perswazja: nie jedź do pracy ośmiocyndrowym SUV-em, tylko na rowerze; nie kupuj tylu ubrań; jedź pociągiem, a nie lec samolotem itd. I wielu ludzi przyklaskuje takim pomysłom i w ten sposób żyje, co świadczy o ich odpowiedzialności, ale jeżeli ktoś chce jeździć do pracy SUV-em, zjadać codziennie dwa 300-gramowe befsztyki i ma pieniądze, żeby za to wszystko zapłacić, to nikt mu tego zabronić nie może. Oczywiście możliwa jest polityka podatkowa, która będzie podobnie działała: befsztyk będzie kosztował 1000 złotych, a litr paliwa – 80 złotych. Lecz jeżeli jakaś partia polityczna wystąpi z takimi propozycjami, straci jakiegokolwiek szanse na wygraną w wyborach. Krótko mówiąc, nikt tego nie poprze.

KB: Widać zatem, że kwestie związane z polityką gospodarczą i w ogóle z ekonomią przekładają się jakoś na tak zwane szczęście człowieka. Jednak niektórzy ekonomiści argumentują, że być może ów dobrobyt nie warunkuje szczęścia. Za przykład podaje się Japonię i Filipiny. Japończycy mają jedną z czołowych gospodarek, a mimo tego są jednym z najbardziej depresyjnych społeczeństw na świecie, zaś Filipińczycy – w większości pogrążeni w skrajnej biedzie i doświadczający na przykład tajfunów – według różnych badań są najszczęśliwsi.

AK: W takich ustaleniach upatruję przede wszystkim różnice kulturowe, a tych nie da się sztucznie niwelować, programować. Nie da się Japończyków zamienić w Filipińczyków ani odwrotnie. W czasach, kiedy mieszkałem i pracowałem w USA, Japonia była bardzo modna i realizowano duże inwestycje japońskie w Ameryce. Japończycy początkowo próbowali zarządzać Amerykanami

w taki sposób, jak to się robi w Japonii – przed rozpoczęciem pracy trzeba było śpiewać hymn, odbyć gimnastykę itd. Był taki słynny film „Gung Ho”, który pokazywał absurdalność owego zarządzania. Amerykanie byli początkowo zszokowani, ale później zaczęli stroić sobie żarty. Trzeba pamiętać, że kultura to nie jest coś, co się da zaprojektować, zaprogramować. Bardzo mi przykro, ale nie możemy stać się Szwedami ani Wietnamczykami. Jesteśmy już ukształtowanymi kulturowo. Czy korzystnie, czy nie – różnie to można oceniać, ale zmienić się tego nie da tak łatwo. Stopniowo, w miarę rozwoju cywilizacji, kultury też się zmieniają, ale to są bardzo długie procesy, nie można liczyć na szybkie efekty.

KB: Swego czasu opublikował pan esej, na podstawie badań realizowanych w Akademii Leona Koźmińskiego, o społeczeństwach racjonalnie zależnych i emocjonalnie zależnych. Postawił pan profesor tezę, że w danym momencie Polska była jeszcze racjonalnie zależna. Czy te badania są kontynuowane?

AK: Nadal je prowadzimy i, niestety, wynika z nich, że coraz bardziej przesuwamy się w kierunku emocjonalności. Zresztą to wydaje się trendem dzisiejszego świata, że emocjonalność zastępuje racjonalność. Wie pan, jeżeli tak wielki kraj jak Rosja popełnia takie szaleństwo, jakim była inwazja na Ukrainę, to znaczy, że racjonalność ustępuje miejsca różnym mrzonkom i emocjom. Jeżeli przejrzymy całą dokumentację z prezydentury Trumpa, to tam też znajdziemy znacznie więcej emocji niż racjonalności. Dzięki emocjom wygrywa się wybory, a dzięki racjonalności się je przegrywa. Tak niestety jest.

KB: To chyba niezbyt dobrze wróży. Żyjemy w mocno niepewnych czasach, jeżeli mają nas zdominować emocje.

AK: Wymyśliłem kiedyś pojęcie uogólnionej niepewności, które zastosowałem do analiz procesów zarządzania, ale można powiedzieć, że ono w tej chwili dotyczy nas wszystkich. Nikt nie może w rozsądny sposób zaplanować swojego życia. W zależności od tego, jaki będzie wynik wojny w Ukrainie, co się stanie między Tajwanem i Chinami, jakie będą wyniki wyborów w różnych krajach, łącznie z naszym, wszystkie parametry dotyczące naszego życia zmieniają się w sposób dość dramatyczny. Zarówno ludzie, jak i przedsiębiorstwa, organizacje wybierają pewne strategie, które można określić jako strategie przetrwania. Polegają one z jednej strony na gromadzeniu płynnych zasobów, a z drugiej strony na utrzymaniu maksymalnej swobody ruchów, czyli możliwości zachowania się tak czy inaczej w zależności od sytuacji. Mam znajomego, który mieszka w Szczecinie i opowiadał mi, że trzyma w garażu samochód zatankowany do pełna i załadowany najpotrzebniejszymi rzeczami dla niego i jego rodziny. Jest też sporo firm, które zachowują się w zasadzie w podobny sposób. Niestety, to nie sprzyja rozwojowi, bo oznacza ograniczanie inwestycji. Zarówno osoby prywatne, jak też firmy i przedsiębiorstwa nie angażują się tak bardzo w wielkie inwestycje. To oczywiście dodatkowo spłaszcza krzywą wzrostu. Uogólniona

niepewność jak dotychczas jest sytuacją dominującą i jest tym bardziej dotkliwa, że zastąpiła optymistyczne lata 90. i początek XX w., kiedy ludzie planowali sobie życie na dziesiątki lat, tworzyli odpowiednie inwestycje itd. I to samo dotyczy firm. W tej chwili to wszystko w dużej mierze traci rację bytu.

KB: A czy do czynników, które zwiększają naszą uogólnioną niepewność, można jeszcze dodać technologię, na czele ze sztuczną inteligencją?

AK: Oczywiście. Sztuczna inteligencja wiele zmienia, ale różnego rodzaju lęki z nią związane to są przesady podobne do tych, którym ulegali luddyci w XVIII w., niszcząc maszyny tkackie. Bo sztuczna inteligencja pozbawi pracy najwyżej niewielką liczbę ludzi, natomiast wielu zmusi do zmiany kwalifikacji, nabycia nowych umiejętności. Ona niewątpliwie zmieni stopniowo nasze życie, ale ja bym nie przesadzał z rewolucją. Ciągłe jeszcze sztuczna inteligencja nie zastąpi kreatywności człowieka – jest to bardzo mało prawdopodobne. Ona może imitować coś, co już było, natomiast każdy, kto będzie miał do zakomunikowania coś nowego, będzie cieszył się tym monopolem nowości. Wie pan, co robimy z naszymi studentami? Zasady są bardzo proste: otrzymują temat do eseju, mają go zadać sztucznej inteligencji, a później napisać własny komentarz. I wtedy okazuje się, czy student ma coś do powiedzenia, czy nie. Oczywiście może po raz drugi zadać pytanie sztucznej inteligencji, ale wtedy łatwo można poznać, kto udzielił odpowiedzi. Sztuczna inteligencja nie zastąpi pana rozmawiającego ze mną, choćby dlatego, że ja ze sztuczną inteligencją rozmawiał nie będę.

KB: Faktem jest na pewno, że świat w aspekcie technologicznym i społecznym przyspiesza. Jak z tego punktu widzenia spojrzeć na wyzwanie programowania treści nauczania w taki sposób, aby były aktualne i przydatne przez całe życie?

AK: Zdobycie podczas studiów wiedzy na cały okres życia jest w ogóle wykluczone. Zmiany postępują bardzo szybko i rynek usług edukacyjnych podąża za nimi. Spada wartość dyplomu – ludzie się zatrudniają, doceniają, nagradzają w zależności od umiejętności, a nie formalnego wykształcenia. To się zmieniło radykalnie. Co więcej, dobre dyplomy przestają się opłacać. Przez szereg lat wykładałem w UCLA, w Anderson School of Management, i pamiętam, że odbyło się tam spotkanie ze znanym amerykańskim biznesmenem, który powiedział, że nie zatrudnia absolwentów najlepszych szkół biznesu, dlatego że oni zbyt drogo kosztują, są mało praktycznie zorientowani itd. Ludzie poszukują dziś wiedzy i umiejętności, ale niekoniecznie dyplomu. Zatem uczelnie powinny im zaproponować swoiste moduły wiedzy i umiejętności, które oni będą kupowali pojedynczo, a z nich stopniowo budowali swoje pełne wykształcenie. To już jest stosowane dosyć często w USA, dlatego że tam dyplom opiera się na określonej ilości kredytów. Świat zmienia się bardzo szybko, bardzo wielu najzdolniejszych studentów porzuca studia, żeby się zająć czymś innym, głównie biznesem. Co nie oznacza, że

oni za jakiś czas nie wrócą na uczelnię, żeby się czegoś konkretnego nauczyć. Studia trwające pięć czy sześć lat, a nawet model trzy plus dwa są już dla młodych nie do zaakceptowania. Młodzi ludzie potrzebują szybciej i oczywiście technologia może w tym pomóc. To oznacza dosyć poważną rewolucję w funkcjonowaniu uczelni wyższych wszelkiego rodzaju, które oprócz dydaktyki muszą pełnić funkcje badawcze, tworzenia wiedzy. Natomiast w dziedzinie nauczania będą musiały się dostosować do pokolenia nowych studentów, którzy są coraz bardziej niecierpliwi i coraz bardziej wymagający. I dobrze, tak powinno być.

W ten sposób zmienia się nasza uczelnia. Nie powiem, że zmieniła się całkowicie, bo mamy jeszcze z tymi modułami pewne problemy. Oferujemy je głównie na studiach podyplomowych, w dużym wyborze kilkuset modułów. Natomiast jeśli chodzi o studia, to już widać wyraźnie, że młodzi ludzie oczekują przyspieszenia. Co więcej, dokonują pewnego rodzaju wyborów, które niekoniecznie są racjonalne. Mianowicie nie lubią teorii, oczekują przygotowania praktycznego. Trudno ich przekonać, że jak człowiek nie rozumie teorii, to i praktyki nie zrozumie. W każdym razie z pełną świadomością zmierzamy w kierunku nowoczesnego nauczania.

KB: Ale to chyba wymaga pewnych zmian systemowych, wszak działalność uczelni jest dosyć ściśle regulowana. Czy współpracują państwo z czynnikami oficjalnymi w tym zakresie?

AK: Zgadza się, szkolnictwo wyższe jest dosyć ściśle regulowane, natomiast uważam, że można osiągnąć taką sytuację, w której będziemy uzależniali dyplom od ilości i jakości zaliczonych przedmiotów, a nie od liczby lat spędzonych na zajęciach. Nie widzę jakiegось stanowczego oporu ze strony władz przeciwko takiej reformie. Oczywiście trzeba będzie ją w jakąś formę prawną ubrać albo uzyskać aprobatę dla pewnego rodzaju eksperymentowania czy nieco innego podejścia.

KB: Panie profesorze, wcześniej się myślało w Polsce w kategoriach klasowych. W okresie transformacji ta tradycja intelektualna odeszła do lamusa, przynajmniej w dyskursie publicystycznym, ale jedna klasa z nami pozostała, mianowicie klasa średnia. Gdzie ona jest dzisiaj? Czy przeżywa jakiś regres?

AK: Myślę, że się rozwija. Wszak wliczają się do niej wszyscy ludzie, którzy są przedsiębiorcami i w związku z tym uzyskują określony poziom dochodów, niekoniecznie bardzo wysoki, zajmują się samodzielnym wykuwaniem swojej drogi, również w ramach różnego rodzaju organizacji. Natomiast zniknęły klasa robotnicza i klasa chłopska. Czasem oglądam w telewizji wywiady z rolnikami na tle ich wspaniałych traktorów i ja tam chłopów nie widzę. Podobnie rzecz się ma z robotnikami. Klasyczny robotnik, ten, który obalił komunizm w latach 80., odszedł, nie ma go. Na jego miejsce pojawia się z jednej strony klasa średnia, a z dru-

Dla człowieka, który dużo zarabia, funkcja publiczna to katastrofa finansowa. Można sobie na nią pozwolić, jeśli ma się zasoby, ale praca sama w sobie też jest mało przyjemna.

giej – prekariusze, którzy są pozbawieni stałego punktu zaczepienia i utrzymują się z różnego rodzaju doraźnych prac. Grupa prekariuszy jest potencjalnie niebezpieczna. Czasem awansuje się z niej do klasy średniej – w jej szeregi przechodzi prekariusz, jak mu się powiedzie. Natomiast właśnie klasa średnia pożarła wszystkie inne, a przede wszystkim robotników i chłopów. Zatem partie robotniczo-chłopskie nie mają dziś przed sobą świetlanej przyszłości.

KB: A dlaczego prekariusze są niebezpieczni?

Bo ich populizm może zagarniać?

AK: Po pierwsze populizm, a po drugie – bo są to ludzie sfrustrowani. A frustracje są niebezpieczne dla jakiegokolwiek porządku.

KB: A elity? One miały w poprzednim systemie ustrojowym i w dobie transformacji duży wpływ na kształt rzeczywistości.

AK: My, Polacy, mamy kłopot z elitami, dlatego że kolejne ich generacje – może nie dosłownie, ale w przenośni na pewno – wyzynamy. Jakaś elita stworzyła się po wojnie, w systemie stalinowskim. Została wycięta w pień. Później, w latach 60., ukształtowała się następna elita inteligencka, ze znacznym udziałem osób pochodzenia żydowskiego, i ona została wycięta w pień w roku 1968 i w latach kolejnych. Potem utworzyła się elita partyjna, gierkowska, która trwała jeszcze przez okres rządów Jaruzelskiego w latach 80., lecz w końcu również została wycięta w 1989 r. Później ukształtowała się elita postsolidarnościowa, która została wycięta przez „dobrą zmianę”. U nas żadna elita się długo nie utrzyma. Nie uda się zbudować trwałych, wielopokoleniowych struktur, które funkcjonują w Wielkiej Brytanii czy nawet w Niemczech. Obecnie rządzący często podkreślają, że oni kształtują nową elitę. Powinni dodać: na okres jej życia, który bardzo długi nie będzie.

KB: A jak długi może być?

AK: Ta elita, która się ukształtowała w okresie gierkowskim, przetrwała 20 lat. Zatem z elitami u nas ostrożnie. Być może elita biznesu będzie bardziej trwała. Ale też miałbym pewne wątpliwości.

KB: Jeżeli elita biznesu miałaby być wielopokoleniowa, to tak naprawdę teraz dokonuje się ważny przełom, bo pierwsze pokolenie przedsiębiorców, których okres aktywności przypadł na czas transformacji, odchodzi.

AK: Na naszej uczelni studiuje około 60 proc. ludzi, którzy pochodzą z rodzin przedsiębiorczych. Na ogół to poprzednie pokolenie dba, aby młodzi zdobyli dobre wykształcenie, najczęściej uzupełniane jeszcze za granicą, w renomowanych uczelniach. To są często świadomie zaprojektowane kariery. Elita biznesu ma szansę

się ukształtować, oczywiście pod warunkiem, że nie nastąpi kolejne trzęsienie ziemi. Przypomina mi się stary dowcip o władzy ludowej, która inteligencję zrównała z robotnikami, robotników z chłopami, a chłopów z ziemią. Jeżeli to zrównanie z ziemią nie nastąpi, elita biznesu się ukształtuje. Trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, że owa elita biznesu

jak ognia unika polityki – mniej lub bardziej świadomie. To ma dobre i złe strony.

KB: Z perspektywy potrzeby solidnych kadr w polityce to chyba źle?

AK: Powiem panu, co mi kiedyś powiedział jeden z naszych studentów. W USA szczytem marzeń najambitniejszych studentów jest, aby zostać prezydentem. Pytam więc tego młodego człowieka, czy chciałby być prezydentem. On stanowczo zaprzeczył. Argumentował, że prezydent u nas zarabia tyle, co dyrektor supermarketu, a owym dyrektorem znacznie łatwiej zostać. Takie dość prymitywne rozumowanie jest niebezpieczne. W Polsce najlepsi ludzie, tacy, którzy mogą najwięcej pozytywnego zdziałać, do polityki nie idą. Kiedyś rozmawiałem z przyjacielem, który był dosyć poważnym kandydatem na ministra w jednym z ważnych resortów. W końcu jednak zrezygnował. Powiedział, że w przeciwnym razie żona by go z domu wyrzuciła, bo teka ministerialna oznaczałaby pauperyzację rodziny albo kryminalizację. Dla człowieka, który dużo zarabia, funkcja publiczna to katastrofa finansowa. Można sobie na nią pozwolić, jeśli ma się zasoby, ale praca sama w sobie też jest mało przyjemna. Oczywiście niektórzy ludzie wybierają ją z przyczyn ideowych, ale tyle muszą po drodze zaakceptować kompromisów, że im się ta ideowość zużywa. Niech pan weźmie pod uwagę, że w ciągu całej naszej historii mieliśmy dość nieudany dobór elit politycznych. Przed wojną one wiele lepsze nie były. Powiedziałbym nawet, że gorsze. Nie mówiąc o tym, co dawniej. Sądzę, że mamy z tym problem. Podobnie jak inne kraje, które nie mają długotrwałych tradycji nowoczesnej państwowości. Niezłe znam Włochy. Tam jest dokładnie to samo zjawisko. Jak pan popatrzy na włoskich polityków, to – poza wyjątkami, które zdarzają się wszędzie, u nas na szczęście też – nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać. Po zjednoczeniu ktoś wypowiedział takie zdanie, że mamy już Włochy, ale nie mamy Włochów. Bo to była mieszanina kultur, tradycji, podejść. Nie mamy tradycji doboru najlepszych do polityki – żeby nie powiedzieć odwrotnie.

KB: Tyle że w tych pięknych Włoszech, choć emblematy naszych kultur są dosyć różne, czujemy się trochę jak u siebie.

AK: No właśnie, spędziłem tam sporo czasu i rzeczywiście czułem się bardzo dobrze. Warunkiem było nauczenie się ich języka, bo w owym okresie, czyli w latach 60., Włosi niechętnie używali innych języków, zresztą wciąż trochę tak jest.

Polski sektor bankowy jest nadmiernie obciążony

Krzysztof Pietraszkiewicz

– polski bankowiec, ekonomista, w latach 2003–2023 prezes Związku Banków Polskich. Autor szeregu rozwiązań prawnych i organizacyjnych dla polskiego sektora bankowego. Od 1991 r. członek Rady Fundatorów Fundacji „Promyk Słońca”. Jest również członkiem Kapituły Konkursu „Teraz Polska”. Odznaczony Krzyżem Oficerskim oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a także Odznaką Honorową za Zasługi dla Samorządu Terytorialnego.

© ZBP

- Świętym obowiązkiem banków – a pośrednio także regulatorów, nadzorców i państwa – jest zapewnienie bezpieczeństwa depozytów i odpowiedniej wysokości kapitałów, inaczej: funduszy własnych banków.
- Zawsze jest niebezpiecznie, kiedy w systemie finansowym zarówno władza właścicielska, zarządy, jak i władza regulacyjna są w jednym ręku. Pojawia się wówczas pokusa, żeby wykorzystywać dostępne instrumenty do stymulowania sukcesów politycznych.
- Władza namawiała banki, żeby udzielały kredytów mieszkaniowych bez umiaru. Nie przyjęła w 2006 i 2007 r. próśb o wprowadzenie pewnych ograniczeń i restrykcji.
- W sprawach frankowych sędziowie często tak kształtują linię orzeczniczą, że jest ona korzystna z ich własnego punktu widzenia i osób im bliskich.
- Banki będą mobilizowały przedsiębiorców, spełniając poniekąd rolę egzekutora projektów unijnych – odrzucone zostaną wszystkie projekty, które nie będą zgodne z ESG. Musimy zmienić polską energetykę, ona jest zabójcza.

Z **Krzysztofem Pietraszkiewiczem** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Zeszłoroczni nobliści otrzymali nagrodę w dziedzinie ekonomii za dowiedzenie, że banki są niezmiernie ważne dla całej gospodarki, a ich upadłość może mieć katastrofalne skutki społeczne. Stąd wywiedli wniosek, że niezbędna jest szczególna kontrola tych instytucji. Czy w Polsce poziom owej kontroli jest zbyt duży, zbyt mały czy w sam raz?

Krzysztof Pietraszkiewicz: Od początku okresu wolnej gospodarki do nadzoru bankowego podchodzono w Polsce bardzo poważnie. Było tak jeszcze przed uchwaleniem nowej Konstytucji RP i powołaniem Komisji Nadzoru Bankowego. Polscy nadzorcy byli uważnie dobierani i kształceni nie tylko w kraju, ale też za granicą, przez nadzorców francuskich, amerykańskich. Chodziło o to, abyśmy mogli wyciągać wnioski z kryzysów, które się wydarzyły w innych krajach. A zdarzają się przecież one każdego roku w różnych miejscach na całym świecie. Polskie władze od początku poważnie traktowały też zalecenia Bazylejskiego Komitetu Nadzoru Bankowego, czyli organu współpracy nadzorców praktycznie z całego cywilizowanego świata. W 1994 r. jako Związek Banków Polskich zaproponowaliśmy dwa rozwiązania: po pierwsze, zapewnienie konstytucyjnej autonomii Narodowemu Bankowi Polskiemu i po drugie – utworzenie Rady Polityki Pieniężnej oraz Komisji Nadzoru Bankowego, po to, aby nie było rozbieżności pomiędzy rządem a NBP w odniesieniu do

stabilności sektora bankowego. Po czasie Komisja Nadzoru Bankowego dopracowała wiele bardzo dobrych praktyk. U nas nawet rozwiązania przejściowe, wprowadzane od 1989 do 1997 r., były wysokiej próby. Robiliśmy w tym okresie wszystko, aby ludzie nie stracili oszczędności w bankach.

KB: Jakie są najważniejsze cele owych regulacji bankowych?

KP: Europejski system regulacyjny stoi na straży świętego obowiązku banków – a pośrednio także regulatorów, nadzorców i państwa – którym jest zapewnienie bezpieczeństwa depozytów i również odpowiedniej wysokości kapitałów, inaczej: funduszy własnych banków. Chodzi po prostu o to, żeby w przypadku kiedy „zepsują” się kredyty, móc pokryć straty z funduszy kapitałów właścicieli banków. Proszę zwrócić uwagę, że w 1991 r. mieliśmy ok. 1800 banków, a dzisiaj jest ich mniej niż 600. Udało się więc przy tak radykalnym zmniejszeniu liczby banków nie stracić depozytów. Mało tego, wdrożone zostało jeszcze jedno rozwiązanie, notabene niesprawiedliwe – banki i klienci banków zagwarantowali bezpieczeństwo depozytów klientów SKOK-ów.

KB: A jak w liczbach wyglądała owa troska o kapitały?

KP: Z 3,394 mld złotych na koniec 1992 r. zwiększyliśmy kapitały – przeznaczając większość zysków na fundusze własne – do

poziomu 230 mld złotych. To równocześnie przekładało się na istotne zwiększanie możliwości kredytowania naszej gospodarki oraz zaspokajanie potrzeb gospodarstw domowych.

Natomiast wracając do pytania o regulację – teraz niepokoi mnie, że system nadzoru bankowego jest chyba trochę nadmierne związany z polityką. Dotyczy to szczególnie sposobu kreowania władz Komisji Nadzoru, jak również Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, a są to instytucje posiadające realną władzę, w ich gestii leżą decyzje dotyczące likwidowania banków. Zatem pomimo ogromnych osiągnięć zarówno w nadzorze, jak i tworzeniu bankowego funduszu gwarancyjnego pewne analizy i korekty, także w sposobie kształtowania władz, powinny być poczynione. Wymogi kwalifikacyjne wobec zarządów banków oraz nadzorców i regulatorów powinny zostać doprecyzowane i być rygorystycznie przestrzegane.

KB: Sformułował pan pewne postulaty, ale jesteśmy w roku wyborczym. Czy można snuć przypuszczenia, w jaki sposób wyewoluuje sytuacja w otoczeniu banków w zależności od wyników wyborów?

KP: Zawsze jest niebezpiecznie, kiedy w systemie finansowym zarówno władza właścicielska, zarządy, jak i władza regulacyjna są w jednym ręku. Pojawia się wówczas pokusa, żeby wykorzystywać dostępne instrumenty do stymulowania sukcesów politycznych. To jest zagrożenie. Może prowadzić do niepodjęcia w porę działań antyinflacyjnych, restrukturyzacyjnych, czyli różnych działań naprawczych, co w efekcie może zagrozić stabilności lub zrównoważonemu rozwojowi.

KB: Taka sytuacja miała miejsce w przypadku walutowych kredytów mieszkaniowych?

KP: Tak. Władza namawiała banki, żeby udzielały kredytów mieszkaniowych bez umiaru. Nie przyjęła w 2006 i 2007 r. próśb, żeby wprowadzić pewne ograniczenia i restrykcje, o co wnosiliśmy i ja sam podpisywałem wystąpienia w tej sprawie. A później, jak przyszło co do czego, to zamiast budować pewien konsensus i pomóc tym, którzy pomocy potrzebowali, władza się od nich odwróciła. Następnie zaakceptowano patologiczne rozwiązania polegające na pomaganiu wszystkim jak leci, czy tego potrzebują, czy nie – tu mam na myśli słynne wakacje kredytowe – a także nieprofesjonalne i naprawdę wyniszczające zaufanie i gospodarkę wnioski o opinie do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. A wystarczyło zadbać równocześnie o pomaganie klientom i stabilizowanie sektora bankowego. Zamiast tego mamy żal deponentów, że to ich kosztem jest i będzie udzielana pomoc, a jednocześnie mamy egzotyczne rozwiązania i interpretacje prawne. Dopuszcza się do sytuacji, w której bardzo wielu sędziów jest sędziami we własnej sprawie – ustala pewną linię orzecniczą, według której mają być rozstrzygane spory

o kredyty frankowe. Konflikt interesów dotyczy też części urzędników państwowych oraz części dziennikarzy zainteresowanych takim, a nie innym rozstrzygnięciem. To nie buduje zaufania i każe ostrożnie podchodzić do ryzyka w działalności bankowej.

KB: A w zeszłym roku prezes PiS Jarosław Kaczyński straszył, że jeżeli banki szybko nie podwyższą oprocentowania na lokatach – w związku z podniesieniem wysokości stopy referencyjnej przez NBP – zostaną obciążone podatkami od nadmiernych zysków.

KP: Uśmiecham się, bo prezes Kaczyński podawał w wątpliwość to, co powszechnie jest oczywiste, więc jego wypowiedź zabrzmiała trochę nieprofesjonalnie. Wiadomo było, że po podniesieniu stóp procentowych przez NBP podniesione zostaną stopy w bankach komercyjnych, najpierw stopy kredytowe – bo banki poniosły ogromne straty – a później stopy depozytów. Zawsze, w każdym kraju, owa sekwencja wygląda podobnie. Więc owa wypowiedź to było tworzenie iluzji sprawstwa. Oczywiście mogło być tak, że niektóre banki z kapitałem państwowym dały sygnał do podniesienia oprocentowania, ale na nowe środki, a po drugie – na określone terminy. Rząd powinien dawać rękojmię bezpiecznego zarządzania bankiem i bezpieczeństwa depozytów. Prezes banku byłby nieodpowiedzialny, gdyby reagował na takie polityczne zapowiedzi. To jest zbyt poważna sprawa, aby traktować ją kampanijnie.

KB: Wracając jeszcze do spraw frankowych – widać trend coraz bardziej ofensywnych działań prawniczych. Istotnym aktorem stały się kancelarie, a niektóre z nich realizują dość agresywny marketing i reklamują swoje pełnomocnictwo jako oręż do walki z banksterami. Jak reagują banki?

KP: Banki ostatecznie wybrały ścieżkę, która jest trudna, bo niesie wielkie koszty, ale prowadzi do rozłożenia obciążenia w czasie – aby móc wypracować zysk i mieć zdolność do pokrycia straty w ciągu paru lat, a jednocześnie nie utracić możliwości finansowania gospodarki. Bank zatem formułuje prośby do klientów o przystąpienie do ugody. Jeżeli taki koszt jest rozłożony w czasie, będzie trudny dla banku, ale akceptowalny. Wciąż pozostaje jednak pytanie, dlaczego musiało do tego dojść. Mamy niestabilność w Sądzie Najwyższym, który nie wydawał jakichś zdecydowanych rekomendacji, jaka powinna być linia orzecnicza w sprawach frankowych. Zatem sędziowie często orzekają we własnej sprawie i w wielu przypadkach tak kształtują linię orzecniczą, że jest ona korzystna z ich własnego punktu widzenia i osób im bliskich. Dochodzi w sądach do uznania absurdalnych argumentów, na przykład takiego, że pieniądź w czasie nie zmienia wartości. Skoro sądy decydują, że osoba, która pożyczyła 10 lat temu daną kwotę, ma ją teraz zwrócić bez żadnych odsetek, to znaczy, że nie uznaje się istnienia w tym

okresie inflacji, powiedzmy na poziomie 40 proc., nie uznaje się wzrostu wartości mieszkania, czasem o 50, a czasem o 100 proc., nie uznaje się wzrostu płac. Natomiast sam rynek usług prawnych w obszarze spraw frankowych, w który zaangażowało się bardzo wielu adwokatów i radców prawnych, jest wart kilka miliardów złotych i owe kancelarie na tym budują swoje strategie rozwojowe, próbują to rozgrywać.

KB: A wystarczyło w odpowiednim momencie rozsądnie informować o konsekwencjach takiego kredytu...

KP: To będzie kiedyś jedna z najbardziej fascynujących opowieści, jak można spaprać sprawę, która była do wyprostowania, którą można było rozwiązać zgodnie z zasadami solidarności społecznej. Pomimo próśb, pomimo proponowania konkretnych rozwiązań władze nie reagowały w odpowiednim tempie – ani Komitet Stabilności Finansowej, ani Sąd Najwyższy, a takie instytucje jak Rzecznik Finansowy czy UOKiK zachowywały się dziwnie. Krótko mówiąc, doprowadziliśmy do rozwiązania nieoptymalnego,

watnych przedsiębiorstw. A inwestycje prywatne w Polsce są na nędznym poziomie. W perspektywie jest to bardzo niebezpieczne, bo jeżeli się weźmie pod uwagę, że ślad węglowy polskich firm jest znacząco wyższy niż przedsiębiorstw w większości krajów Unii Europejskiej, to okaże się, że możemy mieć problem ze zbytem polskich produktów, które nie są wytworzone zgodnie z normami ESG, mówiącymi między innymi o ochronie środowiska.

KB: A czy moglibyśmy oczekiwać od banków nie tylko finansowania, ale także rozszerzenia świadomości? Chodzi mianowicie o to, aby banki same wychodziły do przedsiębiorców z ofertą i z produktami bankowymi, które będą swoistą wajchą pozwalającą skierować polską gospodarkę na zielone tory.

KP: Ja jestem z pierwszego wykształcenia przyrodnikiem. Dlatego też jakieś siedem lat temu na dorocznym Forum Bankowym i na walnym zgromadzeniu Związku Banków Polskich zwróciłem się o to, abyśmy rozpoczęli prace przygotowawcze do finansowa-

Wszystkie bez wyjątku banki będą musiały respektować zalecenia związane z ESG, obejmujące kwestie środowiska, społecznej odpowiedzialności i zarządzania organizacjami.

choć niektórzy uważają, że postępowali słusznie. Popelnili błąd i konsekwencje tego błędu będą odczuwali, bo upowszechniło się przekonanie, że wszystko jest dopuszczalne i wszystko można „wytupać”. Szczególnie wtedy, kiedy duża część banków jest związana ze Skarbem Państwa, bo wtedy na decyzje ma wpływ mechanizm polityczny.

W dzisiejszym świecie toczy się – i powinna się toczyć – dyskusja, w jaki sposób należy zarządzać środkami prywatnymi w instytucjach finansowych i szukać dopuszczalnego zarobku tych instytucji na usługach świadczonych dla obywateli. Ona zresztą toczy się od zawsze. Lecz na argumenty w tej dyskusji powinien mieć wpływ fakt, że jest nas 38 mln, więc gospodarka i sektor związany z jej finansowaniem siłą rzeczy mają spore rozmiary. A jeżeli spojrzymy na relacje funduszy własnych, kredytów dla przedsiębiorstw i kredytów mieszkaniowych z PKB, to zajmujemy 3.–5. miejsce od końca w całej Unii Europejskiej. Zdolność do finansowania jest niska, a banki są głównym dostawcą finansowania dla gospodarki. I powinny być głównym partnerem dla samorządów, które realizują ważne programy inwestycyjne, publiczne, ale przede wszystkim banki powinny być – i w miarę swoich możliwości są – dostawcą finansowania dla pry-

nia gospodarki w taki sposób, aby ona zmieniała się w gospodarkę mniej inwazyjną dla środowiska przyrodniczego i kuli ziemskiej. Wiele banków podjęło takie działania już kilka lat temu, ale teraz prowadzą je nie tylko ze względu na zdrowy rozsądek, ale także z obowiązku. Z tym, że w ramach światowego i europejskiego uzgodnienia dla wszystkich jest jasne, że gospodarka może restrukturyzować się w pewnym przedziale czasowym. Nie da się wszystkiego zrobić z dnia na dzień, bo potrzebujemy energii i dostaw pewnych towarów, na przykład stali. Zatem w niektórych przedsiębiorstwach programy te będą trwały 5, w innych – 10, a w jeszcze innych – 15 lat.

Niemniej jednak wszystkie bez wyjątku banki będą musiały respektować zalecenia związane z ESG, obejmujące kwestie środowiska, społecznej odpowiedzialności i zarządzania organizacjami. Jest wiele instytucji, które od lat nie finansują hutnictwa czy choćby zbrojeń. Banki informują, że mają zielone kredyty, zielone obligacje – ważną rolę w tej sprawie odgrywa Bank Gospodarstwa Krajowego, ale także Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska. Realizowane i finansowane są wielkie programy, takie jak fotowoltaika, wspieranie ekologicznych źródeł ciepła itd. Nie wszystkie są jeszcze dobrze zharmonizowane, ale działają. Fakt, że sporo ponad

milion osób w Polsce zdecydowało się na fotowoltaikę, wynika przecież ze współfinansowania albo przez Fundusze Ochrony Środowiska, albo przez banki.

Banki będą zatem mobilizowały przedsiębiorców, spełniając poniekąd rolę egzekutora projektów unijnych – odrzucone zostaną wszystkie projekty, które nie będą zgodne z ESG. Musimy zmienić polską energetykę, ona jest zabójcza. Jesteśmy czwartym emitentem w UE, jeżeli chodzi o dwutlenek węgla. Mało tego, w 2030 r. kilka instalacji profesjonalnej energetyki będzie musiało zostać zamkniętych. W przypadku energetyki i ciepłownictwa czekają nas ogromne projekty modernizacyjne o wartości miliardów złotych, a polski sektor bankowy, osłabiony różnymi obciążeniami – ratowaniem SKOK-ów, wakacjami kredytowymi, dodatkowym podatkiem bankowym z 2016 r. – nie ma odpowiednich zasobów. Jest najbardziej obciążonym sektorem bankowym w Unii Europejskiej, a niektórzy mówią, że najbardziej obciążonym na świecie.

U nas słyszy się różne bzdury od polityków na temat oszczędzania. A we Francji czy w Niemczech oszczędzający są premiovani. To nie są bardzo duże bonusy, ale istotne, na przykład w dobie niskich stóp procentowych w Niemczech oszczędzający otrzymywali 250 marek rocznie, a później – 130 euro. Stopy były niskie, więc dodatek „podwyższał” oprocentowanie depozytów, które mógł dać bank. Zresztą warto pamiętać, że prezydent Mościcki w okresie międzywojnia fundował książeczki oszczędnościowe dla wielu rodzin, a na tej książeczce zapisano, że pomyślność każdego kraju powinna być oparta na solidnej skale, jaką jest oszczędzanie.

Ja to nawet rozszerzę i stwierdzę – jako przyrodnik z pierwszego wykształcenia – że mówiąc o oszczędzaniu, nie myślę tylko i wyłącznie o oszczędzaniu w bankach czy inwestowaniu długoterminowym na giełdzie, ale również o oszczędzaniu energii, wody. Parę wieków temu Mikołaj Kopernik w preambule do swojego traktatu monetarnego napisał, że ludzkość jest targana wieloma plagami, ale cztery z nich są najgorsze: niezgody, zarazy, wyjałowienia gleby i czwarta plaga – niedostrzegana przez wiele osób i często ignorowana – czyli psucie pieniądza. Widać więc, że jego diagnoza jest ponadczasowa. Mieliśmy pandemię, wojnę, nadal tracimy glebę, w Polsce też wiele gleb jest już schemizowanych i nie nadaje się do upraw rolnych. Na świecie wielkie migracje nie wynikają z tego, że ludzie z Afryki lubią Europę, tylko po prostu tam się nie da żyć, bo nie ma wody, nie ma gleby. Liczenie na to, że się dostanie worek pszenicy raz na dwa miesiące, nie należy do przyjemności.

KB: Zatem sytuacja banków jawi się jako konieczność funkcjonowania w warunkach różnych obciążeń, presji, ale jak to zestawić z informacją o wysokich zyskach sektora

bankowego? Po dwóch pierwszych kwartałach były one bodajże rekordowe w skali ostatnich 12 lat.

KP: To jest kwestia umiejętności czytania komunikatów z uwzględnieniem, kto te komunikaty nadaje, dlaczego i w jakim okresie. Najlepiej spojrzeć na to w ten sposób: sprawdzić, jaki był komunikat na temat wyników poszczególnych banków w czerwcu czy w grudniu w ubiegłych latach, a następnie sprawdzić komunikaty ze stycznia albo lutego następnego roku, czyli po audycie. Nagle się okazuje, że część zysku znika. Co się stało? Czy ktoś ukradł? Nie, po prostu banki na mocy ocen profesjonalnych audytorów i nadzoru musiały „dotworzyć” rezerw w wysokości 2 albo 40 mld złotych w skali całego sektora.

Druga kwestia wpływająca na kondycję banków, którą należy łączyć z informacją o zyskach, to parametry portfela kredytowego. Po kryzysie finansowym w krajach strefy euro postanowiono oczyścić portfel bankowy z tak zwanych złych kredytów. I u nich nieregularność portfela została zmniejszona z 5–7 proc. do przeciętnego w UE poziomu 2,8–3,5 proc. Ale w Polsce poziom kredytów nieregularnych ciągle był wysoki, wynosił 6–7 proc. A portfel kredytowy sam się nie naprawi. Wiemy, że po pandemii część firm przetrwała i trwa nadal tylko dlatego, że dostała pomoc ze strony państwa. Powinny być zlikwidowane, bo są nierentowne, ale wciąż utrzymuje się je dzięki temu wsparciu. Lecz w końcu czeka je likwidacja i banki będą ich kredyty spisywać. Mamy zatem pewną pulę nieregularnych kredytów, których wartość można oszacować na 70 mld złotych. Ile z nich to kredyty stracone – trudno powiedzieć. Może to być 5, a może być i 20 miliardów. Powstaje pytanie, w jakim tempie owe kredyty będą się psuły. A to zależy od sytuacji nie tylko w Polsce, ale też na świecie, od cen energii, paliwa itd.

KB: Jak zatem – jeżeli nie na podstawie danych o zyskach – ocenić kondycję polskich banków?

KP: Najistotniejszą sprawą jest to, że w Polsce od roku 2012 systematycznie obniżała się rentowność sektora bankowego, a od 2015 r. nie było chętnych na kupowanie akcji polskich banków czy ich udziałów, nie powstawały również nowe banki. Dlaczego? Po prostu u nas nie ma atrakcyjnych warunków do funkcjonowania takiego biznesu jak bank ze względu na nadmierne obciążenia regulacyjne, paropodatkowe. Polski sektor bankowy jest nadmiernie obciążony i w związku z tym – mimo wysokiej efektywności kosztowej i jednego z najwyższych na świecie poziomów technologicznych – ma paradoksalnie niską rentowność, a to się przekłada na małą zdolność do odtwarzania kapitału. U producentów czołgów, autobusów itd. najważniejsze są maszyny, stal. A w bankach najważniejsze są, poza kadra, fundusze własne i oszczędności obywateli. I oczywiście klienci, którzy chcą się rozwijać. Natomiast w Polsce problem polega na

tym, że przy wysokiej niestabilności mamy też bardzo wysoką nieufność, bardzo niepewne prawo, nadmierne spory na scenie politycznej, rozchwianie różnych programów, w związku z tym zainteresowanie projektami rozwojowymi jest niewielkie, wręcz bardzo niskie. A my potrzebujemy zmienić energetykę i ciepłownictwo, digitalizować gospodarkę. Mamy wiele ciekawych narracji mówiących o niskim bezrobociu, ale nam brakuje rąk do pracy, za chwilę nie będzie tych, którzy są gotowi pracować na emerytów i rencistów. Każdego roku powinniśmy sprowadzać do Polski od 50 do 200 tys. imigrantów, aby utrzymać gospodarkę. A my mamy awanturę w sprawie programów imigracyjnych.

KB: Czytałem, że pomimo wzrostu oprocentowania kredytów hipotecznych klienci zasadniczo je spłacają.

KP: Kredyty mieszkaniowe zawsze były i zawsze będą bardzo dobrze spłacane – proszę zwrócić uwagę, że one są udzielane najzamożniejszemu Polakom. Dlaczego? Bo prawo stanowi jasno,

KB: A w przypadku owych małych i średnich przedsiębiorstw uwidacznia się jakiś niekorzystny trend?

KP: Tak, od kilku lat poziom nieregularności stale rośnie. To jest naturalne. Bardzo mocno zmienia się handel, formuły sprzedaży, więc wiele firm z tego obszaru miało kłopoty. Miały je też niektóre firmy budowlane, w niektórych brakowało zleceń, w innych – pracowników. Liczne przedsiębiorstwa nie wyszły na prostą po pandemii, dotyczyło to firm meblarskich, fitness klubów itd. Mamy też poważne opóźnienia w realizacji programów rozwojowych, tych, które będą finansowane w ramach KPO ze środków unijnych. Gdy te środki zostaną Polsce wypłacone, jest szansa, że niektóre firmy się przebranzowią, zmienią profil, przyjmą zlecenia wynikające z realizacji programu.

Dziś dużym problemem dla małych firm jest częstotliwość podnoszenia płacy minimalnej. Z jednej strony mają konkurencję ze strony największych graczy w wielu branżach, a z drugiej najsilniej odczuwają zmiany polityczno-prawne dotyczące

Trzeba dbać o stabilność banków, o profesjonalne zarządzanie, trzeba solidnie nadzorować, bo są one ważną częścią dobra wspólnego.

że taki kredyt może uzyskać osoba posiadająca zdolność kredytową, czyli zdolność do obsługi kredytu przez dany okres. Te długoterminowe kredyty, mimo że są zaciągane na 20 i 30 lat, bardzo często są spłacane w ciągu 8–12 lat. Często w tym czasie osoby spłacające otrzymują spadek po babci lub dziadku, czasem mieszkania przepisują im rodzice, awansują, więc zarabiają lepiej i mogą spłacić zobowiązanie.

KB: A jak idzie firmom spłacanie kredytów?

KP: Mamy kłopot z małymi i średnimi przedsiębiorstwami, bo tam poziom nieregularności spłat sięga 17 proc. całej puli kredytów. To nie dotyczy wielkich firm i organizacji, dlatego że one zazwyczaj obsługują jakąś poważną część rynku i bez względu na to, co się dzieje, mają zlecenia, rynek zbytu itd. Bardzo dobrze są spłacane kredyty mieszkaniowe, nieźle konsumenckie, choć tu bywa różnie w zależności od sytuacji na rynku pracy, nieźle spłacane są kredyty ratalne, słabo – kredyty małych i średnich przedsiębiorstw, trochę pogarszają się nawet kredyty w rolnictwie. Czasami kłopoty mają największe firmy – dla nich stabilność finansowania jest niezmiernie ważna, bywa jednak, że podczas realizacji wielkich projektów sytuacja makroekonomiczna ulega istotnej zmianie.

przedsiębiorczości, bo nie stać ich na ponoszenie coraz wyższych kosztów.

KB: Na koniec poproszę pana o rekomendacje dla polityków dotyczące sektora bankowego w związku z październikowymi wyborami parlamentarnymi.

KP: Chciałbym, żeby wszyscy klienci banków, w tym przedsiębiorcy, byli przekonani, że mogą liczyć na polski sektor bankowy. I że banki będą robiły wszystko, żeby świadczyć usługi, bo z tego żyją, po to są budowane i tworzone. Natomiast ważne jest dziś, żeby stabilizować ekosystem do szeroko rozumianej działalności gospodarczej. Bo w warunkach zaufania i stałości niezbędnej do budowy tego silnika gospodarki, jakim są kapitały w bankach, będą one mogły lepiej służyć wszystkim klientom.

Trzeba dbać o stabilność banków, trzeba solidnie nadzorować, dbać o profesjonalne zarządzanie, bo jest to ważna część dobra wspólnego. Taki kraj jak Polska, blisko 40-milionowy, musi mieć solidną i własną część systemu finansowego, po to, aby amortyzować różnego rodzaju szoki wewnętrzne, a także czasami szoki transgraniczne, takie jak ten związany z pandemią i wojną w Ukrainie.

Wysoka jakość, prestiż marki i nowe pojmowanie patriotyzmu – wyniki sondażu „Teraz Polska”

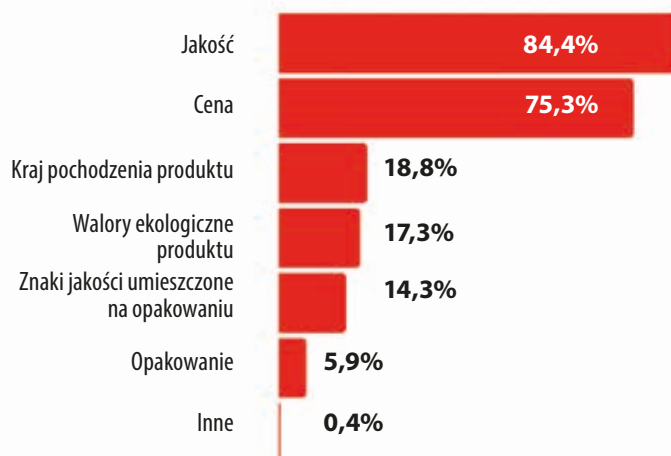
Polacy podczas zakupów stawiają na jakość, wybierają produkty krajowego pochodzenia, wysoko cenią Godło „Teraz Polska”. Co ciekawe, zmienia się nasze pojmowanie patriotyzmu – niemal 40 proc. badanych deklaruje gotowość do obrony ojczyzny w obliczu zagrożenia. Z wyników tegorocznego sondażu „Teraz Polska”, które przedstawiamy w niniejszym raporcie, dowiadujemy się również, jak można zwiększyć sprzedaż produktu i usługi oraz prestiż marki.

Od ponad trzech dekad Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego wyłania produkty i usługi najwyższej jakości i nagradza je Godłem „Teraz Polska”. Obecnie trwa przyjmowanie zgłoszeń do 34. edycji Konkursu „Teraz Polska”. Fundacja działa na rzecz promowania krajowej przedsiębiorczości, monitoruje zachowania konsumentów i trendy rynkowe oraz uczestniczy w debacie publicznej, wyrażając opinie w sprawach kluczowych dla gospodarki kraju. Od kilkunastu lat realizuje badania, które mają na celu analizę głównych czynników wpływających na decyzje zakupowe Polaków. Tegoroczna edycja sondażu „Teraz Polska” powstała we współpracy z firmą badawczą ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku, na próbie losowo wybranych 1011 dorosłych Polaków, w technice badawczej CAWI.

Jakość jeszcze ważniejsza

Polscy konsumenci podczas zakupów na pierwszym miejscu stawiają jakość, a dopiero później zwracają uwagę na cenę produktów i usług. Na pytanie: „Co jest dla Pani/Pana najważniejsze podczas codziennych zakupów?” aż 84,8 proc. ankietowanych od-

Co jest dla Pani/Pana najważniejsze podczas codziennych zakupów? Proszę o wybranie trzech odpowiedzi. (N = 1011)

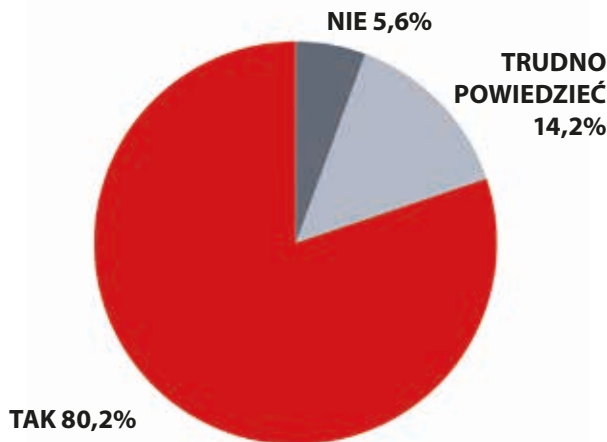


powiedziało, że jakość (w zeszłorocznej edycji badania – 81 proc.), natomiast cena została wskazana przez 77,3 proc. respondentów (75,3 proc. w zeszłym roku). Na kraj pochodzenia produktu wskazało 18,8 proc. respondentów, a na walory ekologiczne – 17,3 proc.

Z badań wynika, że konsumenci są zarówno bardziej świadomi, jak i wymagający. Dostęp do informacji nigdy nie był tak szybki i prosty, więc również w ten sposób – poprzez weryfikowanie doniesień o marce, sprawdzanie cech produktów, a także poznawanie opinii innych klientów – konsumenci oceniają jakość.

Świadomy i wymagający konsument zdaje sobie sprawę, że ona kosztuje. Na pytanie: „Czy byłby Pan skłonny / byłaby Pani skłonna zapłacić więcej za produkt wysokiej jakości?” ponad 80 proc. respondentów odpowiedziało, że tak. Raptem 14,2 proc. badanych było niezdecydowanych i tylko 5,6 proc. zadeklarowało, że nie zapłaci więcej za taki produkt. Wydaje się zatem, że wciąż uczymy się racjonalności konsumenckiej – w świecie ogromnej konkurencji cenowej i zalewu dóbr coraz powszechniejsza może być świadomość, że zakup produktu nieco droższego, ale solidniejszego i oferującego lepsze walory użytkowe ostatecznie bardziej się opłaca.

Czy byłby Pan skłonny / byłaby Pani skłonna zapłacić więcej za produkt wysokiej jakości? (N = 1011)



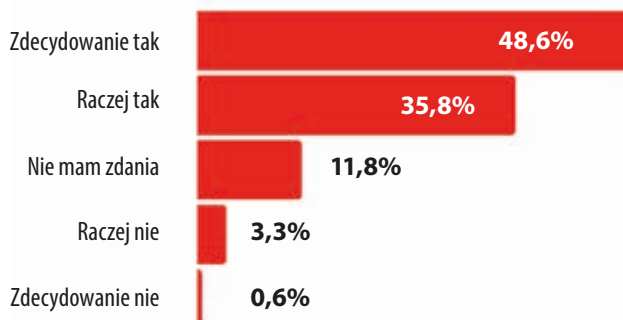
Oczywiście cena nadal odgrywa bardzo istotną rolę w decyzjach zakupowych. Polacy chcą nabywać produkty i usługi możliwie jak najwyższej jakości, ale za kwotę mieszczącą się w pewnych akceptowalnych granicach.

Praktyczny patriotyzm konsumentki

Z badania wynika, że miejsce pochodzenia produktu jest – obok jego walorów ekologicznych – ważnym czynnikiem przy podejmowaniu decyzji zakupowych. Co więcej, kupowanie polskich produktów jest obecnie postrzegane jako jeden z przejawów patriotyzmu (26,8 proc.).

Coraz więcej Polaków zdaje sobie sprawę, że decyzje zakupowe jednostki mają wpływ na kondycję krajowej gospodarki i PKB. Można nawet powiedzieć, że od kilku lat panuje pewnego rodzaju moda na kupowanie polskich produktów, a zwłaszcza na wspieranie małych, lokalnych firm. Trend ten jest skutecznie wykorzystywany przez przedsiębiorców, którzy budują swoją markę w oparciu o regionalne pochodzenie, wielopokoleniową tradycję i polski kapitał. Nic dziwnego, skoro aż 84,4 proc. ankieterów, mając możliwość wyboru, deklaruje zakup produktów polskiego pochodzenia. Tylko 3,9 proc. respondentów było przeciwnego zdania.

Czy zgadza się Pan/Pani ze stwierdzeniem, że mając możliwość wyboru, należy kupować produkty polskiego pochodzenia? (N = 1011)



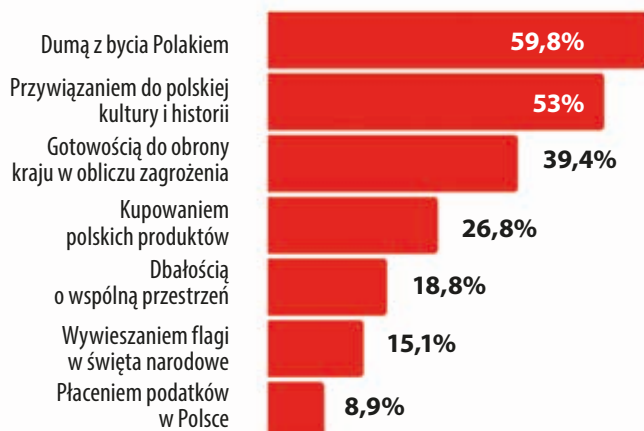
Michał Lipiński, dyrektor Konkursu „Teraz Polska”

Świadomość, że warto kupować polskie produkty i usługi, właściwie jest już powszechna wśród konsumentów. Oferta krajowych przedsiębiorców w niczym nie ustępuje zagranicznej, czego potwierdzeniem jest także rosnący eksport. Druga kwestia to czynnik ekonomiczny – nabywając krajowe produkty i usługi, mamy wpływ na to, gdzie trafią nasze pieniądze. Oczywiście w przypadku kupowania rodzimych wyrobów nasze pieniądze w większości zasilają polskie firmy. Dzięki temu nasze codzienne decyzje zakupowe mogą wspierać polskich przedsiębiorców. Kolejna rzecz to aspekt etyczny, coraz częściej brany pod uwagę przez konsumentów, zwłaszcza ludzi młodych. Wybierają oni polskie produkty, ponieważ są one wytwarzane z uwzględnieniem dobrostanu pracowników i poszanowaniem ich praw, a lokalna produkcja nie odbija się negatywnie na stanie środowiska naturalnego.

Dumni, przywiązani do kultury, gotowi do obrony

Sondaż „Teraz Polska” nie bada wyłącznie postaw i zachowań konsumentki. Zapytaliśmy respondentów również o to, czym jest dla nich dzisiaj patriotyzm. Mogli zaznaczyć maksymalnie trzy spośród siedmiu zaproponowanych odpowiedzi. Patriotyzm to dla nas przede wszystkim duma z bycia Polakiem – takiej odpowiedzi udzieliło 59,8 proc. badanych. Aż 53 proc. respondentów uważa, że owym patriotyzmem jest przywiązanie do polskiej kultury i historii, a 39,4 proc. rozumie go jako gotowość do obrony kraju w obliczu zagrożenia. Te trzy wskazywane najczęściej postawy patriotyczne mają pewien symboliczny i górnolotny charakter, ich reprezentowanie i deklarowanie mają swoje źródło w narracjach pochodzących z dzieł narodowej kultury i tradycyjnego sposobu wychowania. Kolejne wskazywane przez respondentów manifestacje patriotyzmu mają charakter praktyczny. W tej kategorii najpopularniejszą odpowiedzią była wspomniana już deklaracja tłumacząca współczesny patriotyzm jako kupowanie polskich produktów (26,8 proc.). Nieco mniej osób wskazuje w tym kontekście na dbałość o wspólną przestrzeń (18,8 proc.) i wywieszanie flagi narodowej z okazji świąt narodowych (15,1 proc.). Co ciekawe, na ostatnim miejscu spośród wskazanych rozumień patriotyzmu znalazło się płacenie podatków w Polsce – takie przekonanie podziela raptem 8,9 proc. respondentów.

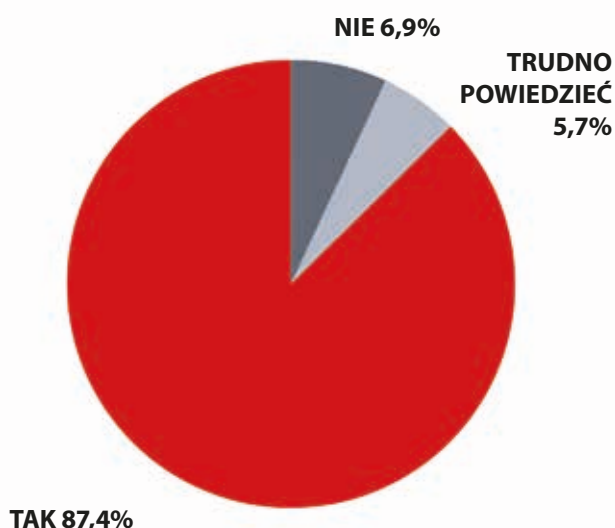
Czym jest dla Pana/Pani patriotyzm dziś? (N = 1011)



Godło „Teraz Polska”

Od wielu lat Godło „Teraz Polska” należy do najbardziej rozpoznawalnych znaków promocyjnych w Polsce. Jego znajomość w badaniach ankietyjnych corocznie deklarowało 70–80 proc. respondentów. W tegorocznym badaniu znajomość Godła zadeklarowało rekordowe 87,3 proc. badanych. Rośnie rozpoznawalność i renoma tego znaku, gdyż konsumenci doceniają jego rolę w procesie podejmowania decyzji zakupowych.

Czy jako konsument spotkał się Pan / spotkała się Pani kiedykolwiek ze znakiem „Teraz Polska”? (N = 1011)



Ankietowani, zapytani o skojarzenia z produktami i usługami nagrodzonymi Godłem „Teraz Polska”, wskazują głównie polskie pochodzenie (86,1 proc.), dużą rozpoznawalność (82,9 proc.), stabilną jakość (70 proc.). Jest to zgodne z ideą Godła „Teraz Polska” i oczekiwaniami przedsiębiorców, którzy przystępują do Konkursu.

Najważniejszą korzyścią wynikającą z posługiwania się przez firmę Godłem „Teraz Polska” jest zachęcenie konsumenta czy klienta do zakupu produktu i usługi nim oznaczonych. Laureaci Konkursu dokonują swoich badań i deklarują pozytywny wpływ na wyniki sprzedażowe używania Godła „Teraz Polska” w działaniach promocyjnych. Zapytaliśmy zatem respondentów, czy znak „Teraz Polska” jest dobrym sposobem oznaczania wysokiej jakości produktów i usług oraz czy zachęca do ich zakupu. Aż 82 proc. badanych odpowiedziało twierdząco, co wydaje się wyraźną przesłanką dla zarządzających biznesem, dyrektorów sprzedaży i marketingu, strategów biznesu, że Godło „Teraz Polska” wydajnie wspomaga rynkowy sukces.



Krzysztof Przybył,

prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego

Dziś kluczowe jest budowanie marki polskiej gospodarki. Z pewnością wyzwaniem to podejmują firmy, które startują w Konkursie „Teraz Polska”. Budując swoje marki, sięgają po wsparcie w postaci Godła „Teraz Polska”, które w rozumieniu konsumentów jest symbolem zaufania, najwyższej jakości, krajowego pochodzenia, prestiżu. Laureaci Konkursu „Teraz Polska” reprezentują to, co najlepsze w przedsiębiorczości. A jest ona najpotężniejszą siłą, która może zmieniać społeczeństwo i poprawiać życie jednostek. W swej istocie przedsiębiorczość polega na zidentyfikowaniu problemu, a następnie na odwadze i kreatywności, które pozwolą ów problem rozwiązać. Wiedzie do tego droga podejmowania ryzyka, eksperymentowania i wyciągania wniosków z porażek – nie jest to zatem droga łatwa. Lecz podążanie nią doprowadza do powstania czegoś nowego i wartościowego, czego wcześniej nie było. A przemierzanie jej z solidnym wsparciem – Godłem „Teraz Polska” – zwiększa prawdopodobieństwo sukcesu.



**Michał Lipiński,
dyrektor Konkursu „Teraz Polska”**

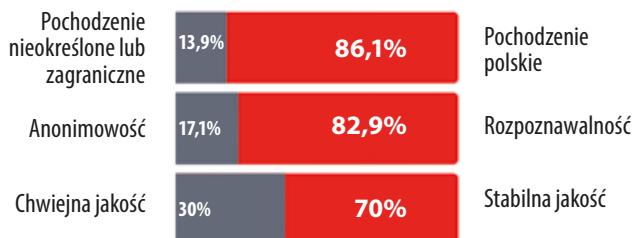
Na decyzję zakupową składa się nie tylko ocena walorów produktu, ale także emocje. Klienci wybierają marki, za którymi stoją wartości czy historie spójne z ich oczekiwaniami, pragnieniami, potrzebami. To wszystko odnajdują w biało-czerwonym znaku „Teraz Polska”. Dowodzą tego twarde dane. Dlatego serdecznie zachęcam wszystkich przedsiębiorców do wzięcia udziału w 34. edycji Konkursu. To wyjątkowa szansa, by stać się wizytówką polskiej gospodarki.

Polskie marki odznaczają się rozpoznawalnością i zaufaniem konsumenta ze względu na wysoką jakość i konkurencyjną cenę, które idą w parze z walorami użytkowymi. Teraz walczą o prestiż. Tylko to pozwoli im dominować na krajowym rynku, ale również wygrać z konkurencją za granicą. Czy w staraniach o wzmocnienie polskich marek może być pomocne Godło „Teraz Polska”? Zapytaliśmy respondentów, czy sądzą, że wyróżnienie firmy znakiem „Teraz Polska” wzmacnia jej prestiż. Aż 80,4 proc. badanych odpowiedziało twierdząco. To jest dowód efektywności wyjątkowego narzędzia biznesowego, jakim jest Godło „Teraz Polska”.

Z jakimi cechami kojarzą się Panu/Pani produkty/usługi nagrodzone Godłem „Teraz Polska”?

Proszę o dokonanie wyboru jednej cechy z każdej pary.

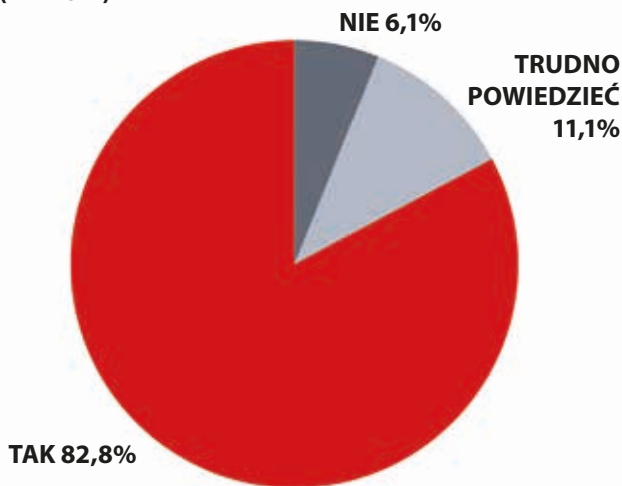
(N = 1011)



6,1% respondentów udzieliło odpowiedzi: Godło „Teraz Polska” z niczym mi się nie kojarzy.

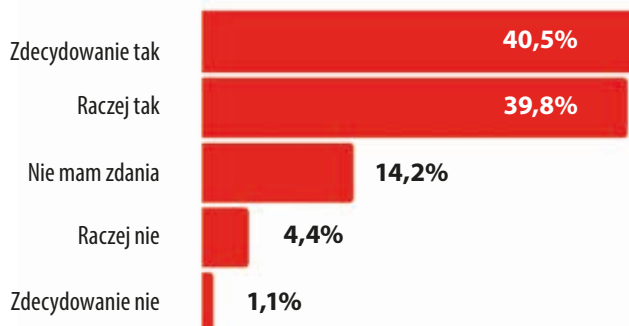
Czy według Pana/Pani logo „Teraz Polska” jest dobrym sposobem oznaczania wysokiej jakości polskich produktów/usług i zachęca do ich zakupu?

(N = 1011)



Wyniki badania kolejny rok z rzędu potwierdzają, że Godło „Teraz Polska” budzi zaufanie klientów i wzmacnia prestiż marki, a także bezpośrednio wpływa na decyzje zakupowe. Kluczowymi czynnikami decydującymi o zakupie są jakość i polskie pochodzenie, czyli cechy produktów i usług wyróżnionych Godłem „Teraz Polska”.

Czy zgadza się Pani/Pan ze stwierdzeniem, że wyróżnienie firmy znakiem „Teraz Polska” wzmacnia jej prestiż? (N = 1011)



Jeśli jesteś zainteresowany uczestnictwem w Konkursie „Teraz Polska” i chcesz uzyskać więcej informacji, skontaktuj się z nami (tel. 22 826 01 91, e-mail: konkurs@terazpolska.pl).



Godło „Teraz Polska” z rekordową rozpoznawalnością

Godło „Teraz Polska” należy do najbardziej rozpoznawalnych znaków promocyjnych w Polsce. W ciągu ostatnich lat jego znajomość w badaniach ankietowych deklarowało 70–80 proc. respondentów. W tegorocznym sondażu znajomość Godła zadeklarowało rekordowe 87,3 proc. badanych.

Michał Lipiński, dyrektor Konkursu „Teraz Polska”

Według mnie przyczyn tak wysokiej rozpoznawalności znaku „Teraz Polska” jest kilka. Pierwsza i najbardziej oczywista to fakt, że symbol ten funkcjonuje na polskim rynku nieprzerwanie od ponad 30 lat. W tym czasie Fundacja koncentrowała się na tworzeniu marki Godła „Teraz Polska” jako symbolu, który firmuje wysokiej jakości produkty i usługi wytwarzane w Polsce. Nasze działania promocyjne miały i mają na celu przede wszystkim upowszechnianie Godła „Teraz Polska” oraz wyjaśnianie korzyści wynikających z kupowania polskich produktów.

Polacy świadomie wybierają polskie produkty

Mówimy tutaj o świadomym wyborze produktów i usług wytwarzanych w naszym kraju, czyli o tym, co w ekonomii nazywamy patriotyzmem konsumenckim. W ostatnich latach obserwujemy, że coraz więcej konsumentów zwraca uwagę właśnie na kraj pochodzenia produktu oraz wie, dlaczego podczas zakupów lepiej wybrać rodzimy produkt niż jego zagraniczny odpowiednik. Ten fakt dostrzegają również przedsiębiorcy. Wielu z nich zdecydowało się na tworzenie własnych marek w oparciu o regionalne pochodzenie, wielopokoleniową tradycję i polski kapitał. Oczywiście konsumenci oprócz polskiego pochodzenia poszukują w produktach i usługach także odpowiednio wysokiej jakości.

A Godło „Teraz Polska” symbolizuje te dwie wartości: wysoką jakość, potwierdzoną przez niezależnych ekspertów, i polskie pochodzenie. W tym również możemy upatrywać rosnącą rozpoznawalność znaku „Teraz Polska”.

Rekordowa rozpoznawalność Godła „Teraz Polska”

Nie bez znaczenia pozostaje również fakt, że w ciągu ponad 30 lat trwania Konkursu „Teraz Polska” prawo do korzystania ze znaku otrzymało ponad 850 firm. Zawsze powtarzam, że na sukces znaku „Teraz Polska” nie pracuje wyłącznie Fundacja, która jest jego administratorem. Markę „Teraz Polska” budują przede wszystkim laureaci Konkursu, którzy korzystają ze znaku na opakowaniach nagrodzonych produktów, w kampaniach reklamowych czy działaniach wizerunkowych. A ponieważ Godło „Teraz Polska” budzi zaufanie klientów, okazuje się dla przedsiębiorców skutecznym narzędziem promocyjnym, wzmacniającym sprzedaż nagrodzonych produktów i usług.

Mówiąc o postrzeganiu znaku „Teraz Polska”, nie możemy oczywiście zapomnieć o mediach. Bez współpracy i wsparcia Konkursu „Teraz Polska” ze strony wielu redakcji, które od lat informują o jego rozstrzygnięciach, prezentują nagrodzone produkty i usługi, relacjonują naszą coroczną galę, nie moglibyśmy dzisiaj mówić o rozpoznawalności na poziomie ponad 87 proc.

Kto sięga po Godło: rynkowi liderzy czy małe i średnie przedsiębiorstwa?

Od początku Konkursu „Teraz Polska” większość uczestników stanowiły małe i średnie przedsiębiorstwa. Nie powinno to dziwić, ponieważ właśnie takie firmy w największym stopniu mogą odczuć korzyści, które oferujemy laureatom. Gdy analizujemy listę uczestników, a później zwycięzców, to co roku dominują na niej firmy zatrudniające do 250 osób. Wśród laureatów mamy wiele małych rodzinnych firm, które działają na lokalnych rynkach, ewentualnie oferują specjalistyczne produkty lub usługi dla stosunkowo wąskiej grupy odbiorców. Oczywiście są też liderzy, którzy z powodzeniem funkcjonują zarówno w Polsce, jak i za granicą. Wystarczy wymienić chociażby takie firmy, jak Pruszyński Sp. z o.o. (potentat w produkcji stalowych pokryć dachowych i elewacyjnych) czy FAKRO (drugi największy producent okien dachowych na świecie).

Kryteria oceny stosowane w Konkursie „Teraz Polska”

Zawsze staram się zwracać uwagę na ważną kwestię związaną z procedurą wyłaniania zwycięzców. Głównymi kryteriami stosowanymi przy ocenie zgłoszeń są jakość i nowoczesność produk-

tu lub usługi. Pytamy również o kwestie związane na przykład ze wskaźnikiem reklamacji, z zadowoleniem klientów czy o dotychczasowe sposoby promocji, ale wszystkie pytania dotyczą zgłaszanych produktów i usług. W ankiecie konkursowej nie ma pytań związanych z funkcjonowaniem firmy. Jest tak dlatego, że w Konkursie „Teraz Polska” nie oceniamy firm, a jedynie zgłaszane przez nie produkty i usługi. Zatem szansę na sukces w Konkursie mają reprezentanci wszystkich firm, niezależnie od wielkości przedsiębiorstwa czy skali działania.



Wystartuj w Konkursie i zdobądź Godło „Teraz Polska”

To nasze hasło promocyjne, ale też zachęta dla wszystkich polskich przedsiębiorców, którzy chcą wyróżnić swoją firmę na rynku i zyskać przewagę konkurencyjną; którzy oferują produkty lub usługi wysokiej jakości i chcą wykorzystać siłę marketingową Godła w swojej strategii sprzedażowej i wizerunkowej. Raz jeszcze podkreślę, że nie ma znaczenia, czy firma zatrudnia kilka, czy kilkaset osób, ponieważ

wielkość firmy nie jest kryterium oceny w Konkursie. Liczy się jakość produktów i usług, ich innowacyjność, polskie pochodzenie.

Trwa przyjmowanie zgłoszeń do Konkursu „Teraz Polska”. Wniosek konkursowy można składać do **31 stycznia 2024 r.**, a laureatów kolejnej edycji poznamy na początku czerwca 2024 r.



Szczegóły dotyczące warunków udziału w Konkursie „Teraz Polska” można znaleźć na stronie www.konkursterazpolska.pl lub uzyskać w Fundacji, kontaktując się z nami mailowo: konkurs@terazpolska.pl.



Chciał, aby życie na wodzie było bardziej komfortowe

Sprzedaje luksusowe houseboaty na całym świecie

- Przygodę z budową jednostek pływających rozpocząłem od parostatków. Czternaście lat temu zatrudniłem pięciu szkutników, którzy zbudowali parostatek z mahoni. Miał pływać zarobkowo, jednak zarobku żadnego nie było, bo choć rejs kosztował pięć złotych – było to za drogo.
- Czasami nawet na łodziach za miliony euro toalety są bardzo małe. Chcieliśmy zrobić to wszystko inaczej i tak wymyśliliśmy nasz pierwszy houseboat.
- Do tej pory wyprodukowaliśmy 450 houseboatów i każdy był inny, wyjątkowy. To trwa dłużej i więcej kosztuje. Czasami klienci tego nie doceniają, ale ja uważam, że warto. Zbudowaliśmy markę, jesteśmy znani w całej Europie i z przytupem wyruszyliśmy na podbój Ameryki.
- Niektórym się wydaje, że houseboat to taki kontener na wodzie, a tymczasem wiąże się z nim wiele skomplikowanych aspektów technicznych. Najważniejsze dla tego rodzaju jednostki pływającej są stateczność i stabilność.
- Musiałem sprzedawać swoje nieruchomości, żeby spłacać długi. Nie było łatwo, trzeba było mieć, kolokwialnie mówiąc, twardą dupę. Ratowały mnie wykształcenie techniczne i ekonomiczne oraz wytrwałość, jaką nabyłem, będąc sportowcem, a także oparcie w rodzinie.

Z **Witoldem Witkowskim** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Jak zrodziła się wizja budowy domów na wodzie? Czy to biznes, czy romantyzm?

Witold Witkowski: Jestem związany z Bydgoszczą, która ma bogate tradycje szkutnicze. Przed wojną działała tutaj Fabryka Lloyda w ramach Bydgoskiego Towarzystwa Żeglugi Holowniczej, które było jednym z większych przedsiębiorstw żeglugi śródlądowej w kraju. Fabryka produkowała m.in. kotły parowe, żurawie, różnego rodzaju konstrukcje stalowe i łańcuchy holownicze. Ja swoją przygodę z budową jednostek pływających rozpocząłem od parostatków. Czternaście lat temu zatrudniłem pięciu szkutników, którzy zbudowali parostatek z mahoni. Silnik zakupiłem w USA, w blokach. W Polsce ślusarz najpierw przerobił go na metryczne wymiary, a później bloki obtoczył i wykonał silnik dwutłokowy. Parostatek miał pływać zarobkowo, jednak zarobku żadnego nie było, bo choć rejs kosztował pięć złotych – było to

za drogo. Zbudowałem jeszcze drugi parowiec pokazowy. Chciałem poznać środowisko miłośników parowców, jeździłem więc na różne zloty – w Szwajcarii policzyłem, że członków klubu jest 120, a parostatków zaledwie pięć. Pomyślałem, że wreszcie trafiłem do grupy potencjalnych klientów, a okazało się, że byli to turystyczni maniacy, którzy chcieli się załapać na darmowy rejs. Nie mogłem sprzedać ani jednego z tych dwóch parostatków.

Po raz pierwszy z houseboatingiem spotkałem się przez przypadek w Skandynawii. Zobaczyłem, że płynie jakiś domek, a gość stoi z tyłu i steruje. Dopiero na targach w Düsseldorfie okazało się, jak ciekawa jest to nisza. Widziałem tam houseboaty bez żadnych wygód, w stylu drewnianego domku Brda na wodzie. W międzyczasie na swoich motorówkach zwiedzaliśmy z żoną urokliwe zakątki w Polsce i Europie, ale odczuwaliśmy – a szczególnie żona – brak komfortu życia na łodzi. Czasami nawet na łodziach za miliony euro

toalety są bardzo małe. Chcieliśmy zrobić to wszystko inaczej i tak wymyśliśmy nasz pierwszy houseboat. Dwanaście lat temu zbudowaliśmy dwie sztuki i wynajmowaliśmy je latem z dużym sukcesem. Przede wszystkim wstawiliśmy sterówki do środka, aby kapitan nie stał na zewnątrz, często na wietrze i deszczu, kiedy wszyscy świetnie bawią się we wnętrzu. Już po pierwszych targach udało nam się sprzedać dwie jednostki do Korei Południowej i jedną w okolicy Berlina. Był to wielki sukces, ale szybko okazało się, że nie mogliśmy rozwinąć produkcji. Robiliśmy maksymalnie sześć jednostek rocznie i tak to trwało przez pięć lat, co prawie doprowadziło firmę do bankructwa. Tylko silna wola i wiara mojej żony we mnie pozwoliły przetrwać ten trudny okres. Zakończyłem inny biznes i skupiłem się tylko na tym. Nagle przyszedł boom: udało się wyprodukować 25 jednostek w ciągu roku, potem 50 i 75, a gdy przyszedł covid – nawet ponad 100 rocznie. Niestety, wraz z wojną w Ukrainie trend wzrostowy nieco spowolnił. Rynek niemiecki, który był głównym odbiorcą, ma swoje problemy, więc szukamy nowych kierunków zbytu.

Witold Witkowski

– polski przedsiębiorca związany z Bydgoszczą. Założyciel i właściciel firmy La Mare Houseboats, która projektuje, tworzy i sprzedaje na całym świecie komfortowe pływające domy.



© LA MARE HOUSEBOATS

KB: W każdym biznesie ważni są niezawodni wspólnicy i solidni kooperanci.

WW: Nie mamy wspólników i inwestorów. Natomiast trzeba mieć szczęście do dealerów, którzy grają *fair play* – będą terminowo płacić, nie podrobią naszych rozwiązań i nie przejmą nieuczciwie naszych kontraktów. Miałem niestety takiego pracownika, który zaczął robić swoje jednostki, kopiując moje jeden do jednego. Ukradł mi nawet kontrakt na 20 houseboatów i przejął moich pracowników. Pojechał do Niemiec jako mój przedstawiciel, a podpisał kontrakt w swoim imieniu. To wydarzyło się siedem lat temu, a dopiero dwa miesiące temu zapadł prawomocny wyrok, który uznał go winnym zarzucanych czynów. Teraz pozostaje wyegzekwowanie zasądzonej kary... Grunt, że sprawiedliwość zatriumfowała.

KB: Houseboating jest wysokospecjalistyczną dziedziną z zakresu budownictwa lądowego i wodnego.

WW: Niektórym się wydaje, że houseboat to taki kontener na wodzie, a tymczasem wiąże się z nim wiele skomplikowanych aspektów technicznych. Do tej pory zrobiliśmy ponad 400 jednostek i cały czas się uczymy, bo zmienia się technika i wchodzi w życie nowe rozwiązania. Najważniejsze dla tego rodzaju jednostki pływającej są stateczność i stabilność. Pracę zaczynamy zwykle od mojej wizji, którą przenosi na papier Artur Długosz. Następnie powstaje dokumentacja techniczna, która jest podstawą dla działu produkcji. Wystrojem wewnątrz zajmuje się moja żona, która podąża za najnowszymi trendami, ale oczywiście musi mieć na uwadze życzenia klienta.

Nasze jednostki są całoroczne – w odróżnieniu od jachtów czy motorówek. Staramy się, żeby użytkownik nie dostrzegał różnicy, czy mieszka w houseboacie, czy apartamencie hotelowym. Dlatego dbamy o dobrą izolację, stosujemy okna dwu- lub trzyszybowe, klimatyzację, ogrzewanie gazowe, podłogowe – wszystko zgodnie z wyborem klienta. Nasze jednostki różnią się od jachtów i motorówek też tym, że są samowystarczalne energetycznie. Ilość wytworzonej energii wystarczy na użytkowanie wiosną, latem i jesienią. Zimą – nie, ale wtedy rzadko kto pływa. Ale i zimą można użytkować houseboaty w marinie. Cieszą się coraz większym zainteresowaniem, bo ludzie przekonują się, że mogą w nich mieszkać przez cały rok. Poza tym – piękny widok jest zawsze gratis. Jeżeli nie pasuje nam sąsiedztwo, to zawsze można odpłynąć.

KB: Na jakie rynki już wpłynęliście?

WW: Zajęliśmy całą Europę, od południowych krańców po północne. Najdalej na zachód stoi pięć naszych jednostek na środku oceanu, dokładnie pomiędzy Europą a Ameryką, na którą z impetem wpływamy. Jestem przekonany, że będziemy rządzić tam w najbliższych latach. Mamy nadzieję otworzyć fabrykę na Bliskim Wschodzie. Jestem pod wrażeniem rozmowy biznesowej w Arabii Saudyjskiej – *sky is the limit*. Prowadzimy też rozmowy na Dalekim Wschodzie, w Indonezji, Tajlandii i Hongkongu.

KB: A jak wygląda transport houseboatu z fabryki w Polsce do klienta na Florydzie? Sam houseboat raczej tam nie popłynie...

WW: Houseboat jest przeznaczony przede wszystkim do cumowania w portach lub pływania po spokojnych wodach śródlądowych. Służy do mieszkania, a kto chciałby żyć w domu, w którym kołyszecie? Houseboaty transportuje się na statkach, ale nie w kontenerach. Jest to więc duży koszt, dlatego usilnie pracujemy nad jego zmniejszeniem. A jak – to już pozostaje tajemnicą firmy.

KB: Kim są nabywcy houseboatów?

WW: Można ich podzielić ze względu na powody zakupu. Są to raczej osoby starsze, zamożne, które już wszystko widziały, a mieszkanie na houseboacie traktują jako ciekawostkę i możliwość pobycia w ciszy na łonie natury. Nie chcą już pływać na łodziach, bo nie chce im się ciągnąć lin, stawiać żagla i przebywać w niskich pomieszczeniach. Potrzebują komfortu, a przynajmniej wygody.

Obserwuje się taki trend wśród Anglików, którzy mają samodzielne dzieci, a sami przeszli na emeryturę. Wtedy często sprzedają swoje za duże domy za miliony funtów, kupują houseboat z trzema pokojami, a pozostałą część pieniędzy przeznaczają na podróże do ciepłych krajów w okresie zimowym. Houseboaty wtedy stoją w marinie, gdzie są całkowicie obsługiwane, sprzątane, zabezpieczone w wodę i prąd. Właściciel nie ma kłopotów, nie ma schodów do pokonania, żyje w pięknym i spokojnym otoczeniu natury.

Druga grupa to inwestorzy, którzy widzą w tym możliwość wynajmu i szybszego spłacenia kapitału w porównaniu do tradycyjnych nieruchomości, jak apartamenty w apartotelu. Inwestycja w houseboat potrafi się zwrócić w ciągu pięciu lat, podczas gdy



zwrot na nieruchomości w ciągu 10 lat trzeba traktować jako niespodziewany sukces.

Następna grupa to hotele, które chcą powiększyć bazę noclegową. Kolejna grupa to osoby prywatne, które mają działkę bez możliwości zabudowy przy wodzie lub nie mają działki, ale chcą być przy wodzie. Dzisiaj coraz trudniej kupić nieruchomość bezpośrednio przy wodzie, a jeżeli już się uda – to za niebotyczne sumy. Na Zachodzie jest to już całkowicie niemożliwe. W przypadku houseboatu mamy luksusowy dom nad wodą i nie musimy kosić trawy ani dbać o płot. Nie płacimy nawet za prąd, bo mamy własny.





© LA MARE HOUSEBOATS (2)

Same plusy, które trzeba ludziom pokazać. Również marinom, które na razie są nastawione na jachty i motorówki. One stoją w nich pół roku, a potem nabrzeża świecą pustkami. Gdy stoją nasze jednostki – w marinie tętni życie przez cały rok, zyskuje lokalny biznes, restauracje czy choćby wypożyczalnie rowerów.

KB: Jest pan jednym z pionierów houseboatingu w Polsce, a rozpoczynanie czegoś nowego nie należy do najłatwiejszych, bo trzeba pokonać obostrzenia prawne, a nawet przyzwyczajenia kulturowe.

WW: Cofnijmy się o 12 lat, czyli do momentu mojego startu w tym biznesie. Uważam, że wtedy były optymalne warunki do rozpoczęcia nowego biznesu, dlatego że koszty jeszcze były niskie w porównaniu do innych krajów, a byliśmy już w Unii Europejskiej, mieliśmy dostęp do technologii, nowoczesnego systemu bankowego i Internetu, hale przemysłowe miały dobre lokalizacje, przepisy prawnoksięgowe nie były skomplikowane, koszty zatrudnienia pracowników były rozsądne. Oczywiście trzeba było mieć kapitał, bo banki nie finansowały nowych pomysłów. Ja wtedy prowadziłem inny biznes, który był bardzo dobry, ale został zamknięty z powodu zmiany przepisów. Dlatego miałem kapitał na nowe przedsięwzięcie. Kiedyś na targach spotkałem się z przedsiębiorcą z Brazylii, który prowadził biznes jachtowy. Powiedział mi tak: „Byłem miliarderm, a teraz jestem tylko milionerem, bo zacząłem produkować jachty”. I taki ten biznes właśnie jest. Trzeba w niego włożyć bardzo dużo pieniędzy, żeby móc cokolwiek sprzedać i zarobić. W naszym przypadku również trwało to długo – sześć czy siedem lat. Dzisiaj, jeżeli start-upy nie zarobią w ciągu dwóch lat, to się je likwiduje. Ja musiałem sprzedawać swoje nieruchomości, żeby spłacać długi. Nie było łatwo, trzeba było mieć, kolokwialnie mówiąc, twardą dupę. Ratowa-

ły mnie wykształcenie techniczne i ekonomiczne oraz wytrwałość, jaką nabyłem, będąc sportowcem, a także oparcie w rodzinie. Nie jest łatwo zarobić pierwszy milion. Współczuję dzisiejszej młodzieży, bo w globalnej wiosce coraz trudniej jest wyszukać swoją niszę w biznesie „analogowym”, czyli niezwiązanym z IT. Dziś już nie udałoby mi się rozpocząć biznesu z houseboatami. Polska jest trzecim największym producentem jachtów laminatowych, ale ja nie chciałem być setnym producentem jachtowym. Zawsze lubię być pierwszy i zawsze płacę wielkie frycowe.

KB: Kto ma szanse odnieść sukces w tym biznesie ?

WW: Trudno powiedzieć. Jak już wspomniałem, skończyłem technikum elektryczne oraz Wydział Nauk Ekonomicznych i Zarządzania na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Ważną rolę w moim życiu odegrał sport, który wyrobił we mnie wytrzymałość, sumienność, upór, wytrwałość. Trenowałem koszykówkę, otarłem się o szeroką kadrę Polski, grałem też w regionalnych klubach w Bydgoszczy i Toruniu.

Kiedy szukałem szkutników do robienia parostatków, to usłyszałem od dyrektorki technikum drzewnego, że takiego kierunku w Polsce nie ma, a jesteśmy potentatem w szkutnictwie. Trudno dzisiaj zainteresować młodzież ciężką pracą. Wszyscy chcą być influencerami. A kto będzie pracował? Sztuczna inteligencja nie wyręczy nas w manualnych zawodach, szybciej już zastąpi informatyków. W naszej firmie pracownik musi być sumienny, dokładny, mieć własną inicjatywę, a przede wszystkim – musi myśleć. Do tej pory wyprodukowaliśmy 450 houseboatów i każdy był inny, wyjątkowy. To trwa dłużej i więcej kosztuje. Czasami klienci tego nie doceniają, ale ja uważam, że warto. Zbudowaliśmy markę, jesteśmy znani w całej Europie i z przytupem wyruszyliśmy na podbój Ameryki.



Ekskluzywne polskie wina owocowe podbijają świat

- Od 2013 r. robię wino w warunkach domowych, dla znajomych. Cały balkon był zastawiony różnymi zbiornikami, a ja starałem się szkolić, szukałem nowych procedur.
- Najważniejszy jest każdy zadowolony klient, który swoim znajomym poleci nasze produkty, bo ostatecznie to rynek buduje wartość marki.
- Miarą rozwoju jest wolumen sprzedaży. On pokazuje nam, czy rynek zaakceptował produkt. Nagrody również są ważne, bo utwierdzają konsumenta w przekonaniu, że produkt jest jakościowy.
- Naszą misją jest zagospodarowanie polskich owoców, które nierzadko się marnują. Dlatego nawiązaliśmy współpracę z rolnikami i sadownikami, którzy dobrze rozumieją filozofię usług rzemieślniczych.
- Grozi nam wycinanie dobrych plantacji, jeśli nie zbudujemy solidnego modelu zagospodarowania produkcji owoców. Rynkiem rządzą duże przetwórnice owocowe, które wybierają tańsze produkty zza wschodniej granicy.

Z **Marcinem Bańcerowskim** rozmawia Kamil Broszko.

Kamil Broszko: Jak zaczęła się pana przygoda z winem?

Marcin Bańcerowski: Jestem pasjonatem winiarstwa. Od 2013 r. robię wino w warunkach domowych, dla znajomych. Początkowo było to wino z winogron. Cały balkon był zastawiony różnymi zbiornikami, a ja starałem się szkolić, szukałem nowych procedur. I tak natrafiłem na informacje o winie porzeczkowym. Ze względu na to, że te owoce są popularne i łatwo dostępne w Polsce, zacząłem robić wino z czarnej i czerwonej porzeczki. Znajomym od razu zasmakowało, chcieli je nawet kupować, ale ja pracowałem wtedy w klubie sportowym, więc winiarstwo traktowałem jako hobby, zaś wino dalej rozdawałem przyjaciołom, a nawet partnerom biznesowym. Aż przyszedł rok 2020, wybuchła pandemia, nie byłem już związany z klubem, a znajomi nadal namawiali mnie, abym robił wino na sprzedaż. Uznałem, że lepszej motywacji i znaku z niebios już nie trzeba. Z narzeczoną podję-



Marcin Bańcerowski – producent wina pod marką DiWine.

Przedsiębiorca, który za cel działalności postawił zagospodarowanie polskich owoców przy równoczesnej odbudowie tradycji win owocowych z dwudziestolecia międzywojennego. Swoją działalnością wspiera krajowych rolników, budując markę polskich produktów. Wierzy, że współpraca jest jedyną możliwą drogą do osiągnięcia sukcesu.



liśmy decyzję, aby produkować wino owocowe i sprzedawać je w taki sposób, że nie będzie kojarzone negatywnie z popularnym przed laty jablem. W maju 2020 r. stworzyliśmy markę DiWine – z połączenia angielskich słów *divine* i *wine*, oznaczających boskie wino.

KB: Czekają państwa ogromna praca, aby odciąć się od konotacji z winem z najniższej półki.

MB: Niezawodną formą przekonania klienta jest prezentacja i degustacja. Piękna, malowana butelka i wyjątkowy smak. Pomocne są także wyróżnienia i nagrody, które zdobyliśmy w kraju i za granicą. One uwiarygadniają markę w oczach klientów. Ale najważniejszy jest każdy zadowolony klient, który swoim znajomym poleci nasze produkty, bo ostatecznie to rynek buduje wartość marki.

KB: Jakie są kamienie milowe w rozwoju tego biznesu, który jest stosunkowo młodym przedsięwzięciem?

MB: Miarą rozwoju jest wolumen sprzedaży. On pokazuje nam, czy rynek zaakceptował produkt. Nagrody również są ważne, bo utwierdzają konsumenta w przekonaniu, że produkt jest jakościowy. Naszą misją jest zagospodarowanie polskich owoców, które nierzadko się marnują. Dlatego nawiązaliśmy współpracę z rolnikami i sadownikami, którzy dobrze rozumieją filozofię usług rzemieślniczych. Skupiamy się na zwiększaniu sprzedaży i poszukiwaniu nowych kanałów dystrybucji, a nagrody potwierdzają słuszność obranego kierunku.

Rozpoczęliśmy sprzedaż dopiero w grudniu 2021 r., a portfolio produktów wciąż jeszcze nie jest kompletne. Naszym głównym produktem jest wino w malowanej butelce, przeznaczone szczególnie na prezenty, więc apogeum sprzedaży osiąga w czwartym kwartale każdego roku. Przygotowujemy także butelkę zakręcaną, by móc oferować wino w niższym segmencie cenowym. Obecnie skupiamy się na wprowadzeniu do restauracji wina w kegach, co traktujemy nie tylko jako element sprzedaży, ale też jako idealne miejsce pre-

zentacji i popularyzacji. Nasze wino pojawia się także na polskich lotniskach jako markowy prezent z Polski. Uznaliśmy ten krok za strategiczny dla budowania prestiżu marki. Będzie to promocja nowo rodzącego się segmentu win owocowych z polskich owoców.

KB: Czy możliwe jest konkurowanie z krajami, których tradycja winiarstwa jest bardzo silnie ugruntowana?

MB: Budujemy nowy segment i odnosimy sukcesy. W lipcu nasze wino z czarnej porzeczki otrzymało brązowy medal w konkursie w Londynie. Nawiasem mówiąc, najwięcej zgłoszeń win owocowych pochodziło z Hiszpanii. W Polsce opinia o winach owocowych jest skażona złą sławą z czasów PRL-u, bo nie znamy naszej bogatej tradycji tych produktów z okresu dwudziestolecia międzywojennego. Dlatego mamy ogromną pracę do wykonania, ale też perspektywy są obiecujące. Obserwujemy wzrost zainteresowania owocowymi napojami alkoholowymi. Soki owocowe pojawiają się w piwach i mocnych alkoholach. Nie każdy wie, że Polska produkuje 90 proc. światowych zbiorów aronii. Jesteśmy także liderem Unii Europejskiej w produkcji czarnej porzeczki. Francuzi używają czarnej porzeczki do aperitifów na bazie kiru czy crème de cassis. Jesteśmy największym producentem jabłek w UE, ale nie wypromowaliśmy cydru, który jest najbardziej popularny w Anglii. Mamy ważną przewagę – Polska jest postrzegana jako kraj zdrowych owoców. A ich wartości odżywcze znajdują się także w winach owocowych, których proces wytwarzania nie wymaga podwyższonej temperatury. Potwierdza to badanie, które wykonaliśmy wspólnie z SGGW. Dlatego mamy wiele argumentów, aby budować markę dobrych produktów na rynku wewnętrznym. Dopiero wtedy z pełną odpowiedzialnością i odwagą wyruszymy na podbój rynków zagranicznych.

KB: Polskie owoce są postrzegane jako zdrowe, ale przede wszystkim są smaczne.

MB: Tymczasem grozi nam wycinanie dobrych plantacji, jeśli nie zbudujemy solidnego modelu zagospodarowania produkcji owoców. Rynek jest nieuregulowany, nie ma przewidywalności ceny, więc rządzą nim duże przetwórcze owocowe, które wybierają tańsze produkty zza wschodniej granicy. Tam są lepsze, wydajniejsze gleby i większe moce przerobowe. Na razie mamy przewagę jako kraj o wysokiej wiarygodności, ale jeśli przegapimy ostatni moment i nie zbudujemy silnej marki, to będziemy marnować owoce. To już teraz się dzieje – tysiące ton porzeczki zostaje na krzakach. Za chwilę tak stanie się z wiśniami i jabłkami. Plantacje mogą zostać zlikwidowane i przestaniemy być krajem zdrowych, smacznych owoców.

KB: Czy dlatego DiWine w ramach swojej strategii nawiązuje relacje z krajowymi producentami i bazuje na rodzimych owocach?

MB: Dokładnie tak. Bazujemy tylko i wyłącznie na krajowych owocach. Jeżeli będziemy rozwijać działalność za granicą, to też wykorzystamy polskie owoce. Konieczne jest przeszkolenie rolników

i producentów rolnych w budowaniu marek produktów, bo to jest kluczowe w utrzymaniu produkcji. Obecnie mamy słabo rozwinięty rynek marek lokalnych, dlatego łańcuchy dostaw są długie, co powoduje, że rodzime owoce są droższe niż importowane z zagranicy. Bardzo ciekawą opcją są samozbiory, które powinny być nieodzownym elementem strategii rolników i sadowników. Niezależenie od urodzaju i ceny rynkowej zawsze pewna część plantacji powinna być przeznaczona na samozbiory. Wtedy jest szansa, że taka możliwość zakupu owoców utrwali się w świadomości klientów i stanie się ich nawykiem. Jeśli dzieje się to incydentalnie, jak dotychczas, jeśli zaprasza się ludzi dopiero wtedy, kiedy już widać, że zbiorów nie da się zebrać, to takie rozwiązanie nie będzie dobrze działać. Można także rozwijać sprzedaż wysyłkową, co przy obecnej ofercie firm kurierskich nie powinno stanowić większego problemu. Kolejnym rozwiązaniem jest przetwórstwo, wokół którego buduje się przemysł turystyczny i czasu wolnego, czego świetnym przykładem są kraje południa Europy. Tam wokół wina tworzy się kultura kulinarna i turystyka. Na północy Szkoci i Irlandczycy organizują turystykę wokół whisky. A my zrobimy ją wokół wina owocowego.

KB: Czym zajmuje się winiarz na co dzień?

MB: Wszystkim, a czym dokładnie – to zależy od pory roku. Teraz, czyli w okresie produkcyjnym, wyzwaniem jest stworzenie dobrego wina. Projektowanie i produkcję opakowań mamy już opanowane, więc następnymi etapami związanymi bezpośrednio ze sprzedażą są: logistyka, czyli szybkie dostarczenie produktu do klienta, komunikacja z klientem i promocja. Na styczeń i luty planujemy rozmowy z restauracjami oraz wprowadzanie na rynek produktów w nowych, tańszych opakowaniach. Chcemy, aby nasz produkt stał się masowy w tzw. segmentach biorących, czyli w cenie sprzedaży 20–30 zł za butelkę. Polskie wina porzeczkowe, wiśniowe, aroniowe mogą w tej kategorii konkurować z zagranicznymi winami i wierzę, że Polacy je docenią.

Rodzimi konsumenci jeszcze nie są przekonani do wina w kartonowych opakowaniach, które są bardzo popularne we Włoszech czy Francji. Z punktu widzenia logistyki jest to optymalne i dużo tańsze rozwiązanie. Dzięki temu konsument płaci mniej za produkt tej samej jakości. Niższe są też koszty ekologiczne, bo ślad węglowy związany z butelkami jest większy. Wino ma być dostępne, a więc w dobrej cenie, zatem powinno być sprzedawane w kartonach i kegach.

KB: W niektórych włoskich winiarniach są bardzo eleganckie sklepy z regałami zastawionymi ślicznymi butelkami, ale są też dystrybutory, jak na stacjach benzynowych. Można przyjść z własnym pojemnikiem, wziąć taki pistolet z wężem i wlać sobie wino. Bardzo chętnie zobaczyłbym coś takiego również w Polsce.

MB: Planujemy uruchomić taką usługę w przyszłym roku – „z beczki do buteleczki!”. W Jabłonnie jest punkt, w którym można

w ten sposób zakupić wino i samemu sobie zakorkować. Lokalne winiarnie powinny oferować wino za 15–20 zł, aby mieszkańcy mogli spożywać trunki wyprodukowane z rodzimych owoców przez sąsiada.

KB: Jakie regulacje prawne obowiązują przy reklamie napojów alkoholowych? Zdaje się, że nie jest łatwo wprowadzić nowy produkt na polski rynek.

MB: Polska jest pod tym względem wyjątkowym krajem. Mamy bardzo zaostrzone przepisy, jeśli chodzi o kwestie reklamy, sprzedaży i wysyłki alkoholu. Opieramy się nadal na regulacjach z 1982 r.! Niezbędne są zmiany w zakresie promowania, ale także oznaczania i banderolowania alkoholi. Jeżeli chcemy zrobić z tego dochodowy segment gospodarki, który wykorzysta marnujące się owoce, to musimy wprowadzić jak najwięcej udogodnień w produkcji i promocji. Oczywiście nie nawołuję do nadmiernego spożywania alkoholu, używajmy go mądrze. Wino jest produktem naturalnej fermentacji, który towarzyszy człowiekowi od tysięcy lat. Jest elementem kultury. Trzeba zrewidować przepisy, patrząc na problem w długofalowej perspektywie. Zakazy rzadko skutkują ograniczeniem spożycia, za to mądra strategia komunikacji może przynieść korzystne rezultaty.

KB: Jak wygląda produkcja wina owocowego?

MB: Podobnie jak wina gronowego. Owoce są zbierane, czyszczone i trafiają do mielarki. W niej eliminowane są liście, gałązki i szypułki, tak jak w przypadku winogron. Zmielone owoce trafiają do kadzi maceracyjnych, gdzie rozpoczyna się proces fermentacji w owocu. W tym momencie dodajemy drożdże i syrop cukrowy, aby podwyższyć alkohol i zmniejszyć kwasowość wina. Po kilku dniach (przy jasnych owocach) lub kilkunastu (przy ciemnych owocach) następuje wyciskanie moszczu, który trafia do kadzi stalowych, gdzie odbywa się dalszy proces fermentacji. Po fermentacji następuje zlew nad osadu, filtrowanie i leżakowanie wina. Wino na razie nie leżakuje w beczkach, choć w mojej opinii są wina z porzeczeki czy aronii, które będą nadawać się do beczki. Robiliśmy już testy, które wyszły obiecująco, więc część będzie beczkowana, a część będzie leżakować.

KB: Zatem przyszłość polskiego wina owocowego wygląda obiecująco.

MB: Wina rodzime rodzą dodatkowe emocje. Nasz mózg szybko łączy smaki z naszymi odczuciami, wspomnieniami. Często podczas degustacji słyszymy, że wino smakuje jak porzeczeki z krzaka u babci. To jest wspaniały produkt dla Polonii, a mamy 20 mln Polaków za granicą. Nie wysłaliśmy im krzaka porzeczeki, ale możemy wysłać wino zrobione z polskiej porzeczeki. Ci ludzie będą wracali do wspomnień z dzieciństwa w Polsce i będą mogli opowiadać swoim znajomym za granicą rodzinne historie z polskich domów. To jest niesamowity potencjał wina jako trunku promującego Polskę i polskie owoce na świecie. A nasi klienci są naszymi ambasadorami.

Beneficjentami naszej technologii są **lekarze i pacjenci**



Krzysztof Mędrala
– menedżer, inwestor. Przez wiele lat kierował działami sprzedaży i rozwoju biznesu, a także pełnił rolę prezesa w spółkach branży finansowej. Przez ostatnie cztery lata był prezesem działającej w obszarze technologii medycznych spółki Med App, której produkt – Carna Life Holo – został nagrodzony Godłem „Teraz Polska”.

- Aplikacja Carna Life Holo jest wykorzystywana w obszarze najbardziej zaawansowanych zabiegów w kardiologii interwencyjnej, chirurgii onkologicznej, ortopedii, laryngologii, urologii i pediatrii.
- Jeżeli chodzi o nawigację medyczną, to będziemy jednym z pierwszych podmiotów, który zaproponuje wizualizację holograficzną 3D.
- Jesteśmy na początku drogi. Ale jeżeli przyjrzymy się liderom światowego rynku robotyki, chociażby takim graczom jak Intuitive Surgical, który oferuje roboty DaVinci, to okazuje się, że im pierwszy okres rozwoju zajął kilkanaście lat.
- Mamy świadomość, że rozwój technologii medycznych mocno przyspieszył od czasu covidu. To obliguje nas do ciągłego rozwoju Carna Life Holo. Każdego roku staramy się wdrażać dwie nowe istotne funkcjonalności podnoszące zakres zastosowania naszej technologii.
- Nie obawiam się niechęci ze strony lekarzy. Z jednej strony mamy deficyt personelu medycznego, z drugiej – zwiększa się liczba chorób i postępuje starzenie się społeczeństwa.
- Jeżeli przeanalizuje się wyniki sprzedaży nowych technologii, to zauważymy, że w skali globalnej rynek amerykański generuje blisko 50–60 proc. wolumenu sprzedaży.

Z **Krzysztofem Mędralą** rozmawia Kamil Broszko.



Kamil Broszko: Jaki jest główny profil firmy MedApp i jej najważniejsze osiągnięcia?

Krzysztof Mędrala: MedApp od 2016 r. koncentruje się na rozwoju swoich głównych kompetencji: sztucznej inteligencji, analizie dużych zbiorów danych, modelowaniu i wizualizacji holograficznej 3D oraz integracji z zewnętrznymi urządzeniami diagnostycznymi. To, co jest ostatnio bardzo trendy, my robimy już od kilku dobrych lat.

Spółka stopniowo rozwija swoje technologie. W 2017 r. po raz pierwszy uzyskała certyfikację medyczną dla technologii Carna Life, w 2020 r. przechodziliśmy recertyfikację, a aktualnie jesteśmy w procesie recertyfikacji technologii w standardzie MDR. Certyfikat CE daje nam możliwość oferowania naszych rozwiązań w Unii Europejskiej i części krajów Bliskiego Wschodu. MedApp posiada również brazylijską certyfikację Anvisa, a od maja tego roku, jako jedna z niewielu polskich spółek technologicznych, posiadamy certyfikację FDA, umożliwiającą wykorzystanie naszej technologii Carna Life Holo w zakresie planowania zabiegów w USA.

Spółka rozwija dwie główne technologie. Pierwsza to Carna Life System, która służy do zbierania i przetwarzania danych medycznych, chociażby z pulsoksymetru, termometru, wagi czy z EKG. Te dane poprzez połączenie z zewnętrznymi urządzeniami diagnostycznymi są przetwarzane w chmurze z wykorzystaniem algorytmów i trafiają do lekarzy, wspierając proces diagnostyki w danym obszarze. Sugerują lekarzom, na co powinni zwrócić uwagę. To rozwiązanie jest stosowane w przychodniach, tam, gdzie mamy kontakt z pacjentem. Drugim rozwiązaniem – przygotowanym dla specjalistów z obszaru kardiologii interwencyjnej, chirurgii onkologicznej, ortopedii, urologii i pediatrii – jest aplikacja Carna Life Holo, która jest wykorzystywana w planowaniu i realizacji zabiegu w oparciu o wizualizację 3D pochodzącą z danych obrazowych typu tomograf, rezonans, CT, angiograf. Z tych urządzeń czytujemy dane do naszego systemu i poprzez okulary HoloLensy wizualizujemy jako model 3D dane, które są analizowane przez lekarza w trakcie zabiegu. Lekarz może wejść w strukturę organu – przykładowo wątroby, serca czy stawu biodrowego – i taki model obracać, powiększyć lub pomniejszyć. Jest wiele funkcji, które w zależności od konkretnej specjalizacji znajdują zastosowanie kliniczne. Dzisiaj aplikacja Carna Life Holo jest wykorzystywana w obszarze najbardziej zaawansowanych zabiegów w kardiologii interwencyjnej, chirurgii onkologicznej, ortopedii, laryngologii, urologii i pediatrii.

Od lutego 2022 r. w oparciu o Carna Life Holo spółka rozwija również nawigację medyczną. Otrzymaliśmy grant z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju i rozwijamy kolejną technologię, bazując na naszej podstawowej kompetencji, czyli wykorzystaniu sztucznej inteligencji, analizie dużych zbiorów danych i wizualizacji holograficznej oraz modelowaniu 3D. To jest rozwiązanie, które pozwoli podpowiadać, sugerować lekarzom, jak w pewnych sytuacjach optymalnie przeprowadzić zabieg, żeby potencjalnie skrócić czas jego trwania, zmniejszyć ilość powikłań, podnieść jakość, standard i komfort, zarówno po stronie lekarza, jak i pacjenta.

KB: To wszystko brzmi kosmicznie. Patrząc z perspektywy zwykłego pacjenta, który ma kontakt z polską służbą zdrowia, rodzi się pytanie: kiedy taka nowoczesna medycyna zagości w naszych przychodniach?

KM: Jeżeli chodzi o nawigację medyczną, to będziemy jednym z pierwszych podmiotów, który zaproponuje wizualizację holograficzną 3D. Rozwiązania polegające na tym, że można zobaczyć plan zabiegu na płaskim ekranie, już się zdarzają. Ale my będziemy liderem oferującym nowy standard wizualizacji, która będzie podpowiadała w 3D, jak wbić igłę, gdzie naciąć skalpelem, zarówno przy okazji zabiegu ortopedycznego, jak i biopsji. W pierwszym kwartale 2024 r. powinien zakończyć się etap walidacji i wtedy spółka przystąpi do certyfikacji. Zakładamy, że w drugiej połowie przyszłego roku technologia będzie dostępna dla szpitali i ośrodków, które chciałyby z niej korzystać.

Co do zasady nowoczesne technologie medyczne są stosunkowo drogimi rozwiązaniami, zatem niewiele szpitali może je zaabsorbować. Obecnie w Polsce jest kilkanaście szpitali, które stosują aplikację Carna Life Holo, ale ich liczba rośnie, pojawiają się nowe dodatkowe środki. Liczymy na to, że KPO umożliwi szpitalom szybsze wdrożenia naszej technologii. Jesteśmy na początku drogi. Ale jeżeli przyjrzymy się liderom światowego rynku robotyki, chociażby takim graczom jak Intuitive Surgical, który oferuje roboty DaVinci, to okazuje się, że im pierwszy okres rozwoju zajął kilkanaście lat. Cieszymy się dzisiaj, że bardzo szybko przybywa tych robotów w Polsce, bo jest ich 38, zaś w Niemczech – ponad 100. Sukces wdrożenia robotów DaVinci w naszym kraju to ostatnie 3–4 lata. W minionym roku pojawiły się pierwsze refundacje zabiegów z ich użyciem. Wierzymy, że przeprowadzenie programu „Mother and Child” spopularyzuje wykorzystanie naszej technologii i da nam argumenty, by zachęcić Ministerstwo Zdrowia do otwarcia dla niej ścieżki refundacyjnej.

KB: A jak wygląda rynek? Czy mają państwo bezpośrednią konkurencję?

KM: Sama technologia staje się coraz bardziej popularna, można wymienić kilka firm, które pracują nad zbliżonymi rozwiązaniami, część z nich jest mocno zaawansowana. Ale nie wystarczy mieć technologię, trzeba jeszcze przejść proces walidacji, certyfikacji, posiadać polisę ubezpieczenia odpowiedzialności cywilnej. Nasza technologia jest jedyną w Europie, która posiada klasę IIb. To oznacza, że można ją wykorzystywać zarówno na etapie planowania, jak i podczas operacji na sali zabiegowej. Pozostałe technologie mogą być wykorzystywane tylko do planowania.

Mamy świadomość, że rozwój technologii medycznych mocno przyspieszył od czasu covidu, to obliuguje nas do ciągłego rozwoju Carna Life Holo. Każdego roku staramy się wdrażać dwie nowe istotne funkcjonalności podnoszące zakres zastosowania naszej technologii. Są już dostępne publikacje naukowe, które potwierdzają, że dzięki wykorzystaniu Carna Life Holo przy pewnych procedurach onkologicznych lekarze są w stanie skrócić czas

zabiegu o jedną trzecią. To jest ogromna wartość kliniczna, która przekłada się również na korzyści ekonomiczne. Beneficjentami naszej technologii są lekarze i pacjenci.

KB: Jak lekarze reagują na coraz większą obecność technologii w ich dziedzinie? Czy nie pojawia się niechęć, nieufność wobec maszyn, które wchodzą trochę w obszar kompetencji, doświadczenia, a być może w przyszłości będą chcieli owych lekarzy zastąpić?

KM: Nie mamy jeszcze doświadczeń w odniesieniu do nawigacji, ale prezentując technologię Cerna Life Holo, nie spotkaliśmy się z takimi zastrzeżeniami. Lekarze są bardzo otwarci, pod warunkiem że technologia jest zweryfikowana i zapewnia bezpieczeństwo pacjentom. Nasza nawigacja, która niebawem będzie wykorzystana, w żadnym stopniu nie zastąpi lekarza czy personelu medycznego, jedynie pozwoli zoptymalizować pewne procesy, podpowie i ułatwi, pomoże w diagnozie. My dajemy dodatkowe narzędzie, wsparcie, aby zabieg zaplanować najlepiej, jak to możliwe – lekarzom również na tym zależy. Dzięki temu będą mogli optymalnie zaplanować przeprowadzenie procedury, wykonać więcej zabiegów w ciągu dnia, ratując życie większej liczby pacjentów. Proszę też pamiętać, że pewne procedury nie są przeprowadzane bardzo powszechnie, w związku z tym lekarze muszą się długo przygotowywać do takiego zabiegu. Dzięki narzędziom i technologii są w stanie skrócić czas przygotowania i mają większą pewność, że rezultat będzie pozytywny. Wiele rozwiązań pozwala również konsultować się zdalnie. Nie obawiam się niechęci ze strony lekarzy. Z jednej strony mamy deficyt personelu medycznego, z drugiej – zwiększa się liczba chorób i postępuje starzenie się społeczeństwa.

KB: A jaki jest próg wejścia dla lekarza chcącego stosować państwa technologię?

KM: Nasza dzisiejsza technologia Cerna Life Holo wymaga przeszkolenia, ale w przypadku lekarzy ono trwa 20–30 minut. Szkolimy również operatorów, którzy są wsparciem dla lekarzy podczas zabiegu. W ich przypadku szkolenie trwa dwie godziny. Obsługa technologii, którą teraz oferujemy, nie jest skomplikowana. Lekarz może nawigować głosem lub gestami i dzięki temu w sterylnych warunkach ma cały czas dostęp do danych pacjenta podczas zabiegu. W przypadku procedur ze wsparciem nawigacji szkolenie będzie dłuższe. Dziś często zdarza się, że lekarze chcą zobaczyć w ośrodkach referencyjnych, w jaki sposób technologia jest wykorzystywana. I tam przechodzą pierwsze szkolenie, spotykają się z lekarzami, którzy z tej technologii korzystają.

KB: Rygorystyczna amerykańska certyfikacja FDA umożliwia państwu sprzedawanie swojego rozwiązania amerykańskiej służbie zdrowia. Czy zdobycie tego uprawnienia jest bardzo skomplikowane?

KM: Jest to bardzo skomplikowana i wymagająca procedura. W naszym przypadku trwała 11 miesięcy. Przed złożeniem wniosku przechodziliśmy procedurę pre-aproval, współpracowaliśmy z firmą Parexel przez 16 miesięcy, przygotowując się do złożenia tego dokumentu. Zatem to daje około 2,5 roku pracy, aby uzyskać tę certyfikację – i to przy wsparciu bardzo doświadczonego doradcy. Cała dokumentacja jest składana w języku angielskim. Co tydzień odbywaliśmy spotkania statusowe, żeby odpowiednio ją przygotować, a całość dokumentacji była weryfikowana przez naszego doradcę. Przed złożeniem finalnego wniosku odbyliśmy wstępne spotkanie z przedstawicielami FDA, w trakcie którego weryfikowali oni gotowość do złożenia dokumentacji.

KB: A to dlatego, że amerykański rynek nowych technologii medycznych oceniany jest jako najbardziej perspektywiczny?

KM: Tak. Jeżeli przeanalizuje się wyniki sprzedaży nowych technologii, to zauważymy, że w skali globalnej rynek amerykański generuje blisko 50–60 proc. wolumenu sprzedaży. To też wynika ze sposobu finansowania służby zdrowia w USA i zaawansowania technologii medycznych na tamtym rynku.

KB: A jakie jeszcze rynki są interesujące dla branży technologii medycznych?

KM: Kanada, Meksyk, Brazylia, kraje UE, Indie, Australia i oczywiście Chiny. Natomiast w tym ostatnim przypadku dostawcy nowoczesnych technologii są ostrożni, bo żeby w Chinach osiągnąć sukces, trzeba mieć mocnego lokalnego partnera, a jego pozyskanie nie jest łatwe.

KB: Jak pan trafił do branży technologii medycznych?

KM: Zaczynałem w branży finansowej jako przedstawiciel handlowy, oferując finansowanie zakupów ratalnych, wtedy jeszcze w Lukasie. To były czasy, kiedy rynek bardzo dynamicznie się rozwijał. Pracowałem również w zespole HR, szkoląc pracowników z zakresu negocjacji i otwierając oddziały bankowe Lukas Banku. W 2004 r. zostałem szefem spółki dystrybucyjnej Eurobanku, a następnie wiceprezesem Eurobanku SA. Moja historia w dużej mierze wiąże się ze sprzedażą i rozwojem biznesu, chociaż posiadam również bogate doświadczenie w obszarze finansów. Pracowałem też w Ukrainie, zarządzając strukturą dystrybucyjną i produktami Alfa Banku w Kijowie. Po powrocie do Polski pracowałem jako wiceprezes Zarządu Towarzystwa Ubezpieczeń Europa SA, później dla firmy Casus Finance jako wiceprezes zarządu. W 2015 r. przyjąłem propozycję pracy w Rumunii, gdzie byłem country managerem Getin Holdingu. Po powrocie do Polski podjąłem pracę w funduszach inwestycyjnych, którymi zarządzałem przez blisko cztery lata jako wiceprezes i prezes zarządu. Moje doświadczenia pracy w funduszu pozwoliły mi zgłębić różne aspekty inwestowania w spółki technologiczne, bioinżynierijne, medyczne. Tak życie zetknęło mnie z MedAppem, w którym spędziłem ostatnie cztery lata.



Debata „Teraz Polska” na Kongresie Zdrowie Polaków 2023

W ramach czwartej edycji Kongresu Zdrowie Polaków 2023, odbywającej się pod hasłem „One Health – Jedno Zdrowie”, Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska” zorganizowała debatę pt. „Rola biotechnologii w ochronie zdrowia na przykładach dokonania laureatów Konkursu »Teraz Polska«”.

Moderatorem dyskusji był doradca Fundacji „Teraz Polska”, adiunkt Wydziału Nauk Ekonomicznych UW dr Jarosław Górski, a udział w niej wzięli: dr hab. Agnieszka Jastrzębska, prezes ADJ Nanotechnology Sp. z o.o., profesor Politechniki Warszawskiej (Wydział Inżynierii Materiałowej), laureatka Godła „Teraz Polska”; prof. dr hab. Magdalena Król, kierownik Samodzielnej Pracowni Biologii Nowotworu w Instytucie Biologii SGGW, laureatka tytułu Promotora Polski; dr Dawid Nidzworski, dyrektor naukowy Instytutu Biotechnologii i Medycyny Molekularnej, laureat Godła „Teraz Polska”; prof. dr hab. Krzysztof Pyrc, kierownik Pracowni Wirusologii Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ, laureat tytułu Promotora Polski.

Czym jest biotechnologia i jakie ma zastosowania w systemie ochrony zdrowia

Biotechnologia to interdyscyplinarna dziedzina nauki wykorzystująca procesy biologiczne na skalę przemysłową w celu wytwarzania lub modyfikowania produktów lub procesów znajdujących zastosowanie w wielu dziedzinach, takich jak rolnictwo, przemysł spożywczy, ochrona środowiska oraz system ochrony zdrowia. W medycynie biotechnologia jest wykorzystywana do produkcji leków i szczepionek oraz w badaniach genetycznych. Pierwszym lekiem wytworzonym metodami inżynierii genetycznej jest insulina.

Rozwój biotechnologii w naturalny sposób wiąże się z koncepcją One Health, promowaną przez Światową Organizację

Zdrowia, a podkreślającą współzależność pomiędzy zdrowiem ludzi, zwierząt i stanem środowiska naturalnego (co ma współcześnie znaczenie choćby z powodu rosnącej liczby chorób odzwierzęcych).

– Na naszych oczach dokonuje się obecnie największa rewolucja w medycynie. Między innymi za sprawą rozwoju biotechnologii, która obejmuje wszystkie aspekty działalności medycznej, począwszy od projektowania i syntezy nowych leków, poprzez rewolucję w diagnostyce, prewencji, aż do wprowadzenia nowych metod leczenia różnych chorób – podkreśla dr Jarosław Górski.

Celem biotechnologii w medycynie jest dostarczanie nowoczesnych rozwiązań mających zastosowanie zarówno w prewencji chorób (co potwierdzają nowoczesne szczepionki stosowane ostatnio choćby przeciwko wirusowi SARS-CoV-2), jak i w diagnostyce oraz terapii. – Od kilku lat jest dostępna terapia czerniaka oparta na zmodyfikowanym genetycznie wirusie opryszczki (herpes), tak aby już nie szkodził człowiekowi, natomiast niszczył komórki nowotworowe – podaje przykład prof. Krzysztof Pyrc.

Jakich kompetencji i zasobów potrzeba, aby tworzyć nowe rozwiązania w biotechnologii

Biotechnologia jest dziedziną interdyscyplinarną, potrzebującą specjalistów o bardzo konkretnych kompetencjach. – Spółka ADJ Nanotechnology, którą kieruję, skupia specjalistów z zakresu nanotechnologii. Rozwijamy kompetencje w wytwarzaniu nanomateriałów o biobójczych właściwościach, przeznaczonych do stosowania w określonych obszarach. Nanotechnologia nie jest jeszcze dziedziną dobrze rozpoznaną w Polsce, szczególnie jeżeli chodzi o etap wdrażania. Istniejące regulacje stwarzają wiele trudności – podkreśla prof. Agnieszka Jastrzębska.

Dr Dawid Nidzworski uważa, że w najbliższym czasie zastosowanie szeroko rozumianej biotechnologii w medycynie i weterynarii (w ramach One Health) wejdzie w fazę wzrostu wykładniczego. – Kiedyś proces wdrażania szczepionki trwał 15–20 lat. Ostatnie trzy lata pandemii SARS-CoV-2 pokazały, że mając zespół interdyscyplinarny, można wdrożyć szczepionkę w ciągu kilkunastu miesięcy. Spodziewam się, że w ciągu pięciu lat opracujemy takie technologie i procesy, że od pojawienia się kolejnego patogenu do powstania szczepionki upłyną trzy miesiące, a sztuczna inteligencja pomoże zweryfikować jej bezpieczeństwo – ocenia dr Nidzworski.

Przewiduje się, że najbliższa dekada będzie obfitować w liczne dokonania w obszarze biotechnologii. Dlatego potrzebni są eksperci z dziedziny informatyki, programowania, analizy danych, sztucznej inteligencji. Co więcej, będą oni musieli mieć także kompetencje z zakresu innych dziedzin; programista będzie musiał znać istotne problemy z zakresu biologii, a biolog – z zakresu informatyki.

– Prace nad nowym lekiem biotechnologicznym zaczynamy od wyboru 5–10 cząsteczek, które są wyłaniane przez algorytm w ciągu

kilkunastu dni obliczeń i komputerowej analizy dziesiątek tysięcy różnych wariantów. Następnie proces przenosi się do laboratorium, w którym pracują biotechnolodzy, specjaliści od problemów molekularnych i od linii komórkowych. Ale są też fizycy lub chemicy, którzy wspólnie pracują, aby przyspieszyć dane doświadczenie. Zwinność i elastyczność naukowa to jedne z ważniejszych kompetencji – opisuje proces laboratoryjny dr Nidzworski.

Czy można mówić o polskiej specjalności z zakresu biotechnologii

Mamy zespoły naukowe na światowym poziomie zajmujące się sztuczną inteligencją, nanotechnologią, wirusologią i weterynarią. – Jednak nie można wskazać polskiej specjalności. To, co nas wyróżnia, to konieczność rozwiązywania problemów w sposób maksymalnie oszczędny z powodu ograniczonych środków na badania i rozwój. To powoduje, że technologie, które opracowujemy w Polsce, są naprawdę przełomowe. Do tego stopnia, że Zachód jest w stanie dojść do tych rozwiązań dopiero po paru latach – podkreśla dr Dawid Nidzworski.

Nauce w Polsce brakuje otoczenia biznesowo-publicznego

Takie otoczenie spowodowałoby szybkie wprowadzenie na rynek nowatorskich rozwiązań opracowanych przez naukę. Potwierdza to prof. Magdalena Król, która rozwija terapię komórkową w leczeniu glejaka. – W przyszłym roku rozpoczynamy etap badań klinicznych, podczas których nasz produkt będzie podany chorym. Niestety, nie w Polsce, ale w Szwajcarii, bo tam są już przetarte ścieżki wdrażania technologii typu first in class. Brakuje w Polsce ekspertów, którzy potrafiliby zaplanować badania kliniczne tak, aby innowacyjny produkt można było podać jak najszybciej pacjentowi. Cierpimy na ustawiczny brak funduszy, więc próbujemy wszystko robić taniej i „po swojemu”, gdyż ekspert z USA kosztuje krocie – podkreśla prof. Magdalena Król. – Polityka rządu szwajcarskiego wręcz zachęca innowacyjne firmy do przeprowadzania badań klinicznych na terenie Szwajcarii, ułatwiając ścieżkę formalno-administracyjną, po to, aby pacjenci mieli dostęp do najnowocześniejszych technologii. W Polsce proces ten trwa bardzo długo, jest kosztowny i skomplikowany pod względem wymogów prawno-formalnych – dodaje.

Brakuje nam środków finansowych przeznaczonych na naukę, a w szczególności na badania stosowane. Działalność uczelnianych centrów technologii nie wydaje się być wystarczająca, wyłoniona z instytutów branżowych Sieć Badawcza Łukasiewicz również nie zdoła naprawić systemu. Potrzebna jest ścieżka szybkiej komunikacji między nauką i przemysłem, który czeka na produkty z tzw. gotowością technologiczną. Tymczasem większość naukowców nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, co jest ważne dla biznesu. Na uczelniach powstają spółki typu spin-off, zakładane przez naukowców, którzy chcą doprowadzić swój pro-

dukt do gotowości technologicznej i opracować dokumentację zgodnie z wymaganiami przemysłu.

Społeczna akceptacja porażki

Potrzebna jest zmiana podejścia do pracy naukowo-badawczej poprzez społeczną akceptację porażki. Brak sukcesu jest wpisany w DNA naukowca – nie każdy projekt badawczy się powiedzie, co więcej, brak oczekiwanego wyniku to także cenna informacja, która jest jednym z elementów rozwoju nauki i innowacyjności.

– *Dzisiaj rozmowa z grantodawcą zaczyna się od pytania: jak udowodnisz, że odniesiesz sukces, czyli doprowadzisz projekt do komercjalizacji? Jeżeli dziś mam zaplanować badania, które za trzy lata zakończą się komercjalizacją, to znaczy, że nie będą to badania przełomowe na skalę światową. A tylko takie powinny nas interesować, gdyż polskie zespoły naukowe mają kompetencje do prowadzenia pionierskich prac badawczych. Ale nie ma funduszy wysokiego ryzyka, które stać na to, aby po trzech latach badań i wydatkowaniu kilkudziesięciu milionów złotych usłyszeć: „Tym razem nie udało się nam”* – podkreśla dr Dawid Nidzworski.

Każda złotówka inwestowana w naukę wraca do społeczeństwa pomnożona. W 2020 r. w Łukasiewiczu obliczono, że złotówka subwencji dawała średnio sześć złotych dla gospodarki. – *Brakuje przejrzystego mechanizmu refinansowania nakładów uczelni ponoszonych na innowacje, na badania i rozwój. W tej chwili mechanizm finansowania nauki nie jest stabilny i w żaden sposób nie jest powiązany z wkładem nauki w PKB, bo nikt tego nie liczy* – konkluduje dr Górski.

– *Dopóki nie osiągniemy odpowiedniego poziomu finansowania, nie możemy oczekiwać, że pieniądze inwestowane w naukę będą do niej wracać. Potrzebna jest pewna masa krytyczna, aby móc wytworzyć ekosystem, odpowiednie otoczenie społeczno-gospodarcze akceptujące porażkę. Potrzebna jest także zmiana podejścia do akademii. Naukowiec oceniany punktowo patrzy krótkoterminowo, przez pryzmat oceny okresowej. Przy takim nastawieniu trudno o przełomowe odkrycia, które wymagają wieloletnich badań* – podkreśla prof. Krzysztof Pyrc.

Legislacja zmorą innowatora

Kolejna bolączka innowatorów to legislacja, która jest bardzo restrykcyjna, a będzie jeszcze bardziej, gdyż Komisja Europejska wprowadza coraz więcej wymogów związanych z rejestracją produktów medycznych. Tym bardziej potrzeba nam osób z wysokimi kompetencjami w tym obszarze. Zespoły legislacyjne powinny być wspierane przez ekspertów z danej dziedziny, podobnie jak grantodawcy oceniający wnioski dotacyjne. – *Eksperci będą niezbędni, aby w przypadkach niestandardowych, nowatorskich rozwiązań zaproponować ścieżkę legislacji. Teraz, jeżeli innowacyjny produkt wymyka się schematom, to jest odrzucany* – zauważa dr Nidzworski. – *Sytuacja staje się absurdalna: szczepionkę można opracować już w 10 miesięcy, ale jej rejestracja trwa dwa lata. Proces*

zaprojektowania produktów biobójczych wymaga trzech miesięcy, a ich rejestracja – kilku lat i wielu pieniędzy. Jeżeli mówimy o elastyczności w podejściu naukowym, to ten postulat odnosi się także do urzędników – dodaje.

– *Podobnie wygląda współpraca z dużymi firmami: badania trwają cztery tygodnie, a podpisanie umowy na te badania trwa rok. Nie jest dobrze dla postępu, jeżeli papierkowa robota wymaga więcej czasu i wysiłku niż koncepcyjna praca nad innowacją* – twierdzi prof. Pyrc.

W jaki sposób uspołnić perspektywę akademika i legislatora

Technologia przyspiesza proces od pomysłu do wdrożenia, przyczyniając się do poprawy jakości życia Polaków, jednak na przeszkodzie stoją biurokracja, brak elastyczności i indywidualnego podejścia do specyficznych innowacyjnych przypadków i konkretnych procesów technologicznych. Z drugiej strony regulacje prawne mają na celu zapewnienie bezpieczeństwa zdrowia publicznego, dlatego ich powolność wynika z ostrożności wobec życia ludzkiego. W jaki sposób uspołnić te perspektywy?

Dr Dawid Nidzworski proponuje tzw. pilotażowe wdrożenia, czyli konkursy ogłaszane przez konkretne placówki medyczne na rozwiązanie konkretnych problemów (np. obniżenie kosztów diagnostyki lub skrócenie terapii). Zwycięzca konkursu będzie miał gwarancję wdrożenia swojego rozwiązania we wskazanej placówce medycznej przez określony czas. W ten sposób zamawiający rozwiąże swój problem, a zwycięzca zyska pierwszego klienta. – *Rozwiązania przełomowe są dostępne, diagnostyka potrafi być szybka i bezpośrednia, ale w obecnym stanie prawnym szpital czy przychodnia nie może ich zakontraktować, bo nie figurują w koszyku świadczeń gwarantowanych. Dlatego firmy dysponujące innowacyjnymi rozwiązaniami szukają swoich klientów za granicą. W ten sposób najnowsze zdobycze polskiej nauki są wykluczane z polskiego systemu ochrony zdrowia* – mówi dr Nidzworski. – *Obecnie diagnostyka nowotworu pęcherza moczowego, razem z analizą wyniku, trwa kilka godzin i jest inwazyjną, nieprzyjemną dla pacjenta procedurą. Mamy rozwiązanie dużo tańsze, w którym stosujemy sztuczną inteligencję, i w prawie 90 proc. jesteśmy w stanie uzyskać takie same wyniki, jak w tradycyjnym, bardzo inwazyjnym badaniu. Wraz z rosnącą liczbą danych wynik ten będzie zbliżony do badania tradycyjnego. Ale dzisiaj nie ma procedury, która pozwoliłaby na wdrożenie naszego rozwiązania, więc szukamy potencjalnych klientów za granicą. W Polsce pacjent nawet na własne ryzyko nie może zastosować niezalegalizowanego badania* – podaje przykład.

Prof. Magdalena Król opowiedziała o swoich doświadczeniach w pracach nad terapią glejaka. – *To niezaspokojona potrzeba medyczna, gdyż rokowania pacjentów z tym nowotworem są nieopimślne, tak więc każdy nowy pomysł na terapię jest na wagę złota. Rozumieją to Szwajcarzy. Jeżeli badacz pokaże rozwiązanie, które na modelach przedklinicznych działa i jest stosunkowo bezpieczne, to*

Postulaty w sprawie rozwoju biotechnologii w Polsce

© IFPS/M. NOWICKI (5)



Prof. Agnieszka Jastrzębska:

Bardzo chciałabym w nieodległej przyszłości zobaczyć dobrze funkcjonujące otoczenie biznesowe, które pomagałyby start-upom we wprowadzaniu innowacji na rynek.

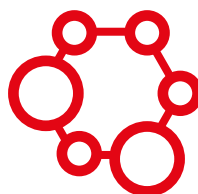


Prof. Krzysztof Pyrc:

Obserwujemy liczne wyjazdy młodych naukowców z Polski na Zachód. Powrótów jest znacznie mniej. Potrzebujemy wielostronnej komunikacji z krajami wysokorozwiniętymi, aby wymiana naukowców była faktyczna, a nie jednokierunkowa. Powracający polscy naukowcy to szybki sposób na pozyskanie brakujących kompetencji dla krajowego systemu rozwoju innowacyjności.

Dr Dawid Nidzworski:

Życzę nam wszystkim rozwoju biznesu w obszarze biotechnologii. Wtedy w Polsce będzie można rozwijać najnowsze technologie na skalę światową, bo potencjał naukowy już mamy.



Prof. Magdalena Król:

Dwa lata temu byłam na spotkaniu organizowanym przez big pharmę, na którym pokazano mapę innowacji w Europie. Mapa kończyła się na Odrze, a za nią była biała plama. Życzyłabym sobie, aby w naszym kraju odnotowano wreszcie sukcesy w innowacyjności, które spowodują efekt kuli śnieżnej, i by na tej mapie pojawiła się Polska.

odpowiednia fundacja na uczelni pokrywa koszty eksperymentalnej produkcji leku, który można podać nawet kilku pacjentom. Jeżeli terapia przynosi spodziewane korzyści dla pacjenta, to bez problemu badacz może sięgać po większe fundusze i rozwijać projekt na większą skalę – tłumaczy.

– Niestety, nie spotkałam się z takimi rozwiązaniami w Polsce. Brakuje instytucji z otoczenia biznesowego, która pracowałaby dla spin-offów niemających kompetencji wdrożeniowych i nieradzących sobie samodzielnie w tej fazie rozwoju innowacji – mówi prof. Agnieszka Jastrzębska.

Potrzebujemy kompleksowej strategii rozwoju

Do tej pory mówiliśmy o rozwiązaniach pojedynczych problemów, o niszach, w których próbujemy odnaleźć polską przewagę konkurencyjną. Tymczasem potrzebujemy długofalowej strategii rozwoju, odpolitycznienia instytucji zarządzających nauką i jej rozwojem, aby zagwarantować trwałość i konsekwentne działania w obranym kierunku. Nauka, biznes i społeczeństwo oczekują wskazania celów, do których mamy dążyć, i specjalności, które chcemy rozwijać jako kraj.

Wspólnie i spójnie powinny działać instytucje finansujące naukę, takie jak Narodowe Centrum Nauki, Narodowe Centrum Badań i Rozwoju czy Agencja Badań Biomedycznych. – *Jeżeli rozmawiamy na kongresie o One Health, to może porozmawiamy też*

o One Science w kontekście zmian klimatycznych, migracji ludności czy starzejącego się społeczeństwa, bo te kwestie będą kluczowe w perspektywie najbliższych 10 lat – postuluje prof. Krzysztof Pyrc.

– Potrzebne jest porozumienie pomiędzy resortami zdrowia, nauki i finansów w celu wypracowania strategii, aby za 10 lat nie wydawać 10 razy więcej na ochronę zdrowia. Polityka państwa dotycząca systemu ochrony zdrowia powinna być ukierunkowana na optymalizację kosztów, zapewnienie dostępu do leczenia i profilaktyki każdemu obywatelowi. A personelu medycznego brakuje już dziś – potwierdza dr Dawid Nidzworski.

– Historie dokonania naszych rozmówców dowodzą, że sukcesy są możliwe, a mogłyby być bardziej spektakularne, jeżeli rozwijać się będzie współpraca nauki, biznesu i sfery publicznej. Nauka przyczynia się istotnie do rozwoju systemu ochrony zdrowia i do rozwoju gospodarki. Środki finansowe przeznaczone na naukę to dobra inwestycja, która

podnosi konkurencyjność gospodarki, zwraca się w horyzoncie długofalowym i powinna być relokowana powrotnie w naukę na potrzeby innowacyjnych projektów, ku społecznej korzyści – podsumował dyskusję dr Jarosław Górski.



Ekorelacje i ekokomunikacja w przestrzeni i na płaszczyźnie

„Rzeźba stanowi jeden z nurtów, które kształtują twórczość Wita Bogusławskiego. Zwykle pracuje w metalu, kamieniu, spawając poszczególne części, tworząc przestrzenne instalacje o różnych wymiarach. Największe przestrzenne instalacje to cykl rzeźb dwu- i trzymetrowych do prezentacji zewnętrznej. Spojrzenie na material-

ność formy rzeźbiarskiej to nic innego, jak wpisanie formy w przestrzeń, która oblewa wymyślony przez twórcę przedmiot. Tematyka bryły rzeźbiarskiej to cykle głowy – postaci ludzkiej. Drugie spojrzenie na twórczość artysty to malarstwo i symboliczna prezentacja człowieka. Twarze ustawione antagonistycznie stanowią obrys skały,

a silne kontrasty kolorystyczne bryły głowy utrwalają porządek kompozycyjny. Świat Wita Bogusławskiego to przekazanie uczuć, malarskości, przestrzeni, pojmowanej w różny sposób w formie rzeźbiarskich i malarskich przedstawień”.

Fragment wstępu do katalogu z wystawy „Look at me!” z 2014 r., www.irminadkart.eu.

Z **Witem Bogusławskim** rozmawia historyk sztuki Imina Dubaniowska-Kutek.

Rozmowę z artystą zaczynamy w jego atelier, w otoczeniu rysunków, obrazów i rzeźb oraz narzędzi malarskich. W powietrzu czuć rozpuszczalnik, terpentynę, farbę olejną. Za oknem widać wspaniały ogród rzeźb ze stali, które poddane są działaniu atmosferycznemu. W pracowni – rozłożone książki, katalogi, szkice z fragmentami uchwyconych twarzy, w centralnym miejscu sztaluga z rozpoczętą pracą. Artysta przystępuje do aktu twórczego, spod pędzla o chropowatej końcówce wydobywa się nowy kształt.

Imina Dubaniowska-Kutek: Wiele pytań przygotowałam na dzisiejsze spotkanie, ale w tej przestrzeni, w twoim atelier, to człowiek staje się głównym tematem rozważań...

Wit Bogusławski: Tak, człowiek jest jednym z najważniejszych tematów w mojej twórczości. Od czasów Akademii Sztuk Pięknych w Mimar Sinan w Istambule, gdzie w 1982 r. zaczęła się moja edukacja artystyczna u prof. Tamera Bosoglu. Po powrocie do kraju, w latach 1986–1987, kontynuowałem studia na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie u prof. Stanisława Słoniny oraz prof. Piotra Gawrona. Jednak uczelnia, która wywarła największy wpływ na moją twórczość artystyczną, to Akademia Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta we Wrocławiu, a w szczególności pracownia prof. Leona Podsiadły, u którego w 1991 r. obroniłem dyplom z rzeźby. Jak widzisz, moje lata studenckie pełne były poszukiwań, nie tylko w aspekcie akademii, ale także inspiracji. Na akademii nauczono mnie patrzeć i odkrywać anatomię człowieka za pomocą prostych rysunków i form przestrzennych. Dlatego motyw człowieka jako jednostki pozostał w mojej twórczości, stał się dla mnie ważny.



Wit Bogusławski jest członkiem ZPAP, Stowarzyszenia Fabryka Sztuki oraz Grupy Hoovera. Wystawia z artystami IDKART. Uprawia głównie rzeźbę, malarstwo olejne i rysunek. Brał udział w licznych wystawach krajowych i zagranicznych. Jego prace znajdują się w kolekcjach prywatnych w Polsce i za granicą.

IDK: Inspiracje to element, który ciągle towarzyszy twórcy. Co ukształtowało twoją dojrzałą sztukę?

WB: Natura, sposób spojrzenia na rzeczywistość, a także poznanie człowieka. Jednak nie miałbym takiej łatwości w tworzeniu, gdyby nie doświadczenia z akademii, a szczególnie warsztat, który posiadałem w pracowni prof. Leona Podsiadły. Niestety, już go nie ma wśród nas, ale jego słowa, wykłady ciągle wracają w trakcie aktu twórczego. Nauczył mnie patrzeć na formę, a także myśleć i działać, a w sztuce jest to najważniejsze!

IDK: A teraz rozszerzmy temat inspiracji w twojej sztuce...

WB: We wczesnym etapie mojej twórczości uczestniczyłem w wystawie Magdaleny Abakanowicz i tam zetknąłem się z jej „Abakanami”, z jej sylwetką ludzką. Proces artystycznej wypowiedzi przebiegał u niej w materii mi dość nieznaney, jaką jest tkanina. Przekaz, który odczytałem z tych prac, mówił o jednostce w tłumie, w danej społeczności, w specyficznym momencie. Było to bardzo symboliczne ujęcie i emocjonalne doznanie, mające ogromny wpływ na moje poczucie estetyki i konceptualne myślenie. Chociaż osobiście nie poznałem pani Magdaleny Abakanowicz, jej twórczość miała ogromny wpływ na mój sposób myślenia i odbierania świata.

IDK: Ja miałam to szczęście, że ją poznałam i przygotowywałam jej wystawę pt. „Abakanowicz? Abakanowicz!” w 2012 r. w Domu Artysty Plastyka w Warszawie. Wtedy po raz pierwszy pokazano tajniki jej warsztatu, rysunki, fragmenty rzeźb, „Abakany” i „Tłum”. Prace te mówiły wiele o człowieku, jego cielesności i funkcji jednostki w tłumie.

WB: Ja jednak odbieram trochę odmiennie istotę człowieczą. Mnie osobiście interesują relacje międzyludzkie i ich natura. Studiując we Wrocławiu, miałem możliwość wyjeżdżać w góry, szczególnie inspirujące dla mnie były wyprawy w Sudety, w Błędne Skały – bardzo polecam. Wielkie bloki skalne tworzące labirynt ukształtowały moją formę artystyczną. Generalnie ważne dla mnie jest patrzenie na naturę i wydobywanie z niej tego, co kluczowe, czyli struktury i formy.

IDK: Jak przebiega cały proces tworzenia nowego dzieła?

WB: To jest bardzo trudne pytanie. Często artyści nie chcą odsłaniać swoich wszystkich tajemnic, w tym metod pracy. Do ostatecznego efektu dochodzimy przez wiele lat. Dla mnie ten proces zaczyna się od oglądu rzeczywistości, ciągłej obserwacji tej najpiękniejszej formy – natury. Efektem końcowym mojego działania staje się rzeźba lub obraz, np. cykle malarskie „Góry – turn to left, to right” oraz ukazujące twarze, z których najciekawszy był „Look at me!”. Te cykle to dokumentacja przestrzeni wraźniowej, to spojrzenie na skałę, krater, przepaść poprzez uosobienie artystyczne natury. Sformułowane wtedy hasło „Look at me!” (Spójrz na mnie!) odnosi się bezpośrednio do mojej sztuki. Dialog między artystą i widzem przerodził się w obserwację natury ludzkiej.



© ARCHIWUM WB (2)

Obraz z cyklu „Kamienne pejzaże”; olej, płótno; 70 × 100 cm.

Dzisiaj moja sztuka uzyskuje również kontekst społeczny, interesują mnie relacje międzyludzkie, komunikacja. Twarze często mają zamknięte oczy bądź odbierają komunikat w innej czasoprzestrzeni. Sposób antagonistycznego ustawienia skalnej formy w kształcie twarzy jest dość ważny dla mnie. Czas covidu pokazał nam, jak bardzo jesteśmy istotami społecznymi, potrzebującymi kontaktu z drugim człowiekiem. Chcemy komunikować się twarzą w twarz, o tym też jest moja sztuka.

IDK: Twój przekaz polega na przesłaniu od nadawcy do odbiorcy komunikatu. Jednak u ciebie ten proces jest czasem zakłócony. Twarze mają zamknięte oczy lub zamiast nich widzimy symboliczne czipy i graficzny zapis fal radiowych. Czy to już komunikacja przyszłości?

WB: W dzisiejszym świecie uczymy się ponownie rozmawiać twarzą w twarz. Nasze relacje międzyludzkie są zaburzone, czasem potrzebujemy odpowiedniego medium, np. mediów społecznościowych, aby wyrazić uczucia, myśli, poprowadzić rozmowę. Moja sztuka również ma charakter społeczny. Analizuję, pokazuję w odmienny sposób relacje międzyludzkie w symbolicznym ujęciu. Jednak nie jest to, wbrew pozorom, sztuka pesymistyczna. Natura ludzka zawsze odnajdzie drogę, aby zakomunikować drugiej osobie, że świat jest piękny; nie musimy mieć przy tym otwartych oczu, sięgamy po prostu po nowe medium. Człowiek to istota tajemnicza, niezbadana, stąd też moja fascynacja jednostką. Oczy moich twarzy są oczami duszy.

IDK: Niewielu jest artystów, którzy potrafią i chcą tworzyć zarówno formy malarskie, jak i rzeźbiarskie.

WB: Na płaszczyźnie, czyli w malarstwie, przedstawiam fragment, uchwycony moment, który w dość uporządkowany i schematyczny sposób mogę rozwijać malarsko, poprzez barwę, światłocienie, silny kontrast, linię i tło. Maluję na płótnie farbą olejną, jest to technika, dzięki której mogę nanosić szereg poprawek, ze względu na to, że farba schnie dłużej. Proces twórczy trwa u mnie

długo, często pierwsza myśl nie jest wystarczająca, na płaszczyźnie mogę uzyskać strukturę i chropowatość tam, gdzie chcę.

IDK: Faktura powierzchni twoich obrazów nie zdradza, że są wykonane w technice olejnej. Jak to wytłumaczysz?

WB: Na tyle poznałem tę technikę, że staram się wypolerować płaszczyznę obrazu. Wyznaczyć miejsca na niej, które powinny mieć odpowiednią fakturę. Ponadto technika ta pozwala na нанесienie wszelkich urozmaień.

IDK: To dlaczego nie zostałeś tylko przy malarstwie?

WB: Taki sposób wyrażania jest dla mnie niewystarczający, ponieważ jak każdy twórca poszukuję różnych form wypowiedzi. Rzeźba zawsze była wiodącym tematem moich poszukiwań artystycznych.

IDK: W malarstwie twoja wypowiedź jest symboliczna, kolor odgrywa ważną rolę, oddziałuje na odbiorcę. A jak to wygląda w rzeźbie?

WB: Rzeźba to takie patrzenie przestrzenne, w formie 3D. W malarstwie głębię obrazu kształtuje plama barwna, światło-cień, linia na płaszczyźnie, a rzeźba to forma trójwymiarowa, która umieszczona jest w przestrzeni, w specyficznym otoczeniu.

IDK: Czy malarstwo miało wpływ na twoją rzeźbę?

WB: Na pewno, zawsze rysowałem, analizowałem linię w malarstwie, ale rzeźba wymusza na artyście inne spojrzenie na formę, która jest przestrzenna, nie ogranicza mnie. Muszę też patrzeć na otoczenie, w którym końcowa realizacja się znajdzie. Interesuję się designem, ale w formach artystycznych. Próbuję tworzyć rzeźbę do konkretnego wnętrza lub miejsca.

IDK: W jakim materiale rzeźbiarskim najchętniej pracujesz i dlaczego?

WB: Do realizacji rzeźbiarskich wykorzystuję stal, metal. Jest to trudna materia, która wymaga ode mnie dużo siły i doświadczenia. Stal nie jest prosta w kształtowaniu formy, ale jest dla mnie wystarczająca. Nie potrzebuję koncentrować się na detalu, tylko na ostatecznej formie. Jeżeli mam duży materiał, to wykorzystuję jego całą strukturę; jeżeli mam krótsze kawałki stali – spawam je w jedną całość. Często poszukuję konkretnej formy, aby jak najmniej ingerować w strukturę materiału. Chodzę w różne miejsca, gdzie stal odzyskuje się ponownie do różnych celów. Pozyskany materiał przywracam światu poprzez nową ekoformę artystyczną.

IDK: Wpisujesz się tym samym w nurt ekoartu?

WB: Coś w tym jest... Ale moja sztuka rzeźbiarska, tak jak malarstwo, sięga głębiej, dotyka relacji międzyludzkiej. Można powiedzieć, że są to ekorelacje, nie tylko poprzez materiał, ale także relacje formy rzeźbiarskiej z przestrzenią. Czyste, idealne formy natury stanowią tło dla moich rzeźb.



IDK: Jak rozumieć ekorelacje w kontekście twoich rzeźb?

WB: Ekorelacje to związek między formą rzeźbiarską a danym środowiskiem. Eko to sposób myślenia o człowieku, jego sposobie życia. Chcę pokazać, że człowiek to istota, która żyje blisko natury, jest wrażliwa, pragnie kontaktu z drugą osobą. Odnajduje się w różnej przestrzeni. Moje formy rzeźbiarskie są tak konstruowane, aby wpisały się w każde wnętrze i nie stanowiły dla niego silnego kontrastu. Stal pozostawiona na powietrzu nie zmienia swojej brązowej barwy, uzyskuje jedynie naturalny nalot. Poddaję ją szlifowaniu, wygładzaniu, wydobywając w różnych jej partiach efekty świetlne. Często doklejam odmienny kolorystycznie metal, aby uzyskać delikatny kontrast.

IDK: W rzeźbie przedstawiasz postać kobiety i mężczyzny, jednak w pewnym uproszczeniu.

WB: Materiał, jakim jest stal, nie jest plastyczny, wymaga obróbki, szczególnie na krawędziach. Przedstawiam tylko kontury postaci. Wykonuję również rzeźby w kamieniu, ale to odmienny proces. Stal jest jednak materiałem, w którym ciągle mogę poszukiwać nowych form wyrazu.

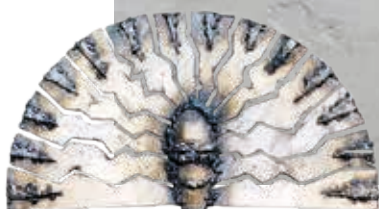
IDK: Jesteś członkiem Grupy Hoovera i wystawiasz z artystami związanymi z IDKART, czyli w ramach mojego projektu, który akcentuje kwestie inwestycji w sztukę, promocji artysty w Polsce i za granicą. Czy w twojej ocenie jest to ważne?

WB: Grupa Hoovera to grupa twórców, którzy mówią o potrzebie posiadania indywidualnej pracowni, problemach społecznych artystów. Ponadto daje ona możliwość indywidualnego sposobu tworzenia każdemu z jej członków, niezależnie od jego wieku i stażu. Natomiast IDKART zorganizował liczne wystawy w kraju i za granicą,

Na sąsiedniej stronie: instalacja „Tłum”, technika własna, stal.

Z prawej: rzeźba „On”, technika własna, stal (wysokość: 93 cm).

U dołu: rzeźba „Ona”, technika własna, stal (wysokość: 93 cm).



np. w USA, na Łotwie, w Finlandii, we Włoszech czy w Niemczech i Francji. Uczestniczyłem w wielu z nich. IDKART organizował również szereg konferencji, na których poruszano kwestię związku między sztuką i biznesem. Były to dla mnie bardzo cenne doświadczenia.

IDK: Co sądzisz o współczesnym rynku sztuki w Polsce?

Czy trudno jest artyście na nim zaistnieć i osiągnąć sukces?

WB: Rynek sztuki współczesnej w Polsce jest wymagający. Posiada swoją specyfikę i dynamikę. W lepszym jego zrozumieniu artyście może pomóc menedżer sztuki, który zdejmuje z twórcy szereg obowiązków, w tym promocję czy negocjacje cenowe. Znacznie ułatwia to życie.

IDK: Czy uważasz, że współczesny rynek sztuki w Polsce ma potencjał i można na nim zarobić? Czy inwestowanie w sztukę ma sens?

WB: Obecnie inwestycje w sztukę opłacają się coraz bardziej, zainwestowane w nią pieniądze przynoszą znaczną stopę zwrotu w relatywnie krótkim okresie czasu.

IDK: Na potrzeby podsumowania naszej rozmowy przytoczę fragment wypowiedzi literackiej prof. dra hab. Waldemara Okonia z Wrocławia, znanego poety, polskiego historyka sztuki: „Małe formy literackie układają się w formy duże. »Dniownik« jest formą dużą, ponieważ nie ma zakończenia”. Czy postawioną przez profesora tezę można odnieść do twojej twórczości?

WB: Tak, zgadzam się z tą tezą. Mam dużo pomysłów, które ciągle staram się wcielać w życie. Dla mnie sztuka to niekończący się proces tworzenia. Moja wrażliwość artystyczna nie ma końca.

Dr Ewa Ziemińska

– historyczka sztuki, kuratorka wystaw, wykładowczyni (UW i IS PAN). Pracownik naukowy Muzeum Narodowego w Warszawie, kuratorka Zbiorów Rzeźby MNW oraz jego oddziału – Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego w Królikarni.

O siostrzeństwie polskich rzeźbiarek

- Temat polskich rzeźbiarek XIX w. nie był dotychczas eksplorowany w dostatecznym stopniu, a były one pionierkami w wielu dziedzinach. Dzięki ich staraniom i determinacji kolejne pokolenia kobiet zyskały dostęp do rzeźbiarstwa.
- Dobrym punktem wyjścia do opowieści o rzeźbiarstwie kobiet będzie historia twórczości Camille Claudel, wielkiej francuskiej rzeźbiarki tego okresu, która zasłużenie znalazła miejsce w historii światowej sztuki, stając się ikoną XIX-wiecznego rzeźbiarstwa kobiecego.
- W 1881 r. cała rodzina Claudelów przeniosiła się do Paryża na Montparnasse, aby Camille mogła studiować. Ojciec urzędnik zmienił pracę i uczynił wszystko, by umożliwić jej rozwijanie talentu. Niestety matka nie mogła się pogodzić z takim stanem rzeczy – uważała, że córka rzeźbiarka to dyshonor dla całej rodziny.
- XIX w. to jest trudny czas dla Polski i dla artystów. Kraj jest podzielony pomiędzy zaborcami, nie ma mecenatu państwowego i zamówień państwowych ani miejskich. Pojawiają się jedynie zamówienia kościelne, choć nie zawsze są one przeznaczone dla rzeźbiarek.

Z dr **Ewą Ziemińską** rozmawia Marzena Tataj.

Marzena Tataj: Spotykamy się na wystawie „Bez gorsetu. Camille Claudel i polskie rzeźbiarki XIX wieku”, której jest pani kuratorką. To opowieść o kobietach, które wbrew konwencji ówczesnej obyczajowości walczyły o własne marzenia. Jednocześnie zdajemy sobie sprawę, jak mało wiedzieliśmy o ich dokonaniach, a niekiedy nie wiedzieliśmy nawet o ich istnieniu.

Ewa Ziemińska: Faktycznie, temat polskich rzeźbiarek XIX w. nie był dotychczas eksplorowany w dostatecznym stopniu, a były one pionierkami w wielu dziedzinach. Dzięki ich staraniom i determinacji kolejne pokolenia kobiet zyskały dostęp do rzeźbiarstwa. W latach 20. i 30. XX w. kobiety mogły już swobodnie tworzyć. Lata 50. i 60. przyniosły wiele wręcz spektakularnych karier polskich rzeźbiarek. Można powiedzieć, że znane na całym świecie Alina Szapocznikow czy Magdalena Abakanowicz korzystały właśnie z osiągniętej pozycji tych XIX-wiecznych rzeźbiarek. „Polskie rzeźbiarki” to autorski projekt badawczy, kilkuetapowy, więc planujemy następne jego odsłony, tzn. wystawy i publikacje.

Dobrym punktem wyjścia do opowieści o rzeźbiarstwie kobiet będzie historia twórczości Camille Claudel, wielkiej francuskiej rzeźbiarki tego okresu, która zasłużenie znalazła miejsce w historii światowej sztuki, stając się ikoną XIX-wiecznego rzeźbiarstwa kobiecego. Zobaczymy, z czym artystki musiały się zmagać na co dzień, jakie musiały przekroczyć granice i jakie pokonać trudności związane z obyczajowością, stosunkami rodzinnymi i ograniczeniami w edukacji kobiet. Rzeźbiarstwo uchodziło za dziedzinę męską, gdyż wiązało się z wysiłkiem fizycznym, brudem i kurzem. Edukacja plastyczna, malarska wpisywała się w akceptowane społecznie wykształcenie dobrze urodzonej kobiety, która mogła hobbystycznie malować portrety i kwiaty. Jednak rzeźbienie to kontakt z brudem i kurzem, wysiłek fizyczny, nurzanie rąk w gipsie czy glinie, kucie w kamieniu – w XIX w. było nie do pomyślenia, aby te czynności wykonywały kobiety.

MT: Wystawa zaczyna się od prezentacji wielkiej fotografii tytułowanej do niedawna „Olga Boznańska i koleżanki”.

EZ: Jest to reprodukcja fotografii, która w oryginale ma wymiar pocztówkowy i przedstawia uczennice słynnego Baraneum, działającego w Krakowie od 1868 r. przy Muzeum Techniczno-Przemysłowym. Były to Wyższe Kursy dla Kobiet im. Adriana Baranieckiego, lekarza i społecznika, który podczas pobytu w Wielkiej Brytanii spotkał się z teoriami Johna Ruskina o nowoczesnym społeczeństwie, w którym kobiety należy dopuścić do edukacji. Po powrocie do Krakowa dr Baraniecki założył postępową placówkę edukacyjną dla kobiet, płatną, ale bardzo popularną, kształcąca dziewczęta z różnych środowisk i warstw społecznych. Kursy podzielone były na kilka wydziałów, m.in. historyczno-literacki, przyrodniczy, gospodarczy, handlowy i artystyczny. Na wydziale artystycznym pracownię rzeźby prowadził Marceli Guyski, artysta wykształcony w Paryżu i w Akademii św. Łukasza w Rzymie, jako

wykładowca związany również ze Szkołą Sztuk Pięknych w Krakowie. Warto przy okazji nadmienić, że Warszawska Szkoła Sztuk Pięknych zaczęła przyjmować kobiety w 1904 r., a Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie – dopiero w 1920 r.

MT: Czy udało się ustalić, kim są owe wytworne koleżanki Olgi Boznańskiej?

EZ: Wszystkie kobiety na zdjęciu są upozowane w eleganckich sukniach założonych na gorsety. Naszą uwagę zwracają szczególnie dwie z nich. Pierwsza od lewej, stojąca przy popiersiu z dłutem i młotkiem w ręku, to Antonina Roźniatowska. Druga od prawej, stojąca przy płaskorzeźbie, to Tola Certowicz, która na zdobioną suknię założyła brudny i pomięty fartuch roboczy. Obie kobiety manifestują w ten sposób, że zajmują się rzeźbiarstwem, które wiąże się z wysiłkiem fizycznym i brudem. Musiały być bardzo odważne, aby w atelier znanego krakowskiego fotografika Awita Szuberta pozować w ten sposób, przełamując obowiązujący wizerunek kobiety.

MT: Na wystawie prezentowane jest także zdjęcie Camille Claudel pracującej w swoim atelier nad wielką rzeźbą „Śakuntalą”.

EZ: Ta fotografia też jest pozowana, bo wprawdzie Claudel ma na sobie fartuch, ale pod spodem jest ubrana w suknię z gorsetem, a przecież rzeźbiarki nie mogły pracować w gorsecie ze względu na swobodę ruchów. Stąd też tytuł wystawy „Bez gorsetu”, który ma podwójne znaczenie. Podkreśla specyfikę pracy rzeźbiarek i zarazem symbolicznie nawiązuje do odrzucenia przez kobiety rzeźbiarki gorsetu panującej powszechnie obyczajowości.

MT: Walka o prawo kobiet do studiowania na uczelniach artystycznych toczyła się w całej Europie.

EZ: To prawda. W tym kontekście trzeba przywołać postać Héléne Bertaux i robimy to na wystawie poprzez jej wybitne dzieło „Psyche pogrążona w tajemnicy”, za które artystka zdobyła złoty medal na Wystawie Powszechnej w 1889 r. jako pierwsza kobieta rzeźbiarka. Rzeźba pochodzi z ekspozycji stałej w paryskim Petit Palais, co dowodzi wielkiej uprzejmości naszych francuskich kolegów, gdyż muzealnicy nie lubią dekomponować, nawet okresowo, wystaw stałych. Zależało mi bardzo na wypożyczeniu tej rzeźby na naszą wystawę, bowiem „Psyche...” to unikatowy przykład rzeźbienia nagiego ciała kobiety przez kobietę, co było wówczas absolutnie wyjątkowe.

Kiedy prowadziłam badania nad twórczością Héléne Bertaux, w publikacji na jej temat z 1911 r. napotkałam pojęcie siostrzeństwa – jakże nam dziś bliskie, a w tamtym przypadku odnoszące się do jej osoby, starającej się o zawodowe dopuszczenie kobiet do rzeźbiarstwa.

Bertaux była prawdziwą bojowniczką o prawo kobiet do nauki na uczelniach artystycznych. Co więcej, w 1873 r. sama otworzyła pierwszą prywatną pracownię rzeźby i rysunku dla kobiet, a w 1881 r. założyła Związek Kobiet Malarek i Rzeźbiarek, dzięki

któremu wiele artystek miało okazję pokazać swoje prace na wystawach, zasiadać w jury, a wreszcie dostać się na paryską École des Beaux-Arts jako pełnoprawne studentki. Stało się to dopiero w 1897 r., zaś od 1911 r. kobiety artystki mogły brać udział w Prix de Rome. I tu pierwszą nagrodę zdobyła właśnie rzeźbiarka.

MT: Wiek XIX nie oferował kobietom wstępu do państwowych szkół sztuk pięknych, dlatego niektórzy artyści otwierali dla kobiet swoje pracownie. Czy tak było też w przypadku polskich artystek?

EZ: Jak najbardziej. Tola Certowicz, dziewczyna w brudnym fartuchu z pierwszej fotografii, uczyła się w Paryżu właśnie u Hélène Berthaux. Odnosiła już pierwsze sukcesy, w Paryżu odlewała swoje rzeźby, które następnie wystawiała na Salonach paryskich. Kiedy wróciła do Krakowa, poszła za przykładem swojej nauczycielki i ze środków pochodzących z posagu w 1897 r. założyła szkołę rzeźbiarską dla kobiet. Zatrudniała nauczycieli z Akademii Sztuk Pięknych: Jacka Malczewskiego, Jana Stanisławskiego, Włodzimierza Tetmajera, którzy uczyli malarstwa, a sama poprowadziła pracownię rzeźby. Szkoła Toli Certowicz funkcjonowała cztery lata, potem została zamknięta z powodów finansowych.

Z kolei malarz Wojciech Gerson założył w Warszawie Szkołę Ryśunkową, w której, co prawda, kobiety nie mogły się kształcić, ale mogły to robić na kursach przy tejże. Uczennicami na tych kursach były m.in. jego córka – malarka i rzeźbiarka Maria Gerson, później Dąbrowska – oraz Natalia z Tarnowskich Andriolli.

MT: A gdzie uczyła się Camille Claudel?

EZ: Camille Claudel urodziła się w Nogent-sur-Seine i tam jej ponadprzeciętne zdolności dostrzegł rzeźbiarz Alfred Boucher, który namówił ojca, aby pozwolił jej szkolić się w jego pracowni. Kiedy zobaczył niezwykle rozwój talentu i przestrzenne umiejętności rzeźbiarskie, skierował Camille na studia do Académie Colarossi w Paryżu, gdzie sam wykładał. W 1881 r. cała rodzina Claudelów przeniosła się do Paryża na Montparnasse, aby Camille mogła studiować. Ojciec urzędnik zmienił pracę i uczynił wszystko, by umożliwić jej rozwijanie talentu. Wynajął nawet dla niej pracownię, którą dzieliła z angielską rzeźbiarką Jessie Lipscomb. Niestety matka nie mogła się pogodzić z takim stanem rzeczy – uważała, że córka rzeźbiarka to dyshonor dla całej rodziny. Tymczasem Boucher otrzymał stypendium we Florencji i wyjechał, ale przedtem poprosił swojego kolegę z Colarossi, uznanego rzeźbiarza Augusta Rodina, o dalszą naukę i opiekę nad edukacją Camille. I tak osiemnastoletnia Claudel została przyjęta do pracowni Rodina, a wkrótce nawiązała się relacja prywatna i artystyczna obojga. Claudel stała się dla Rodina wielką inspiracją. Wielu wyrzeźbionym przez siebie postaciom nadał jej rysy twarzy, tak jest w przypadku słynnej alegorii Francji. Korzystał z pomocy artystki przy tworzeniu własnych dzieł, powierzając jej rzeźbienie rąk i stóp, zatem bardzo wymagających elementów rzeźby. Jednocześnie mocno ją wspierał przy ubieganiu się o zlecenia czy przyjęcie



© AWIT SZUBERT/JAROSŁAW CYGANIK/MNK

Uczennice Wyższych Kursów dla Kobiet im. Adriana Baranieckiego w Krakowie. Pierwsza od lewej: Antonina Roźniatowska; pierwsza od prawej: Olga Boznańska; obok: Tola Certowicz. Przed 1882 r. Muzeum Narodowe w Krakowie.

prac na konkursy. Na naszej wystawie można obejrzeć wyjątkowy, niewielki portret Claudel wykonany przez Rodina w gipsie. Został nam wypożyczony przez paryskie Muzeum Rodina. Prace gipsowe są o tyle wyjątkowe, że widać na nich każdy odcisk dłoni artysty.

MT: Na wystawie możemy także obejrzeć dosłownie z każdej strony „Joannę d’Arc”, marmurową rzeźbę Bouchera.

EZ: Pochodzi ona ze zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, a jej wyjątkowość polega także na ujęciu tematu. Joanna d’Arc jest ukazana nie jako wojowniczką w zbroi, ale piękna, młoda dziewczyna o spokojnym wyrazie twarzy, siedząca w prostej, luźnej sukni, z lekko rozwianymi włosami. I tylko kajdany na jej bosej stopie, częściowo ukryte pod suknią, dowodzą, że jest więźniarką czekającą na spalenie na stosie.

Cieszę się, że zwróciła pani uwagę na sposób pokazania rzeźb na naszej wystawie. Są one tak prezentowane, aby można było je obejść i obejrzeć z każdej strony. Niektórych z nich można także dotykać w specjalnych rękawiczkach – jest to opcja dla osób z dysfunkcją wzroku. Aranżację wystawy przygotował architekt Marcin Kwietowicz z zespołem.

MT: Kobiety w XIX w. nie chciały jedynie zajmować się rzeźbą „salonowo”, dla rozrywki lub zabicia czasu. Chciały być zawodowymi, pełnoprawnymi rzeźbiarkami i podejmować różne kwestie w swoich pracach. Na jakie tematy wypowiadały się polskie rzeźbiarki w XIX w.?

EZ: XIX w. to jest trudny czas dla Polski i dla artystów. Kraj jest podzielony pomiędzy zaborcami, nie ma mecenatu państwowego i zamówień państwowych ani miejskich. Pojawiają się jedynie zamówienia kościelne, choć nie zawsze są one przeznaczone dla rzeźbiarek. Mimo tych przeciwności pojawiają się poważne realiza-



Hélène Bertaux (1825–1909), „Psyche pogrążona w tajemnicy”, 1893 r., brąz, Petit Palais, Musée des Beaux-arts de la Ville de Paris.

cje wykonane przez kobiety. Maria Gerson-Dąbrowska otrzymała zamówienie od miasta Wilna na berło z wizerunkiem Piotra Skargi. Tola Certowicz wykonała epitafium ks. A. Kordeckiego w kościele Paulinów na Skałce w Krakowie oraz rzeźbę „Dobry Pasterz” dla kościoła Sercanek w Krakowie.

MT: Zatrzymajmy się dłużej na postaci Toli Certowicz, która była uzdolnioną rzeźbiarką i zaangażowaną patriotką. Wspomnieliśmy już, że założyła szkołę rzeźby dla kobiet.

EZ: To niezwykła postać. Jej ojciec, powstaniec styczniowy, zmarł zaledwie rok po jej narodzinach, a matka popadła w depresję. Dlatego wychowaniem Toli i jej dwóch sióstr zajęła się babka, Kamila Kuczalska, kobieta silna i światła, która pozwoliła jej na wyjazd z majątku i studia w Krakowie, a następnie w paryskiej prywatnej Académie Julian. Certowicz dostała się tam z polecenia przyjaciółki i malarki Anny Bilińskiej. Przy okazji warto wspomnieć, że kiedy Bilińska była w trudnej sytuacji materialnej, aby wesprzeć przyjaciółkę, Certowicz zakupiła jej słynny obraz o historycznym tytule „Murzynka”. Tak też re-alizowała się idea siostrzeństwa między artystkami.

Tola Certowicz tworzyła i wystawiała z sukcesem na Salonach paryskich i wystawach czasowych. Czuliła swoją siłę jako rzeźbiarka. Jednak przeznaczyła swój posąg na utworzenie w 1897 r. szkoły rzeźbiarstwa dla kobiet. Chciała w ten sposób, wzorując się na swojej nauczycielce Bertaux, przekazać pałeczkę następnej generacji kobiet, które miały w sobie potrzebę tworzenia. Niestety, pieniędzy z posagu starczyło na cztery lata funkcjonowania szkoły. Tola Certowicz opuściła Kraków i wstąpiła do kanoniczek

warszawskich, gdzie zajmowała się finansowaniem domów dla sierot i internatu dla chłopców z niezamożnych rodzin. Ale nie tylko. W siedzibie kanoniczek przy placu Teatralnym zorganizowała pracownię rzeźby, nadal tworzyła i wystawiała, m.in. w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Z ostatniego okresu mamy w naszym muzeum przepiękną rzeźbę „Pokora”.

Angażowała się także w różne działania społeczne, między innymi starała się o przekształcenie domu Jana Matejki w muzeum poświęcone jego twórczości – obecnie jest to oddział Muzeum Narodowego w Krakowie. W tym celu zaprojektowała i sama odlewała pamiątkowe medaliony, z których dochód miał sfinansować to przedsięwzięcie. Na wystawie prezentujemy kilka z nich, aby pochwalić jej kunszt medalierski.

MT: W dziedzinie medalierstwa sukcesy odnosiły także Maria Gerson-Dąbrowska i Helena Skirmuntt.

EZ: A także mało znana w Polsce, za to dobrze radząca sobie we Francji Izabela Kwiatkowska de Albazzi. Jej portret pędzła słynnego francuskiego malarza Édouarda Maneta znajduje się dziś w zbiorach Muzeum Guggenheima w Nowym Jorku. Iza de Albazzi odnosiła sukcesy we Francji, na zamówienie publiczne wykonała między innymi płaskorzeźbę z portretem założyciela i dyrektora Muzeum Cluny – Alfreda Dracela. Na warszawskiej wystawie prezentujemy jej medal w brązie z podobizną Ignacego Paderewskiego, który do- wodzi niezwykłej biegłości artystki.

MT: Ciekawa jest także postać Natalii

Andriolli, która okazała się nie tylko uzdolnioną artystką, ale też przedsiębiorczynią.

EZ: Natalia z Tarnowskich Andriolli była uczestniczką kursów rysunku u Wojciecha Gersona. Wyjechała do Paryża ze swoim mężem, znanym malarzem Michałem Elwirow Andriollem. Tam uczyła się na Akademii Colarossi, tak jak Camille Claudel, i podobnie jak ona miała swoją pracownię na Montparnasse. Tworzyła dużo i wystawiała z sukcesem. Miała świadomość swojej sztuki rzeźbiarskiej i postanowienie zajmowania się rzeźbą zawodowo. W Bibliotece Polskiej w Paryżu udało mi się odnaleźć jej wizytówkę, na której przedstawia się: „Natalia z Tarnowskich Andriolli, *statuaire*” (franc. rzeźbiarstwo).

Jej mąż również odnosił sukcesy w Paryżu, mimo to z jej inicjatywy doszło do rozwodu. W 1897 r. powróciła do kraju, by po śmierci siostry zająć się czwórką jej dzieci. Jednocześnie odezwał się w niej duch przedsiębiorczości. Uruchoimiła odlewnię rzeźb dewocyjnych, na które był ogromny popyt. Sprzedawała je w Częstochowie, a w Warszawie przy Nowym Świecie otworzyła salon ekspozycyjny. W majątku rodzinnym w Osinach otworzyła pracownię tkacką,



Iza de Albazzi, „Ignacy Jan Paderewski”, 1897 r., brąz, Muzeum Narodowe w Warszawie.



Helena Skirmuntt (1827–1874), „Szachy polskie”, 1871 r., brąz złocony i srebrzony, Muzeum Narodowe w Krakowie.

w której zatrudniała okoliczne dziewczyny, żeby mogły zarabiać. W jej postawie życiowej ewidentnie pobrzmiewa idea siostrzeństwa.

Na wystawie możemy podziwiać zarówno wyraz jej patriotycznego zaangażowania, wyrażony w „Popiersiu Tadeusza Kościuszki” wykonanym w gipsie patynowanym, jak i mistrzostwo kompozycji i realizacji pełnego aktu męskiego w „Śpiącym amorze”, za który otrzymała złoty medal na Salonie paryskim w 1896 r.

MT: W tym miejscu należy zapytać, co kobiecie wolno było rzeźbić w XIX w.

EZ: Tematem najczęściej podejmowanym przez polskie artystki XIX w. był portret. Wprawdzie zleńciodawcy chętniej zamawiali podobizny malarskie, bo szybciej i taniej, ale byli też i tacy, którzy uważali popiersia za podkreślające status. Większość rzeźbiarek pochodziła z zamożnych rodzin ziemiańskich, rodzin arystokratycznych, a ówczesne konwenanse nie dopuszczały zarobkowania przez szlachetnie urodzone córki – byłyby to degradacja społeczna i zagrożenie dla patriarchalnego porządku. Dla Elizy z Branickich Krasieńskiej wykonywanie popiersi członków rodziny i przyjaciół pełniło funkcję sentymentalnej pamiątki. Amelia Jadwiga hr. Łubieńska założyła we Florencji własną pracownię rzeźby, ale publicznie szczyliła się tym, że nigdy nie sprzedała żadnego swojego dzieła. Rzeźbiła głównie w marmurze i ofiarowywała swoje prace kościołom znajdującym się na terenie dzisiejszej Ukrainy. Kilka z nich udało się odnaleźć mimo toczącej się wojny, na przykład płaskorzeźbę „Jezus w Ogrodzie Oliwnym”, która znajduje się w kościele św. Katarzyny w Mościskach w obwodzie lwowskim. „Niepokalana” z kościoła Franciszkanek we Lwowie obecnie znajduje się w tamtejszym Muzeum Religii.

Zajmowanie się rzeźbą było i jest kosztowną dziedziną. Potrzeba dużej pracowni, drogich materiałów, odlewni brązu oraz licznych narzędzi. Mniej majątne rzeźbiarki zabiegały o każde zlecenie. Przyjmowały zamówienia o tematyce religijnej, biblijnej, mitologicznej, a także zamówienia na portrety. Przedstawienia figuratywne wymagały znajomości i precyzji w oddaniu anatomii, ale w szkołach ćwiczone te aspekty na podstawie gipsowych kopii antycznych rzeźb, bowiem już sama obecność nagich modeli w pracowni uważana była w XIX w. za zagrożenie dla moralności kobiet. Dlatego uprawianie rzeźbiarstwa przez kobiety oznaczało przekroczenie powszechnie akceptowanych norm.

MT: Tym bardziej należy docenić odwagę i bezkompromisowość Camille Claudel, która zajmowała się aktem, zarówno męskim, jak i kobiecym.

EZ: Nadrzędnym jej celem było ukazanie emocji, dlatego widzimy postacie kobiet i mężczyzn w różnych pozach, w pełnym ruchu, skręcie, napięciu mięśni. To kontynuacja rewolucji Rodina.

Na wystawie możemy podziwiać wybitne rzeźby Claudel od-

zwierciedlające z niesamowitą precyzją ciało ludzkie. Widzimy jej słynne „Opuszczenie” z 1886 r. w odlewie z brązu, wykonanym przez Eugene’a Blota, który był jednocześnie jednym z pierwszych marszandów artystki, wspierającym ją na twórczej drodze i organizującym jej wystawy. Inna ikoniczna praca „Walc” powstawała kilka lat, bowiem pierwsze wersje były „zbyt nagie” i przesiąknięte erotyzmem dla komisji kwalifikującej prace na wystawę. Wersja rzeźby z 1905 r., którą eksponujemy w Warszawie, pokazuje ciało kobiety tak okryte szatą, aby potęgować wrażenie ruchu. Bliskość i intensywność emocjonalna zostały zachowane.

MT: Losy Camille Claudel są wstrząsające, podobnie jak jej sztuka.

EZ: Jej sytuacja zmieniła się diametralnie w marcu 1913 r., kiedy zmarł ojciec – jej największy protektor. Matka nadal stanowczo sprzeciwiała się rzeźbiarstwu córki, więc już pod koniec marca podjęła decyzję o jej ubezwłasnowolnieniu i umieszczeniu w zakładzie zamkniętym dla psychicznie chorych, w którym Camille pozostała – bez możliwości rzeźbienia, a nawet rysowania – aż do śmierci w 1943 r. Według opisu służb medycznych z marca 1913 r. pacjentka była w stanie głębokiego zaburzenia psychicznego, nie tolerowała światła, przez wiele dni nie myła się i nie zmieniała odzieży, mieszkała w ciemności, bez kontaktu z otoczeniem. Nie wiemy, czy ten stan wymagał izolacji aż na 30 lat. W listach Camille wielokrotnie domagała się uwolnienia, a przede wszystkim umożliwienia dalszego tworzenia.

MT: Jednak matka nigdy nie wyraziła zgody na wypisanie jej z zakładu. W liście do dyrektora placówki możemy przeczytać: „A co do zabrania jej ze mną lub przeniesienia jej do mieszkania, jak było niegdyś – nigdy, nigdy”. To fragment eseju dr hab. Iwony Demko z katalogu do wystawy.

EZ: Camille płaciła za swoją bezkompromisowość, niezależność i działanie wbrew panującym zasadom. Najpierw podjęła decyzję o nawiązaniu intymnej relacji z nauczycielem – Rodinem, w której trwała przez prawie 10 lat. A kiedy przekonała się, że ich związek nie ma przyszłości, postanowiła opuścić go i jego pracownię. Zamknęła się przed światem w swoim atelier, aby tworzyć w samotności. Pamięć o Camille Claudel została przywrócona dzięki inicjatywie brata Paula, który osiem lat po jej śmierci doprowadził do organizacji wystawy w Muzeum Rodina. W 2017 r. w Nogent-sur-Seine zostało otwarte monograficzne Muzeum Camille Claudel. A warszawska wystawa „Bez gorsetu” jest pierwszym ujęciem twórczości w kontekście współczesnych jej rzeźbiarek. Nie mamy, co prawda, dowodów, że kiedykolwiek się spotkały, aczkolwiek nie było to wykluczone, gdyż Andriolli studiowała w Colarossi i jest szansa, że minęły się z Claudel.

Camille Claudel
(1864–1943),
„Walc”, 1889–1905,
brąz, Muzeum
Camille Claudel,
Nogent-sur-Seine.



© YVES ROUREL / MUSÉE CAMILLE CLAUDEL

MT: W tym momencie warto zwrócić uwagę, że polskie rzeźbiarki XIX w. również podejmują temat aktu. Mówiliśmy już o „Śpiącym amorze” Andriolli.

EZ: Na wystawie prezentujemy także akt „Siedzący mężczyzna”, ofiarowany przez Tolę Certowicz Towarzystwu Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, oraz jej „Morfeusza”, który jest częścią fontanny w ogrodzie pałacu Czapskich w Krakowie. Podkreślić należy, że są to akty męskie, w których jednak partia bioder nie została w pełni odkryta. „Morfeusz” jest świetnym przykładem rzeźbiarskim nurtu symbolizmu, widzimy bowiem w dolnej partii rzeźby maki i sowę – symbole snu. Rzeźba została odlana w 1889 r. w Paryżu, w pracowni braci Denovilliers, i подарowana przez artystkę Muzeum Narodowemu w Krakowie.

MT: W XIX w. dużo pisano w prasie o rzeźbiarkach, ale nie potrafiono właściwie docenić ich twórczości.

EZ: Dobrym przykładem jest postać Natalii Andriolli, o której prasa donosiła na bieżąco: kiedy przyjechała, jak była ubrana, jakie piece zainstalowała w pracowni. W prasie opublikowano także anons Marii Gerson-Dąbrowskiej, prezentujący jej portret i wybrane realizacje. Jednak krytyka artystyczna nie wykształciła języka opisu twórczości kobiet. Ich dzieła charakteryzowano poprzez porównanie z twórczością mężczyzn. O Toli Certowicz pisano: „Gdybym nie wiedział, że jest to dzieło delikatnej kobiecej rączki, myślałbym, że jest to rzeźba, która wyszła spod silnej męskiej ręki”. I jest to wyraz największego uznania.

MT: Nie powiedziałyśmy jeszcze o drugiej dziewczynie z fotografii, stojącej z młotkiem i dłutem w ręku, czyli o Antoninie Roźniatowskiej.

EZ: To również bardzo ciekawa postać i wybitna rzeźbiarka. Pochodziła z zamożnej rodziny ziemiańskiej z Berdyczowa, uczy-

ła się rzeźby w krakowskim Baraneum u Marcellego Guyskiego i asystowała mu w kilku realizacjach w Krakowie. Na wystawie możemy podziwiać wykonane przez nią pośmiertne popiersie dra Adriana Baranieckiego, o które prosiły jej koleżanki. Na plakacie widnieje napis: „Dr Adrian Baraniecki, założyciel Wyższych Kursów dla Kobiet, których były słuchaczki portret ten dłuta uczennicy Antoniny Roźniatowskiej zamówiły ku uczczeniu pamięci założyciela i Muzeum Przemysłowemu w Krakowie ofiarowują w 1934 roku”. Prezentujemy także popiersie „Panienci z kotkiem”, na którym wyrzeźbione ręce kobiety i sam kotek dowodzą maestrii rzeźbiarskiej Roźniatowskiej. Swoje prace wystawiała w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, uczestniczyła w Pierwszej Wielkiej Wystawie Sztuki Polskiej w Krakowie, zorganizowanej w 1887 r. Prowadziła wykłady z modelowania dla początkujących na Wyższych Kursach dla Kobiet, ale także była członkinią Towarzystwa Ochrony Zwierząt.

Antonina Roźniatowska zmarła w Krakowie bardzo młodo, w wieku 35 lat, a na nagrobku znajduje się medalion portretowy autorstwa jej koleżanki, Toli Certowicz. Nawet w ten sposób widzimy siłę siostrzeństwa.

MT: Nie dbano o spuściznę XIX-wiecznych rzeźbiarek, dlatego zapewne pamięć o niektórych zanikła. Wyjątkiem jest twórczość Heleny Skirmuntt.

EZ: To prawda. Twórczość Heleny Skirmuntt przetrwała, gdyż jej córka Konstancja zadbała o to, żeby dzieła matki znalazły się w zbiorach muzealnych. Wraz z fotografką Józefą Bułhakówną w 1931 r. własnym nakładem wydała pierwszą monografię Heleny Skirmuntt. Dzięki temu mamy świadomość, jaki dorobek pozostawiła po sobie ta artystka, choć część rzeźb spłonęła w pożarze majątku w Pińsku w 1901 r.

Niezwykle cenne są dla nas słynne „Szachy polskie” z 1871 r., przedstawiające wojska tureckie i króla Jana III Sobieskiego. Jedenastocentymetrowe figury powstały w Rosji, kiedy artystka przebywała na zesłaniu za wspieranie powstańców styczniowych. Przy okazji aranżacji tej wystawy udało nam się odkryć jeszcze jedną fascynującą kobietę – szachistkę Reginę Gerlecką, mistrzynię Polski i wicemistrzynię świata z 1935 r. Dzięki pomocy Polskiego Związku Szachowego szachy na planszy są ustawione z jednej z jej zwycięskich partii.

MT: I tak dzieło kobiety sprzed 150 lat posłużyło do prezentacji osiągnięć kobiet z następnego pokolenia i innej dyscypliny. A dzieje się to za sprawą teraźniejszych kobiet – twórczyń tej wystawy. Siła siostrzeństwa działa jak wehikuł czasu.

Wystawa „Bez gorsetu. Camille Claudel i polskie rzeźbiarki XIX wieku”, 19 maja–10 września 2023 r., Muzeum Narodowe w Warszawie.

Autorka scenariusza i kuratorka wystawy: dr Ewa Ziemińska;

współpraca kuratorska: Alicja Gzowska.



Sebastian

Świdorski – polski siatkarz, trener, w latach 1996–2011 reprezentant kraju (322-krotny) grający na pozycji przyjmującego, prezes zarządu ZAKSA Kędzierzyn-Koźle. Od 2021 r. prezes Polskiego Związku Piłki Siatkowej.

Śmiem powiedzieć, że jest to rok fantastyczny

O tegorocznym sezonie siatkarskim, perspektywach na przyszłość oraz o tym, co siatkarze mogą doradzić piłkarzom, z **Sebastianem Świdorskim** rozmawia Krzysztof Przybył.

Krzysztof Przybył: Rok 2023 jest wspaniały dla polskiej siatkówki. Panowie zwyciężyli w Lidze Narodów i zdobyli puchar mistrzów Europy, panie zajęły trzecie miejsce w Lidze Narodów. Ale przede wszystkim obie reprezentacje zakwalifikowały się do igrzysk olimpijskich w Paryżu.

Sebastian Świdorski: Śmiem powiedzieć nawet, że jest to rok fantastyczny, bo oprócz wymienionych osiągnięć należy też wspomnieć o rozgrywkach klubowych. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, żeby dwie drużyny z Polski znalazły się w wielkim finale Ligi Mistrzów. Już przed meczem wiadomo było, że puchar przyjedzie do Polski. Ostatecznie to ZAKSA go zdobyła, po raz trzeci z rzędu. To wielki sukces polskiej siatkówki klubowej.

Wracając do reprezentacji narodowej – rzeczywiście był to trudny sezon, gdyż najważniejsze dla nas były turnieje kwalifikacji olimpijskich. Przed sezonem otrzymaliśmy propozycję organizacji jednego z tych turniejów i długo zastanawialiśmy się,

który wybrać. Po analizie szans panów i pań zdecydowaliśmy, że zorganizujemy turniej kobiet, żeby zwiększyć szanse olimpijskie naszych siatkarek. Panom nie było do śmiechu, ale myślę, że wyniki na koniec sezonu bronią naszej decyzji. A mówię o tym dlatego, ponieważ w tym roku został zmieniony system kwalifikacji olimpijskich – postanowiono rozegrać tylko jeden turniej kwalifikacyjny, z którego jedynie dwie ekipy mogły awansować do igrzysk. O następnych kwalifikacjach będzie decydować „słynny” ranking. Mówię „słynny”, bo każdy mecz daje i zabiera punkty w rankingu. Jeżeli nasze panie nie wygrałyby turnieju kwalifikacyjnego w Łodzi, to o udziale w igrzyskach decydowałaby kwalifikacja rankingowa, która odbędzie się za rok. Trener żeńskiej reprezentacji Stefano Lavarini jest wielkim perfekcjonistą, nie chciał ryzykować kwalifikacji przez ranking, interesowały go tylko zwycięstwa. Przeżył wielki stres, bo Polki rozpoczęły sezon z ósmego miejsca w rankingu.

Nasi panowie byli na miejscu pierwszym, więc mieli dużo łatwiej. Natomiast łatwiej nie znaczy lepiej. Przegrany mecz z przeciwnikiem dużo niżej notowanym oznacza natychmiastową stratę punktów w rankingu. Czasami pojedyncze punkty rankingowe decydują, czy jest się na miejscu piątym, czy ósmym, a więc czy jedzie się na olimpiadę.

Sezon reprezentacji męskiej rozpoczął się od pierwszego miejsca w Lidze Narodów, a turniej finałowy rozgrywany był w Gdańsku. Nasze panie też odniosły wielki sukces, plasując się na trzecim miejscu podczas turnieju w USA, czyli zdobywając brązowy medal w Lidze Narodów. Był to także pierwszy wielki sukces naszego nowego trenera reprezentacji kobiet, Stefano Lavariniego. Przy okazji warto przypomnieć, że również nasza męska kadra ma nowego szkoleniowca, bowiem w zeszłym roku wybraliśmy na to stanowisko Nikolę Grbicia. Takich świetnych wyników, jakimi zakończył się pierwszy etap przygotowań pań i panów, nikt nie przewidywał, bo – jak mówiłem – celem nadrzędnym było osiągnięcie kwalifikacji olimpijskich.

Następny etap to mistrzostwa Europy, podczas których nasze panie przegrały jedynie dwa spotkania, ale niestety znaczące: mecz z Serbią w pierwszej fazie i mecz ćwierćfinałowy z Turcją. Uplasowały się na piątym miejscu, natomiast – jak się później okazało – przegrały tylko z finalistkami tego turnieju, dlatego ten występ oceniamy bardzo pozytywnie.

Z kolei na mistrzostwach Europy mężczyzn to Polacy byli faworytami i nie zawiedli. Zdobyli puchar mistrzowski na ziemi włoskiej, biorąc srogie rewanż na reprezentacji Włoch, która w zeszłym roku w katowickim Spodku pokonała nas i sięgnęła po złoty medal mistrzostw świata. Kiedy rozmawiałem z trenerem reprezentacji Włoch Ferdinando „Fefe” De Giorgim, to w żartach powiedział mi, że woli grać u nas w Spodku, bo tam Włosi wygrywają. Ostatecznie ustaliliśmy, że trzeba spotkać się na neutralnej ziemi, a najlepiej w wielkim finale turnieju na igrzyskach w Paryżu.

KP: I nie obawiamy się już drużyny ze Słowenii?

SŚ: Słowenia była naszą kłętą w wielkich turniejach rangi mistrzowskiej. Często mieliśmy ze Słoweniami problem w ćwierćfinałach albo półfinałach, kiedy to przeważnie byli od nas lepsi. Natomiast w tym roku pokonaliśmy ich w ćwierćfinale mistrzostw Europy, więc ta kłętka jest tylko i wyłącznie w głowach – i to raczej głowach dziennikarzy niż zawodników.

Poza tym system rozgrywek olimpijskich się zmienił. Wcześniej były dwie grupy po sześć zespołów, czyli szósty mecz ćwierćfinałowy decydował o tym, czy grało się o medale. To ten szósty mecz był naszą zmurą na igrzyskach, nie mogliśmy sobie z nim poradzić. Teraz mecz szósty jest meczem o finał, więc głęboko wierzę, że będziemy walczyć o złoto.

KP: Wróćmy jeszcze do obecnego sezonu, bo walka o kwalifikacje olimpijskie była pasjonująca.

SŚ: Turnieje kwalifikacji olimpijskich były dla nas najważniejsze w sezonie. Panowie wyjechali do Chin, trafili na średnią grupę, więc od razu wieszczono nam, że będziemy na igrzyskach. Natomiast takie grupy są trudne do grania, ponieważ w każdym meczu musisz wyjść i udowodnić swoją wyższość, wiedząc, że jesteś lepszy. Od razu pierwszego dnia Belgia postawiła nam bardzo wysokie wymagania i chyba bardziej głową niż siłą i umiejętnościami wygraliśmy ten mecz. Ostatecznie turniej męski zakończyliśmy kompletem zwycięstw, zdobyliśmy pierwsze miejsce i awans na igrzyska w Paryżu.

Nasze panie przeszły dużo trudniejszą drogę, na szczęście turniej organizowany był w Łodzi, przed polską publicznością. W naszej grupie znalazły się bardzo mocne reprezentacje USA i Włoch. Niestety, zanim dotarliśmy do tych spotkań, zaliczyliśmy nieoczekiwane potknięcie z Tajlandią i był to kubeł zimnej wody, który spowodował, że w następnych spotkaniach – z reprezentacją Niemiec Vitala Heynena, z reprezentacją Włoch, a na koniec z reprezentacją USA – osiągnęliśmy sukces. Ciągle łamie mi się głos na wspomnienie tamtych emocji z udziałem narodowej drużyny kobiet.

Warto również wspomnieć, że panowie w tym roku pobili rekord, bowiem zakończyli sezon z wynikiem 29 zwycięstw i 2 porażek, które nawiasem mówiąc, nastąpiły we wczesnej fazie Ligi Narodów, kiedy to trener Grbić zmieniał składy, czasem grał nawet trzecią szóstką. Koniec końców jego decyzje się obroniły i był to najlepszy sezon naszej reprezentacji męskiej.

KP: Pozostaje pytanie o tajemnicę sukcesu. Co robi Polski Związek Piłki Siatkowej, że polska siatkówka osiąga takie sukcesy? Czego brakuje naszym piłkarzom? Może im podpowiemy?

SŚ: Wiem, czego my nie mamy – takich budżetów jak piłka nożna. A co mamy? Przede wszystkim dobrze zorganizowane szkolenie dzieci i młodzieży. W 1997 r. zaszła zmiana pokoleniowa, w której miałem szczęście uczestniczyć. Polacy wygrali mistrzostwa Europy juniorów w 1996 r. oraz mistrzostwa świata juniorów w 1997 r. W 1998 r. niedawni jeszcze juniorzy zostali wrzuceni na głęboką wodę i wystartowali w Lidze Światowej, gdzie mieli możliwość grania z najlepszymi na świecie. Wydaje mi się, że boom na siatkówkę wśród kibiców narodził się w czasie meczu w Lipiecku w Rosji w 1998 r., kiedy to wygraliśmy z gospodarzami w tie-breaku. Mecz trwał dłużej niż zaplanowane dwie godziny transmisji, w rezultacie widzowie nie widzieli jego końcówki, a słyszeli jedynie głos komentatorów. Mimo że mieliśmy trudne, przegrane mecze na wyjeździe z Brazylią i Jugosławią, to kiedy zawitaliśmy do katowickiego Spodka, przywitała nas ośmiotysięczna publiczność. Było to dla nas szokiem, bo zwykle graliśmy przy pięciusetosobowej widowni. Nie zdobywaliśmy laurów od razu, na pierwsze sukcesy musieliśmy czekać do 2006 r., kiedy to wywalczyliśmy wicemistrzostwo świata. Sukces wymaga lat pracy, lat inwestowania w dzieci i młodzież i bazowania na tym.

Dlaczego Kraków?

Miejsce

Kraków już od kilku lat jest europejskim liderem atrakcyjności dla branży nowoczesnych usług dla biznesu, a ostatnio także dla centrów badawczo-rozwojowych. Inwestują u nas instytucje finansowe, firmy z sektora high-tech, świetnie rozwijają się też startupy. Właściwie na każdym poziomie wszystkie te branże – poczynając od jednoosobowej działalności gospodarczej, a kończąc na globalnych markach – stale rozwijają nowe obszary i stawiają na innowacyjność. Sektor BSS w Krakowie tworzy obecnie ponad 270 firm zatrudniających około 100 tys. pracowników, działa u nas ponad 500 firm technologicznych z blisko 50 tys. pracowników IT, mamy też 9 tys. studentów kierunków informatycznych. Ponadto w ciągu kilku lat czterokrotnie zwiększyły się zasoby powierzchni biurowej – obecnie to 1,75 mln m².

Dla rozwoju gospodarczego miasta kluczowe jest odpowiednie otoczenie infrastrukturalne i organizacyjne: liczne firmy, w tym międzynarodowe korporacje, ośrodki naukowo-badawcze czy centra badań i rozwoju oraz uczelniane centra transferu technologii. Kraków wspiera rozwój gospodarki opartej na wiedzy i prowadzi aktywną współpracę z biznesem i środowiskiem naukowo-badawczym. Miasto również dba o wysoką jakość życia mieszkańców, tworząc bogatą ofertę kulturalną, edukacyjną i sportowo-rekreacyjną oraz zapewniając wysokie poczucie bezpieczeństwa. Mamy sprawną komunikację miejską, dogodne położenie przy autostradzie A4, dobre połączenia kolejowe oraz nowoczesne międzynarodowe lotnisko.

Ludzie

Atutem Krakowa są doskonałe kadry – zarówno te naukowe i menedżerskie, tworzące zaplecze intelektualne i biznesowe, jak i ambitni młodzi ludzie, otwarci na zmianę i rozwój. Kraków to prężnie działający ośrodek akademicki: blisko 130 tys. studentów uczących się na 23 wyższych uczelniach oraz rozwinięta infrastruktura naukowo-badawcza. Dlatego dla wszystkich inwestorów i firm mocną stroną naszego miasta są profesjonalne kadry, głównie z obszaru technologii teleinformatycznych i inżynierii czy administracji i HR, z kompetencjami lingwistycznymi.

Innowacyjność

Chociaż mogłoby się tak wydawać, turystyka nie jest najważniejszą gałęzią krakowskiej gospodarki; jej oczywiste znaczenie nie podlega dyskusji, jednak miasto stale stara się dywersyfikować obszary aktywności gospodarczej na swoim terenie, kierując się zapisaną w dokumentach strategicznych zasadą zrównoważonego rozwoju. Dlatego istotny udział w dochodach miasta ma

przemysł i budownictwo oraz dynamicznie rozwijający się rynek usług okołobiznesowych, sektor przemysłów kreatywnych i life science, a także liczne startupy. Szacuje się, że 15 odnoszących największe sukcesy startupów powstałych w Krakowie zebrało łącznie ponad 300 mln dolarów. Krakowskie startupy zatrudniają setki osób, ich produkty są wykorzystywane na całym świecie, a branża zdobywa coraz większe międzynarodowe uznanie – można tu wspomnieć takie marki, jak Estimote, Brainly, Callpage, Synerise czy Silvair.

Sukces pod Wawelem

Na bardzo konkurencyjnym, globalnym rynku Kraków wciąż przyciąga młodych ludzi i specjalistów, którzy tutaj chcą rozwijać swoje talenty. Kreatywni młodzi ludzie otrzymują w Krakowie szansę na dobry start i możliwość realizowania swoich ambicji, równocześnie duże firmy dążą do rozszerzenia swojej działalności, a kolejni nowi gracze włączają się do budowania krakowskiej gospodarki.

Naszym wspólnym celem jest to, by w przyjaznym, otwartym i bezpiecznym mieście mógł swobodnie rozwijać się biznes, a oferowane przez niego usługi, produkty i nowoczesne technologie służyły wszystkim. Jak widać, obecna sytuacja ekonomiczna, polityczna i społeczna stawia przed wszystkimi wiele wyzwań, jednak Kraków jest dobrze przygotowany do aktywnego kreowania nowych możliwości rozwoju. Jego fundamentem jest współpraca i włączanie w nią wszystkich partnerów – biznes, naukę, samorząd i mieszkańców.

Miasto wspiera inwestorów

Liczne atuty Krakowa przekładają się na dynamiczny rozwój gospodarczy, co przyciąga inwestorów i biznes, zaś samorząd oferuje wszechstronną pomoc projektom inwestycyjnym na wszystkich etapach – w tym celu działa miejskie Centrum Wspierania Inwestorów i Innowacyjnej Gospodarki, które służy wsparciem dla małych zamierzeń budowlanych, poprzez lokalizację centrów nowoczesnych usług, a kończąc na wielkich przedsięwzięciach biznesowych.

Planowanie inwestowania pod Wawelem można zacząć od stron internetowych dlabiznesu.krakow.pl, gdzie znajduje się „Przewodnik dla Inwestora”, który w wersji polskiej i angielskiej dostarcza podstawowych informacji np. o profilu ekonomicznym miasta, ofertach, formach wsparcia, opiniach inwestorów czy nagrodach dla miasta.

Zgodnie ze strategią rozwoju Krakowa „Tu chcę żyć. Kraków 2030” miasto wciąż rozwija swój potencjał, promując przedsiębiorczość opartą na kreatywności i talentach swoich mieszkańców, dbając równocześnie o to, aby przyciągać zewnętrzny biznes oraz inwestorów. Rynek nowych inwestycji nie rozwijałby się w Krakowie tak prężnie, gdyby nie wyjątkowość naszego miasta, które jest nie tylko pięknym, historycznym grodem, centrum naukowym i kongresowym, ale i znaczącym ośrodkiem biznesowym.

KRAKÓW

a fusion
of past

and **FUTURE**

Dialog poprzez architekturę

- Temat zasad projektowania architektury na styku z zabytkami jest bardzo szeroki. Pomimo wielu doktryn konserwatorskich nie istnieje uniwersalna i jedynie właściwa metoda, bowiem każda lokalizacja – i jej historia – ma swoją specyfikę, wymaga indywidualnego rozważenia i rozstrzygnięcia.
- Staram się projektować budynki jednocześnie kontekstualne i nowoczesne, odzwierciedlające stan współczesnej technologii i przekonanie, że potrafimy zrozumieć architekturę dawnych mistrzów i wejść z nią w dialog.
- Architektura jest swoistym językiem, którym przekazuje się wiele informacji w różnych, nazwijmy to: rejestrach – bezpośrednio poprzez zmysły, za pomocą form i poprzez system kodów symbolicznych.
- Architekt ma obecnie nieporównywalnie większe możliwości precyzyjnego dostosowania parametrów budynku do warunków klimatycznych i wyzwań ekologicznych niż kilkadziesiąt lat temu.
- Każdy projekt to pisanie odrębnego, nowego „scenariusza” przy zachowaniu pewnych zasad ogólnych, wypracowanych i modyfikowanych przez wieki, na przykład nawiązujących do klasycznej triady Witruwiusza.
- Andrzej Wajda przychodził do naszego biura z pomysłami ilustrowanymi własnymi rysunkami, żył tymi wszystkimi projektami, razem szkicowaliśmy i prowadziliśmy rozmowy. Do dziś wspominam te wspaniałe chwile, jestem beneficjentem jego wyobraźni i przyjaźni.

Z prof. **Krzysztofem Ingardenem** rozmawiają Marzena Tataj i Kamil Broszko.

Małopolski Ogród Sztuki





© PAMEL WIECZOREK

Krzysztof Ingarden – architekt, profesor nauk technicznych, wykładowca i dziekan Wydziału Architektury i Sztuk Pięknych Krakowskiej Akademii im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Współzałożyciel i prezes biura Ingarden & Ewy Architekti w Krakowie. Ukończył studia architektoniczne na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. W latach 1983–1985 odbył staż doktorancki na Wydziale Sztuki i Projektowania Uniwersytetu Tsukuba w Japonii. W latach 1984–1985 pracował w biurze architektonicznym Arata Isozaki Atelier w Tokio, w 1987 r. – w biurze J.S. Polshek & Partners w Nowym Jorku. Od 2002 r. konsul honorowy Japonii

Marzena Tataj: Niedawno rozstrzygnięto konkurs na odbudowę Pałacu Saskiego. Pański projekt zdobył drugą nagrodę i jako jedyny z finalistów wyraźnie odznaczał istniejący grób Nieznanego Żołnierza. Jakie jest pana podejście do odbudowy zabytków?

Krzysztof Ingarden: Przy tym projekcie konkursowym współpracowaliśmy z warszawskim biurem Arcus Mariusza Ścisło, które było biurem prowadzącym, wykonało też bardzo obszerne badania archiwalne związane z tematem. Uznaliśmy za bardzo istotne symboliczne podkreślenie śladu zniszczeń wojennych – poprzez pozostawienie nieuzupełnionego fragmentu kolumnady nad Grobem Nieznanego Żołnierza. Ta pustka jest znakiem historii, a pamięć o niej nadaje odpowiednie znaczenie i perspektywę dla rekonstrukcyjnego charakteru pozostałych elementów budynków.

Temat zasad projektowania architektury na styku z zabytkami jest bardzo szeroki. Pomimo wielu doktryn konserwatorskich nie istnieje uniwersalna i jedynie właściwa metoda, bowiem każda lokalizacja – i jej historia – ma swoją specyfikę, wymaga indywidualnego rozważenia i rozstrzygnięcia. Nasze biuro zrealizowało w Krakowie, w historycznym centrum miasta, kilka projektów podejmujących temat współistnienia nowoczesności z historią. Przykładem może tu być Pawilon „Wyspiański 2000” na placu Wszystkich Świętych, zbudowany na miejscu nieistniejącej XIX-wiecznej kamienicy „Pod Lipką”, której najstarsze fragmenty piwnic pochodzą z XIII i XIV w. Prawdziwym wyzwaniem było wydobycie i pokazanie elementów historii tego miejsca przy jednoczesnym wprowadzeniu w jej historyczną tkankę architektonicznej opowieści o naszej współczesności. Z kolei w Małopolskim Ogrodzie Sztuki wkomponowaliśmy fragment XIX-wiecznego budynku w nowy obiekt, zgodnie z zaleceniami konserwatorskimi. Chcieliśmy stworzyć architekturę wchodzącą w dialog z historią. Staram się projektować budynki jednocześnie kontekstualne i nowoczesne, odzwierciedlające stan współczesnej technologii i przekonanie, że potrafimy zrozumieć architekturę dawnych mistrzów. Dlatego też w Pawilonie „Wyspiański 2000” na współczesnej szklanej fasadzie użyliśmy eksperymentalnych przesłon, rodzaju pionowych żaluzji ze specjalnie zaprojektowanych pa-

w Krakowie, od 2015 r. członek rzeczynisty PAU.

Laureat Honorowej Nagrody SARP (2009 r.). Otrzymał Złoty Krzyż Zasługi i srebrny medal Gloria Artis. Odznaczony Krzyżem Małopolskim (złotym).

W 2018 r. otrzymał od rządu Japonii Order Wschodzącego Słońca Złote Promienie ze Wstęgą za wieloletni wkład w budowanie polsko-japońskich więzów i współpracy w dziedzinie kultury i architektury.

W 2023 r. uhonorowany tytułem Promotora Polski z Małopolski, przyznawanym przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”.

Autor i współautor projektów: Centrum Kongresowego ICE (2014), Galerii Europa

– Daleki Wschód w Krakowie (2015), Małopolskiego Ogrodu Sztuki (2012), Pawilonu „Wyspiański 2000” (2007), Pawilonu Polskiego na Światowej Wystawie Expo Aichi w Japonii (2005), Szkoły Języka Japońskiego przy Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha (2004), Ambasady RP w Tokio (2001). Współpracował z Aratą Isozakim przy projekcie Muzeum Manggha w Krakowie (1987–1994) i wielu innych. Kurator wystaw o tematyce architektonicznej. Autor książek, m.in. „Jakimi mówimy językami? Próba klasyfikacji architektury Drugiej i Trzeciej Rzeczypospolitej”. Autor scenariusza i producent filmu „Idea jest najważniejsza – architektoniczne pasje Andrzeja Wajdy”.

neli ceramicznych, nawiązujących materiałowo do ceglanych ścian gotyckich kościołów stojących w sąsiedztwie. Wszystko w tym celu, aby ludzie korzystający z budynku widzieli i czuli, że to współczesne i unikatowe rozwiązanie nie zaburzyło budowanej przez wieki tożsamości miejsca. Architektura ta materiałowo oddziałuje na nasze zmysły podobnie i tymi samymi środkami co sąsiednie obiekty historyczne, choć dodaje też nowe elementy, rozpoznawane jako znaki nowoczesności harmonijnie współistniejące z historią.

MT: Jaka jest rola architektury poza realizacją funkcji? Czy architekt może przekazać treści?

KI: Architektura jest swoistym językiem, którym przekazuje się wiele informacji w różnych, nazwijmy to: rejestrach – bezpośrednio poprzez zmysły, za pomocą form i poprzez system kodów symbolicznych. Stosowanie określonych materiałów i kształtów przekazuje szereg informacji o danej kulturze, historii, o używanych technikach itp. Na to nakłada się warstwa symboliczna stosowanych form, charakterystyczna dla danej kultury, a następnie na nią nałożona jest warstwa autorskiego komentarza, niekiedy poszukującego i eksperymentującego. Typologicznie architektoniczne formy są uporządkowane i sklasyfikowane, natomiast architekt, projektując, jest w stanie formy te indywidualnie interpretować i zestawiać. Jeden twórca może ułożyć z nich utwór poetycki, a drugi coś, czego nie da się odczytać. Możliwość komunikacyjna architektury istnieje, bowiem architektura jako składowa szeroko pojętej kultury ma charakter semiotyczny i dzięki temu możemy tworzyć przestrzenie realizujące przekaz ponad programową funkcjonalnością. Tworzone formy i przestrzenie mogą być zrozumiałe, poruszające wyobraźnię lub nijakie, obojętne czy wręcz groźne i odpychające w odbiorze. Architekci mogą tak kreować architekturę, aby była przyjazna dla zmysłów i jednocześnie zrozumiała dla poznającego ją umysłu, aby chciało się w niej przebywać, usiąść, dotknąć i na końcu ją przeanalizować i zrozumieć, a czasem się nią zachwycić.

MT: Czy pomagają w tym nowoczesne narzędzia projektowania i nowe technologie w budownictwie?

KI: Nowe technologie budowlane i techniki projektowania są nie tylko pomocne, są na co dzień niezbędne w naszym zawodzie. Architekt ma obecnie nieporównywalnie większe możliwości precyzyjnego dostosowania parametrów budynku do warunków klimatycznych i wyzwań ekologicznych niż kilkadziesiąt lat temu. Wykorzystuje specjalistyczne oprogramowanie komputerowe, pozwalające kontrolować i koordynować funkcjonowanie wszystkich elementów budynku, od systemów instalacyjnych po konstrukcyjne. Może modelować w sposób niewyobrażalnie szybki i prosty za pomocą komputera nie tylko kształty budynku, ale też jego charakterystykę energetyczną. Ten high-tech jest powszechny w biurze projektowym, w przemyśle budowlanym i na placu budowy. Jednak aby pojawiła się architektura znacząca w sensie humanistycznym, narzędzia te mogą być niewystarczające. Nowoczesność technologiczna służyć powinna tworzeniu wartości kulturowych i społecznych, gdyż każdy budynek funkcjonuje w konkretnym otoczeniu historycznym i środowiskowym, a także dla konkretnej, najczęściej lokalnej społeczności, która musi czuć się w nim bezpiecznie, rozumieć go i akceptować.

Kamil Broszko: Czy ma pan stałe inspiracje, które przejawiają się we wszystkich projektach?

KI: Każdy projekt to pisanie odrębnego, nowego „scenariusza” przy zachowaniu pewnych zasad ogólnych, wypracowanych i modyfikowanych przez wieki, na przykład nawiązujących do klasycznej triady Witruwiusza, według którego dzieło architektoniczne charakteryzują trzy główne cechy: *firmitas, utilitas, venustas*. Pomimo różnych rewolt artystycznych ta myśl w zasadzie nie straciła na aktualności. Wszyscy zabiegamy o to, aby architektura była trwała, użyteczna i piękna, choć nie zawsze wszystkie trzy elementy muszą działać razem jednocześnie. Funkcja budynku, w praktyce starzejąca się najszybciej, nie jest przecież trwała. Ale architektura nie jest pozostawiona sama sobie – realizując założoną funkcję, służy człowiekowi i jego zmiennym potrzebom. Tworzy przestrzeń publiczną, wpływa na sposób funkcjonowania miasta i jest przedmiotem dynamicznej dyskusji społecznej, której cechą jest także zmienność. Dlatego paleta inspiracji dla architekta jest nieograniczenie szeroka, przy czym niezwykle ważne jest zrozumienie współczesnych potrzeb i podejmowanie prób znalezienia za pomocą architektury właściwych funkcjonalnych i kompozycyjnych rozwiązań w skali krajobrazu i przestrzeni dzielnic i miast.

MT: Chciałabym zapytać o pana związki z Japonią.

KI: Japonia była przygodą mojego życia, wielką podróżą rozpoczętą w czasach studenckich. Po raz pierwszy byłem tam w trakcie drugiego roku studiów, w 1977 r. Zwiedziłem wówczas kraj, z przewodnikiem architektonicznym w rękę, od Hokkaido po Kiusiu, przemierzając się głównie autostopem. Jechałem zarówno szlakiem architektury historycznej, jak i architektury współczesnej. Poznałem świątynie sinto-



istyczne i buddyjskie, zamki władców i rezydencje samurajskie. Zwiedzałem także architekturę powojenną: modernizm (Kenzo Tange i Junzo Sakakura), metabolizm (Kisho Kurokawa i Kiyonori Kikutake) i postmodernizm (Arata Isozaki, Hiroshi Hara), a także architekturę nieco młodszego pokolenia (Toyo Ito, Tadao Ando i wielu innych). Po ukończeniu studiów w Krakowie otrzymałem stypendium Monbusho rządu japońskiego na staż doktorancki. Przebywałem więc ponownie w Japonii w latach 1984–1986. Po studiach rozpocząłem pracę w Tokio w biurze Arata Isozaki Atelier. Była to moja pierwsza działalność zawodowa. Wielu rzeczy uczyłem się od nowa. W biurze Isozakiego poznałem jego zawodowy warsztat i autorski sposób podejścia do architektury, dzięki czemu mogłem myśleć o własnej drodze w architekturze. Po powrocie do Polski utrzymywałem koleżeńskie kontakty z Aratą Isozakim i architektami z jego biura. Dzięki temu w 1987 r. mogłem zaproponować Andrzejowi Wajdzie kandydaturę Araty Isozakiego jako architekta do projektu Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha w Krakowie. Isozaki zdecydował się opracować koncepcję projektu w darze Fundacji Kyoto – Kraków Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz, bowiem ujął go pomysł Wajdy, aby zbudować przestrzeń ekspozycji dla zbiorów Feliksa Jasińskiego, które były zdeponowane w Muzeum Narodowym w Krakowie. Muzeum Manggha było pierwszym polsko-japońskim projektem, w którym uczestniczyłem, potem nastąpiły kolejne...

MT: Wątki japońskie cały czas przeplatają się w pańskiej pracy.

KI: Japonia mocno wpłynęła na mój sposób postrzegania architektury. Historia współczesnej architektury japońskiej to historia dialogu i mediacji pomiędzy wpływami kultur Wschodu i Zachodu. Odnajdywanie tych wątków w pracach architektów japońskich było fascynujące i inspirujące. Przykładowo w historyczną z zasady stylistykę międzynarodowego modernizmu



Z lewej: Pawilon
„Wyspiański 2000”

Z prawej: Pawilon Polski
na Expo 2005

© KRZYSZTOF INGARDEN (2)

Kenzo Tange wplatał elementy tradycje japońskiej, co widać w przypadku parku Pamięci Pokoju w Hiroshimie, gdzie występują nawiązania do starojapońskich form architektury. Arata Isozaki swoje koncepcje również odnosił do kultury japońskiej, mimo że stosował zupełnie inny język niż Tange. Także Tadao Ando czy Kengo Kuma to architekci, których twórczość jest znakomitym przykładem dialogu kulturowego. Stażowi w Japonii zawdzięczam uwrażliwienie na możliwości, jakie daje dialog w architekturze. W naszym biurze zawsze staramy się za pomocą projektów nawiązywać dyskusję z *genius loci*. Środowisko konserwatorskie często postrzega architekturę tworzoną w kontekście historycznym w sposób czarno-biały: albo jako historyczną ortodoksję, odtworzenie historycznych rozwiązań, albo przeciwnie – jako kreację, czyli tworzenie rozwiązań współczesnych w kontrze do historii. A przecież istnieje szeroka strefa pomiędzy historyzującą ortodoksją a abstrahującą od niej kreacją. Istnieje droga prowadzenia dialogu. Autentyczność i prawda architektury wymagają, aby jej język się rozwijał i odpowiadał na potrzeby współczesności, ale jednocześnie nie gubił swych korzeni kulturowych.

KB: Jak ocenia pan polską architekturę nowoczesną?

KI: W ostatnim 30-leciu zbudowaliśmy w Polsce mnóstwo bardzo dobrej architektury. Jest to widoczne w architekturze projektów publicznych – nowych muzeów, teatrów czy sal koncertowych, ale też w architekturze komercyjnej i mieszkaniowej. Stylistycznie to dzieła bardzo różnorodne, trudno znaleźć dla nich wspólny mianownik. Różnorodność ta nie jest jednak zjawiskiem negatywnym. Przeciwnie, świadczy o bogatym dziedzictwie, z którego wyrasta. Porównując zakres stylistyk funkcjonujących w 20-leciu międzywojennym do stylistyk architektonicznych funkcjonujących obecnie, można powiedzieć, iż zachodzi tu ciekawa korelacja, pomimo oczywistych różnic. Jednak na skali porównawczej rozpiętej pomiędzy stylistycznymi historyzmami a formami geometrycznymi abstrahującymi od historyzmu wachlarz stylistyczny charakterystyczny



dla 20-lecia międzywojennego i czasów obecnych dość dobrze pasują do siebie. To dowodzi, jak silna jest w kulturze tradycja i jej kontynuacja, mimo dziejowych katastrof, zmian ustrojowych itp.

MT: W latach 80. jako młody architekt pracował pan w Tokio i Nowym Jorku. Jednak nie pozostał pan za granicą, ale swoją karierę zawodową zbudował w kraju.

KI: Należę do szczęśliwego pokolenia architektów, którzy zaczęli swoje kariery po 1980 r., mogli też uczyć się za granicą i tam zdobywać zawodowe doświadczenie. Moi stryjostwo, Janusz i Marta Ingardenowie, byli architektami. Jako mały chłopak nasłuchiwałem się wielu opowieści starszego pokolenia, jak trudno było tworzyć architektom w PRL-owskiej Polsce, mimo to wybrałem studia architektoniczne. Kontynuowałem je w Japonii, potem pracowałem w biurach w Tokio i Nowym Jorku, jednakże chciałem stworzyć własne biuro i właśnie wtedy w Polsce pojawiły się sprzyjające okoliczności. Miałem szczęście, że wystartowałem zawodowo na przełomie lat 80. i 90. Nasze pokolenie rozpoczęło pracę w okolicznościach, o jakich poprzednie marzyło: koniec okresu zimnej wojny, ruch Solidarności i demokratyzacja państwa, uwolniony rynek, perspektywa wejścia do UE i NATO. Mogliśmy zakładać własne biura projektowe i w pełni odpowiadać za nasze architektoniczne projekty, był to okres dużego entuzjazmu. Dostaliśmy do ręki narzędzia pozwalające z nadzieją myśleć o przyszłości, o naprawie zaniedbanego wizerunku polskich miast.

MT: Kraków jest pełen realizacji pańskich projektów, tak ważnych dla tego miasta. Jak czuje się twórca, który codziennie może obserwować wpływ swojej pracy na tkankę miasta?

KI: Każdy projekt realizowany w Krakowie był intelektualnym i artystycznym wyzwaniem. Projektując, architekt powinien zrozumieć istotę danego miejsca i cel swojej pracy, a historia Krakowa jest niezwykle bogata i różnorodna. W oparciu o analizy kontekstów próbujemy tworzyć obiekty nowoczesne, ale uwzględniające lokalny charakter miejsca. Rezultaty tych architektonicznych poszukiwań mogą z początku wywoływać kontrowersje, ale w końcu często się sprawdzają, co dla naszego zespołu jest każdorazowo największą satysfakcją. Oczywiście ryzyko eksperymentowania powoduje, że niektóre pomysły sprawdzają się lepiej, inne gorzej. Są w naszym krakowskim portfolio projekty, które po latach oglądam z zado-

wolaniem, ale są też takie, do których dziś wprowadziłbym różne poprawki. Budowanie jest procesem bardzo złożonym. Sztuką jest nie tylko zrobienie dobrego projektu na papierze, chodzi też o to, aby w trakcie jego realizacji ustrzec się błędów.

MT: Kiedy architekt żegna się ze swoim dziełem?

KI: Projekty realizuje się przez wiele lat. W przypadku Centrum Kongresowego ICE w Krakowie od czasu wygrania konkursu do realizacji upłynęło osiem lat, w przypadku Pawilonu „Wyspiański 2000” – dziesięć. Budynek przekazany do użytku po tylu latach pracy nad nim jest jak dojrzałe dziecko, które rozpoczyna własne życie. Z przyjemnością patrzymy, jak nasze obiekty dają sobie radę w rzeczywistości. Obserwujemy też, czy właściciele dbają o nie należycie, czy właściwie nimi zarządzają. Czasami budynek wraca do nas, gdy inwestorzy chcą dokonać poprawek dotyczących funkcji lub remontów z uwagi na starzejące się materiały.

KB: Architektura to nie tylko realizacja formy przestrzennej, ale też relacja z drugim człowiekiem.

Pan spotkał na swojej drodze zawodowej wybitne postaci, jak wspomniani Arata Isozaki i Andrzej Wajda.

KI: Arata Isozaki był artystą – świadomie mówię: artystą, a nie tylko architektem – przykładającym niezwykłą wagę do tego, by architektura miała swoje teoretyczne uzasadnienie, realizowała określone idee. W swoim sztandarowym dziele, jakim jest Tsukuba Center Building, poprzez architekturę opisał stan Japonii po II wojnie światowej. Cesarz, ogłaszając wówczas klęskę kraju, przyznał zarazem, że on sam nie ma boskiego charakteru. Fakt ten zszokował Japończyków, spowodował symboliczny rozpad tradycyjnej struktury społeczeństwa japońskiego. Możliwość wyrażenia tego typu idei w architekturze jest czymś niezwykłym. Uzmysłowiłem sobie wtedy, że architektura jest mocnym i skutecznym narzędziem w tworzeniu pola do dyskusji o społeczeństwie i o ideach. Aratę Isozakiego uważam za mistrza. Był jednocześnie człowiekiem wspaniałym, serdecznym i przyjaznym w bezpośrednich kontaktach.

Andrzeja Wajdę poznałem na początku prac przy Muzeum Manggha. Nasza znajomość, a także współpraca nad różnymi projektami, trwała 30 lat, do dnia jego śmierci. Myślę, że mogę powiedzieć, iż z Andrzejem Wajdą łączyła nas serdeczna przyjaźń. Jego śmierć jest stratą, którą noszę w sercu do dziś.

MT: Jak układała się współpraca z Andrzejem Wajdą jako inwestorem?

KI: Andrzej Wajda stał się inwestorem z chwilą założenia wraz z Krystyną Zachwatowicz-Wajdą Fundacji Kyoto – Kraków, co wiąże się z rozpoczęciem pracy nad projektem Muzeum Manggha. Była to najlepsza współpraca pomiędzy architektem a inwestorem, jaką można sobie wyobrazić. Wajda był artystą, który rozumiał sposób tworzenia sztuki, w tym także proces poszukiwania jakości w architekturze, i dbał o to, żeby wartości artystyczne stały zawsze na pierw-



© KRZYSZTOF INGARDEN

Galeria Europa – Daleki Wschód, aneks do Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha.

szym miejscu. Dopuszczał zmiany w projekcie, walczył o nie ramię w ramię z architektem, nawet w trakcie budowy, jeżeli uważał, że będą one korzystne dla jakości artystycznej budynku. Sam też dobrze czuł architekturę, zdarzało mu się proponować konkretne rozwiązania, prowadzić dyskusję poprzez szkicowe propozycje. Były to najczęściej uwagi bardzo celne i ważne. Na przykład to on naszkicował i zaproponował formę świetlika nad wejściem do Muzeum Manggha. Przez 30 lat współpracy zrobiliśmy z Andrzejem Wajdą łącznie pięć projektów, poza Mangghą były to: ogród japoński i pawilon herbaciany przy Muzeum, Szkoła Języka Japońskiego, a także Pawilon „Wyspiański 2000”. Andrzej przychodził do naszego biura z pomysłami ilustrowanymi własnymi rysunkami, żył tymi wszystkimi projektami, razem szkicowaliśmy i prowadziliśmy rozmowy. Do dziś wspominam te wspaniałe chwile, jestem beneficjentem jego wyobraźni i przyjaźni. Na kilka miesięcy przed jego śmiercią zrealizowaliśmy ostatni nasz wspólny projekt, tym razem nie architektoniczny, a filmowy. Był to film dokumentalny według mojego scenariusza pt. „Idea jest najważniejsza – architektoniczne pasje Andrzeja Wajdy”. Reżyserii pod okiem mistrza podjął się Jacek Link-Lenczowski, zdjęcia realizował młody operator Jan Ingarden. Ostatnie ujęcia nakreślił w lipcu 2016 r., filmując Andrzeja Wajdę opowiadającego w kościele Franciszkanów o swoich latach młodości, pierwszych próbach poetyckich i inspiracjach witrażami Wyspiańskiego. Andrzej zmarł 9 października 2016 r. Film stał się ostatnim wywiadem dokumentującym wielkiego twórcę, ale też pomysłodawcę, inicjatora architektonicznych wydarzeń i kreatywnego inwestora.

MT: Niedawno otrzymał pan tytuł Promotora Polski.

KI: Jestem nim zaszczycony. To dla mnie wielkie wyróżnienie, które traktuję jako docenienie całego zespołu biura Ingarden & Ewy, a także samej architektury jako dziedziny twórczości i nauki. Cieszę się, że mogłem tu dołożyć moją małą cegiełkę. W dziedzinie tej tkwią ogromne możliwości, jeśli chodzi o promocję Polski. Architektoniczne dziedzictwo, a w tym także architektura najnowsza, jest istotną częścią naszej kultury, świadczy o naszym poziomie cywilizacyjnym i artystycznym. Miliony osób co roku przyjeżdżają oglądać architekturę polskich miast, architekturę historyczną, ale coraz częściej także i współczesną.

Chcemy, by odwiedzało nas milion turystów rocznie

- Misją naszego muzeum jest zadbanie o to, aby przetrwała pamięć o górnictwie i jego wkładzie w dziedzictwo gospodarcze, kulturalne i społeczne Śląska.
- Rewitalizowaliśmy zlikwidowaną kopalnię, czego jeszcze nie zrobił nikt na świecie. Mamy u siebie, w kompleksie Sztolni Królowa Luiza, najstarsze wyrobiska górnictwa węglowego, które można zwiedzać.
- W naszym muzeum sezon barbórkowy rozpoczyna się już około 20 listopada i trwa do 15 grudnia.
- Śląsk staje się coraz mniej górniczy, przemysł ciężki i górnictwo przestały być elementem dominującym, poza Jastrzębiem-Zdrojem, Rudą Śląską i okręgiem rybnickim. Restrukturyzacja górnictwa trwa już 30 lat.
- Priorytetem jest gromadzenie zasobu informacji, digitalizacja obecnej rzeczywistości. To pozwoli nam działać przez najbliższe kilkadziesiąt lat.

Z **Bartłojem Szewczykiem** rozmawiają Marzena Tataj i Kamil Broszko.

Marzena Tataj: W zeszłym roku Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze odwiedziło aż 300 tys. osób. Jak wygląda sezon muzealny?

Bartłoj Szewczyk: Nasz sezon muzealny trwa cały rok i składa się z kilku faz. W zeszłym roku faktycznie odwiedziło nas 300 tys. gości. Dla porównania powiem, że w 2016 r., kiedy to oddaliśmy do użytku pierwsze obiekty Sztolni Królowa Luiza po rewitalizacji, odwiedziło nas 80 tys. osób. W 2019 r. mieliśmy już prawie 230 tys. gości, czyli z roku na rok frekwencja dynamicznie rosła, aż do wybuchu pandemii w 2020 r., która pokrzyżowała plany wszystkim. Ale zeszłoroczny wynik jest dużo lepszy niż przed pandemią, co napawa optymizmem. Złożyło się na to kilka czynników. Ludzie mieli dość siedzenia w domu, więc ruszyli zwiedzać. Z uwagi na obostrzenia pandemiczne nie chcieli wyjeżdżać daleko, zatem wybrali Polskę. Chcemy utrzymać trend wzrostowy, by docelowo odwiedzało nas milion turystów rocznie, na taką właśnie liczbę jesteśmy przygotowani infrastrukturalnie. Planujemy osiągnąć ten wynik stopniowo, w tempie wzrostu o 20 proc. rocznie. Szczyt sezonu turystycznego trwa



© KAKA.MEDIA

Bartłoj Szewczyk – dyrektor Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze. Wcześniej pracował jako naczelnik Wydziału Strategii i Rozwoju Miasta Urzędu Miejskiego w Zabrze.

u nas od czerwca do końca sierpnia. We wrześniu jest krótka pauza, dopóki nie ruszą wycieczki szkolne. Od października znowu ruch rośnie i kolejny szczyt frekwencyjny mamy w okolicach Barbórki, czyli na przełomie listopada i grudnia, kiedy to realizujemy specjalne programy barbórkowe. Można powiedzieć, że od ferii zaczyna się nowy sezon, który trwa przez całą wiosnę, aż do pikę frekwencyjnego w miesiącach letnich. Zwiedzających przyciąga nasza oferta turystyczna i muzealna nakierowana na odkrywanie dziedzictwa górniczego. Mamy trasy najgłębiej położone w udostępnionej dla ruchu turystycznego kopalni węgla kamiennego na świecie, a w nich wiele atrakcji związanych zarówno ze współczesnym, jak i historycznym górnictwem. Przygotowaliśmy także

programy edukacyjne dla bardzo różnych grup odbiorców – od przedszkoli do szkół ponadpodstawowych. Inaczej wygląda intensywność sezonu imprez z zakresu kultury. Trwa on właściwie przez cały rok. Jesienią i zimą oferujemy wiele koncertów i przedstawień teatralnych pod ziemią, natomiast od maja do września korzystamy przede wszystkim z pleneru. Oferujemy imprezy roz-

maitego typu – od Międzynarodowego Festiwalu im. Krzysztofa Pendereckiego po koncerty folkowe, rockowe i bluesowe. Wspomniany festiwal po raz pierwszy został zorganizowany w 2013 r. dla uczczenia 80. urodzin kompozytora. W tym roku przypada rocznica 90. urodzin mistrza. Spotkaliśmy się po raz jedenasty w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło – w podziemiach kopalni Guido w Zabrze, na poziomie 320. Niestety, już bez niego, ale z jego muzyką. Od 2020 r. Muzeum jest także operatorem Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego. Jesteśmy odpowiedzialni m.in. za organizację i promocję Industriady, czyli corocznego święta tego szlaku, w skład którego wchodzi 42 obiekty w 26 miejscowościach związane z górnictwem (węgla i srebra), hutnictwem, energetyką, kolejnictwem, łącznością, włókiennictwem, ceramiką, produkcją wody oraz przemysłem spożywczym. Industriada to największy festiwal dziedzictwa przemysłowego w Polsce i drugi w Europie, po ExtraSchicht w Zagłębiu Ruhry.

Osobną kwestią jest Barbórka – święto górników, które przypada 4 grudnia, w dniu świętej Barbary. Ale w naszym muzeum sezon barbórkowy rozpoczyna się już około 20 listopada i trwa do 15 grudnia. Byliśmy inicjatorem wniosku o wpisanie Barbórki górników węgla kamiennego na Górnym Śląsku na „Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego”. W tym roku dzięki naszym staraniom zostały wpisane na tę listę także orkiestry górnicze. Podtrzymujemy tradycje górnicze, które są nieodzownym elementem tożsamości Śląska. Razem z Politechniką Śląską oraz Krajowym Sekretariatem Górnictwa i Energetyki NSZZ „Solidarność” organi-

Strefa Carnall Sztolni Królowa Luiza



© IMGWZ (2)

zujemy tradycyjne obchody barbórkowe. To trzydniowy festiwal łączący tradycję z nowoczesnością. Zaczynamy akademią na Politechnice, później jest przemarsz z pochodniami z lisem majorem na koniu, a następnie – górnicza karczma piwna. W strefie Carnall Sztolni Królowa Luiza odbywa się jarmark BarbórkoweLove, który obfituje w liczne atrakcje, w tym warsztaty, na przykład malowania bombek i tworzenia kartek świątecznych, pokazy rzeźbienia



Podziemny port
w Sztolni Królowa Luiza

© RADOŚLAW KAZMIERCZAK



w lodzie, koncerty śląskich dętych orkiestr górniczych oraz występy popularnych grup rockowych.

Oprócz szerokiej działalności muzealnej i turystycznej funkcjonujemy komercyjnie, organizując około 300 imprez rocznie. Sprzedajemy spotkania integracyjne, konferencje, szkolenia, które są zazwyczaj połączone ze zwiedzaniem naszych obiektów. Działalność gospodarcza uzupełnia budżet. Tak więc nasz sezon jest



Podziemny spływ sztolnią

niezwykle intensywny przez cały rok, bo kiedy latem mamy przerwę w imprezach komercyjnych, wtedy akurat przypada szczyt sezonu turystycznego. Kiedy jesienią ruch turystyczny słabnie – zwiększa się liczba imprez zleconych.

MT: Czy jest dużo odwiedzających z zagranicy?

BS: Tak, turystów zagranicznych jest coraz więcej i są to osoby z całego świata. Większość odwiedzających to wciąż oczywiście osoby ze Śląska, następnie są to mieszkańcy Wrocławia i Krakowa, którzy mają najlepszy dojazd autostradą A4, oraz Warszawy. Turyści zagraniczni stanowią 20 proc. naszych gości. Przyjeżdżają głównie z Niemiec i Czech – również ze względu na dobre połączenie – ale jest też coraz więcej osób z Azji, Australii i Ameryki.

Kamil Broszko: Muzeum wpisuje się w misję zachowania pamięci o tradycji i utrzymania śląskości regionu.

A jaką pan ma wizję przyszłości Śląska?

BS: Śląsk staje się coraz mniej górniczy, przemysł ciężki i górnictwo przestały być elementem dominującym, poza Jastrzębiem-Zdrojem, Rudą Śląską i okregiem rybnickim. Restrukturyzacja górnictwa trwa już 30 lat. Mamy umowę społeczną między rządem a związkami zawodowymi dotyczącą harmonogramu likwidacji zakładów górniczych. Na osi czasu zapisano, że kopalnie węgla kamiennego mają zakończyć wydobywanie w 2049 r., ale jednocześnie obserwujemy zawirowania na rynku energetycznym na świecie, które mogą przyczynić się do dłuższego funkcjonowania górnictwa na Śląsku. Jednak z pewnością nie będzie ono dominującym elementem śląskiej gospodarki. Zatem misją naszego muzeum jest zadbanie o to, aby przetrwała pamięć o górnictwie i jego wkładzie w dziedzictwo gospodarcze, kulturalne i społeczne Śląska. Następne pokolenia powinny wiedzieć, jak górnictwo wpłynęło na życie ludzi i na funkcjonowanie całego regionu. Dlatego podjęliśmy się skomplikowanego zadania zachowania dziedzictwa górniczego z wykorzystaniem technologii cyfrowych. Infrastruktura materialna kopalń jest olbrzymia, więc dziś najtańszą formą zachowania pamięci o odchodzącym górnictwie jest digitalizacja 3D. Chcemy zdążyć zeskanować zakłady górnicze przed likwidacją – całą ich infrastrukturę: budynki, urządzenia, maszyny, wyrobiska, ciągi technologiczne. Oczywiście część obiektów o wyjątkowej wartości historycznej lub architektonicznej powinna zostać zachowana w przestrzeni miast. Do tego dochodzi digitalizacja dokumentacji, która znajduje się aktualnie w kopalniach, oraz stworzenie archiwum mówionego, czyli nagrywanie wspomnień górników, którzy przepracowali wiele lat w kopalniach. Będzie to pierwszy na świecie kompleksowy projekt mający na celu zachowanie pamięci o odchodzącym górnictwie. Kiedy likwidowano zagłębia górnicze na Zachodzie, nie było jeszcze takiej technologii – my mamy tę możliwość i jesteśmy gotowi do jej wykorzystania. Dzięki funduszom unijnym przygotowaliśmy pracownię digitalizacji, która jest doskonale wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt.

Przejęliśmy od likwidatora archiwum Centralnego Biura Projektów Przemysłu Węglowego i już skanujemy te dokumenty. To bardzo cenny materiał, bo kiedyś funkcjonowała znana na całym świecie polska szkoła budowy kopalń, z której nie zostało nic poza tą dokumentacją projektową. Podpisaliśmy umowę ze Spółką Restrukturyzacji Kopalń SA, na podstawie której będziemy mogli wchodzić na teren zamykanych kopalń i je digitalizować. Tak oto rodzi się nowa dziedzina muzealnictwa, związana z cyfrowym sposobem zachowywania pamięci o odchodzącym górnictwie. W ten sposób wchodzimy w świat nowych technologii, wykorzystując cyfryzację do zapisu i przechowywania materiału, ale także do jego wizualizacji i prezentacji dla zwiedzających.

KB: Wirtualna rzeczywistość będzie miała ogromne zastosowanie w muzealnictwie.

BS: Tak, bo po pierwsze, będziemy w posiadaniu gigantycznego zasobu informacji. Po drugie, będzie można wykorzystać go do trójwymiarowej prezentacji z wykorzystaniem technik wirtualnej rzeczywistości. Możliwe będzie tworzenie prezentacji w postaci gier komputerowych lub spacerów wirtualnych. To nowe ścieżki, które mogą poprowadzić muzealników w nieznany dotąd świat. Ale priorytetem jest gromadzenie zasobu informacji, digitalizacja obecnej rzeczywistości. To pozwoli nam działać przez najbliższe kilkadziesiąt lat. Wkraczamy na ścieżkę cyfryzacji, ale nie chcemy, aby ten proces zastąpił fizyczne zwiedzanie naszych obiektów. Co innego obejrzeć obiekt w 3D, a co innego popatrzeć na niego na żywo, dotknąć, poodychać górnictwem powietrzem. Wrażenia sensorycznych nie uda się odtworzyć cyfrowo. To są dwa aspekty rzeczywistości, które powinny się nawzajem uzupełniać.

Chciałbym przy okazji podkreślić, że proces zapisu cyfrowego może być przydatny przy ochronie dziedzictwa całej warstwy kultury niematerialnej. W taki sam sposób można utrwalić dorobek orkiestr górniczych, których mamy obecnie na Śląsku ponad 20 – część z nich to orkiestry działające przy kopalniach, a część działa dalej po likwidacji kopalń. Próbuje sobie jakoś radzić przy pomocy samorządów lub funkcjonują komercyjnie. Dlatego tak ważne jest wypracowanie systemowego wsparcia tradycji górniczych w momencie likwidacji kopalń. Z tego też powodu chcemy zaważać o wpisanie Barbórki i dętych orkiestr górniczych na listę niematerialnego dziedzictwa UNESCO.

Priorytetowo traktujemy również starania o wpisanie naszych obiektów górniczych na listę materialnego dziedzictwa UNESCO. A z dumą przypomnę, że kopalnia Królowa Luiza, Główna Kluczowa Sztolnia Dziedziczna oraz kopalnia Guido są już na liście Pomników Historii.

KB: W jaki sposób trafił pan do Muzeum Górnictwa? Czy do zarządzania taką instytucją potrzebne są gen górniczy i duch śląskości?

BS: Myślę, że na Śląsku wszyscy mają w sobie gen górniczy, gdyż każdy ma kogoś z rodziny bliższej czy dalszej, kto był związany z górnictwem. Mój dziadek był nadsztygarem i całe życie przepracował w górnictwie. Ponadto w naszej rodzinie bardzo żywa jest pamięć o działalności w podziemiu w okresie wojennym. Ale ja trafiłem do Muzeum Górnictwa z innego powodu. Przez wiele lat zajmowałem się środkami unijnymi w samorządach, pozyskiwałem je na projekty samorządowe oraz rozliczałem ich wykorzystanie. Bez środków unijnych nie udało się stworzyć takiego ośrodka jak dzisiaj funkcjonujące Muzeum Górnictwa w Zabrze. Był to skomplikowany proces rewitalizacji, który trwał 10 lat i kosztował ponad 300 mln złotych. Dlatego tutaj się znalazłem. To miejsce wciąż, bo pozwala zadbać o dziedzictwo niematerialne i tradycje Śląska. Temu wyzwaniu nie sposób się oprzeć.

MT: Pierwszy raz z pojęciem kopalni kultury spotkaliśmy się podczas rozmowy z Alicją Knast o Muzeum Śląskim, które powstało na obszarze KWK „Katowice”.

BS: Muzeum Śląskie to zupełnie inny przykład wykorzystania infrastruktury kopalni na potrzeby kultury. W tamtym przypadku nowy obiekt muzealny powstał na terenie dawnej kopalni, bez części podziemnej. My rewitalizowaliśmy zlikwidowaną kopalnię, czego jeszcze nie zrobił nikt na świecie. Mamy u siebie, w kompleksie Sztolnia Królowa Luiza, najstarsze wyrobiska górnictwa węglowego na świecie, które można zwiedzać. Są położone płytko, bo w początkowej fazie rozwoju górnictwa wydobywanie było prowadzone tuż pod powierzchnią ziemi, dopiero później schodzono coraz głębiej. Kopalnia Guido, która ma wyrobiska na poziomie 320 metrów, jest stosunkowo nowym obiektem, ponieważ ten poziom powstał już w XX w. Są oczywiście dostępne w Europie i na świecie dużo starsze kopalnie kruszcowe czy solne, ale węglowych tak starych nie ma nigdzie. Jako pierwsi na Śląsku stworzyliśmy tak duży podziemny obiekt turystyczny z zakresu górnictwa węglowego. A trzeba pamiętać, że wyrobiska węgla są związane z zagrożeniem wentylacyjnym i pożarowym. Węgiel to kopalina, która łatwo się utlenia i ulega samozapłonowi; takiego problemu nie ma w przypadku kopalń soli czy kruszców. My doskonale poradziliśmy sobie z tymi wyzwaniami – zabrańskie podziemia spełniają najbardziej rygorystyczne normy bezpieczeństwa i nasi turyści absolutnie nie mają się czego obawiać. Pieczętowanie odtworzyliśmy wyrobiska kopalni Królowa Luiza, która po kompleksowej rewitalizacji stała się – obok kopalni Guido – jedną z najciekawszych atrakcji turystycznych Zabrze i całego województwa. Muzeum Górnictwa Węglowego jest jedynym w Polsce i jednym z największych w Europie i na świecie.

MT: Czego państwu życzyć? O czym państwo marzą?

BS: Niczego nam nie brakuje. Mamy pasję, plany i je realizujemy.



Od lewej: Jakub Błaszczkowski, prof. Mateusz Hołda, prof. Krzysztof Ingarden.



Od lewej: Marcin Herra, Stefan Szczepłak.

Promotorzy Polski są wśród nas. Trzeba ich pokazać



Od ponad trzech dekad Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego wyłania produkty i usługi najwyższej jakości i nagradza je Godłem „Teraz Polska”. Od 2017 r. Fundacja rozwija projekt Promotor Polski, działając również na rzecz promowania wyróżniających się osób, których działalność wpływa na wizerunek regionu i kraju.

W tym roku w Krakowie już po raz czwarty wręczyliśmy statuetki Promotorom z Małopolski. Fundacja nagradza ludzi działających lub wywodzących się z danego regionu, których osiągnięcia współtworzą pozytywny wizerunek naszego kraju. Chcemy promować sukcesy w dziedzinie przedsiębiorczości, kultury, nauki, sportu, mające niewątpliwy wpływ na nasze poczucie tożsamości i na rozwój kraju – mówił Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.

– Nagroda Promotor Polski jest niezwykle ważna, bo pokazuje, że to, co robimy lokalnie, ma znaczenie uniwersalne, międzynarodowe – podkreślił prof. Andrzej Szczerski, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, laureat tytułu Promotora Polski z 2022 r.

Uroczystość wręczenia statuetek Promotorom Polski z Małopolski miała miejsce 19 października br. w gościnnych progach

Urzędu Miasta Krakowa – miasta, które jest laureatem Godła „Teraz Polska”. Wręczeń dokonali Bogusław Kośmider, zastępca prezydenta miasta Krakowa, oraz Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”. Tegorocznymi laureatami tytułu Promotora Polski zostali: **Jakub Błaszczkowski**, piłkarz, fundator Fundacji Ludzki Gest; **prof. Mateusz Hołda**, kardiomorfolog z Collegium Medicum UJ; **prof. Krzysztof Ingarden**, architekt, prezes Ingarden & Ewy.

Laudację na cześć Jakuba Błaszczkowskiego wygłosił Piotr Nowacki, doradca prezydenta RP: – *Dzisiaj mamy zaszczyt przyznać panu Jakubowi Błaszczkowskiemu tytuł Promotora Polski w uznaniu jego sukcesów sportowych, promocji Polski na arenie międzynarodowej oraz zaangażowania w działalność społeczną i pomoc potrzebującym. Jeszcze przed zakończeniem obfitującej w sukcesy sportowe kariery nasz laureat zaczął udzielać się charytatywnie, chociażby przy takich akcjach, jak Szlachetna Paczka czy Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy. Założył Fundację Ludzki Gest, której zadaniem jest niesienie pomocy dzieciom i młodym ludziom. Wielkie gratulacje, panie Jakubie.*

Kuba Błaszczkowski, odbierając nagrodę, wspominał swoje początki w Bundeslidze: – *Kiedy w 2007 r. wyjechałem do Dortmundu, zderzyłem się z niezbyt pochlebny postrzeganiem nas, Polaków, jako niekoniecznie uczciwych i pracowitych. Przychodząc do Borussii, sam poczułem się w szatni nie do końca doceniony, tylko dlatego, że pochodziłem z Polski. Natomiast po kilku latach grania – a miałem wtedy przyjemność grać z Robertem*



© KAKA MEDIA (3)

Lewandowskim i Łukaszem Piszczkiem – sytuacja całkowicie się zmieniła, darzono mnie szacunkiem. Zmianę nastawienia zaczęli też odczuwać inni Polacy pracujący w Niemczech, bo wreszcie dostrzeżono, że jesteśmy narodem pracowitym, nie przejawiamy postawy roszczeniowej. Mam wrażenie, że w tamtym momencie byliśmy dobrymi ambasadorami polskiego sportu za granicą, dołożyliśmy swoją cegiełkę do zmiany przekonań o Polakach za granicą.

Piękne słowa o prof. Mateuszu Hołdzie powiedział prof. Krzysztof Pyrc, laureat tytułu Promotora Polski z 2021 r.: – *Prof. Mateusz Hołda jest Promotorem Polski, bowiem polską naukę i medycynę wynosi poza nasz kraj. Robi też jeszcze coś ważniejszego – pokazuje, że młody wiek nie jest ograniczeniem. Jeżeli ktoś ma pasję i wielkie chęci, to może osiągnąć swoje cele. Młodzi ludzie mają szansę spełniać marzenia w kraju, a pan profesor daje tego najlepszy dowód, realizując projekty badawcze na skalę światową. Musimy robić wszystko, aby w kraju zostawali najlepsi, bo oni stają się lokomotywami postępu i siłą pociągową polskiej nauki, przemysłu, biomedycyny i medycyny. Za to serdecznie dziękuję panu profesorowi.*



– Nagrodę Promotora Polski traktuję jako zobowiązanie do dalszej promocji kraju na najwyższym poziomie. Pokazaliśmy młodemu naukowcom, że można w kraju odnosić sukcesy międzynarodowe. Dziś to do nas przyjeżdżają profesorem z zagranicznych uniwersytetów. A my nadal stawiamy na młodych i wyłuskujemy najzdolniejszych studentów z naszej uczelni, aby zatrzymać ich w naszym zespole – podkreślił

Mateusz Hołda, najmłodszy profesor tytularny w historii Polski.

Laudację o trzecim tegorocznym laureacie wygłosił prof. Andrzej Szczerski, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, laureat tytułu Promotora Polski z 2022 r.: – *Tacy twórcy jak profesor Ingarden przełamują bardzo krzywdzący stereotyp o wtórności architektury polskiej. Pokazują, że architektura, która powstaje w Polsce, jest uniwersalna i ma znaczenie nie tylko dla nas, tutaj mieszkających. Potrafi w sposób oryginalny i wyjątkowy dialogować z tradycją, potrafi pokazać nowoczesność zakorzenioną w lokalności. Te nasze lokalne doświadczenia prof. Ingarden potrafi uniwersalizować. Dokonania Krzysztofa Ingardena dowodzą, że jesteśmy w miejscu, gdzie powstaje architektura najwyższej klasy, o światowym znaczeniu.*

– *Jestem niezwykle zaszczycony i dumny, że zostałem przyjęty do grona tak znamienitych Promotorów Polski. Cieszę się, że architektura została dostrzeżona jako dziedzina, która może wpływać na kształtowanie poczucia piękna i jest narzędziem do zmiany świata w walce o funkcjonalne przestrzenie, funkcjonalne, piękne i trwałe budynki, a zarazem umożliwia spotkanie tradycji*



i nowoczesności. Tradycji, którą trzeba zrozumieć i odtworzyć, a potem za pomocą nowoczesnych narzędzi architektonicznych stworzyć jej nowy obraz – powiedział prof. Krzysztof Ingarden po odebraniu statuetki.

Kilka dni później, 24 października, w gościnnych progach stadionu Legii Warszawa, laureata Godła „Teraz Polska”, odbyło się spotkanie Klubu „Teraz

Polska”, podczas którego wręczono statuetki Promotora Polski 2023 w kategorii sport. Tym razem laureatami zostali dziennikarz i komentator sportowy Stefan Szczepłek oraz wiceprezes Legii Warszawa Marcin Herra. Statuetki wręczył Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”.

– *Tradycją stało się, że jesienne spotkania klubowe nawiązują do spraw sportowych, i dlatego też dzisiaj wyróżnieni Promotorzy są związani ze sportem. To Stefan Szczepłek, dziennikarz od 50 lat piszący o piłce nożnej, który – śmiem twierdzić – zna tę dziedzinę najlepiej w Polsce. Druga postać to Marcin Herra, dziś wiceprezes Legii Warszawa, ale przez wiele lat prezes spółki PL2012, która przygotowała, wybudowała, a później była operatorem Stadionu Narodowego, najpierw podczas Euro 2012, a później na wszystkich uroczystościach i meczach. To osoba, która działa na rzecz sportu i środowiska sportowego i od wielu lat odnosi sukcesy – powiedział Krzysztof Przybył.*



– *To wyróżnienie traktuję w sposób mniej osobisty, a raczej wiąże je z przedsięwzięciami, w których miałem zaszczyt uczestniczyć, czyli mistrzostwami Europy w piłce nożnej w 2012 r. oraz w piłce ręcznej w 2016 r. Ważną dla mnie marką, którą rozwijałem, był Stadion Narodowy, a dziś jest to Legia Warszawa, marka ważna dla całej Polski. Cieszy mnie, że w gronie laureatów i przyjaciół Godła „Teraz Polska”*

rozmawiamy o styku biznesu, sportu i przedsięwzięć społecznych, bo na całym świecie to ma ogromne znaczenie dla rozwoju marek narodowych – przyznał Marcin Herra.



Stefan Szczepłek, przyjmując tytuł Promotora Polski, nie krył wzruszenia: – *Fakt, że taką nagrodę otrzymałem, jest dla mnie niezwykle wyróżnieniem. To kwestia odpowiedzialności, bo jestem promotorem Polski – swojej ojczyzny. Unikam patosu, ale w tym wypadku się nie da. Na tym godle jest flaga biało-czerwona, a to naprawdę zobowiązuje.*

Oprac. Marzena Tataj



© KAKA MEDIA
Od lewej: Janusz Zaorski,
Andrzej Person, Stefan Szczepłek,
Krzysztof Przybył.

O sporcie z humorem i honorem

Sportowe chwile wspominają: reżyser **Janusz Zaorski**, dziennikarze **Andrzej Person** i **Stefan Szczepłek** oraz prezes Fundacji „Teraz Polska” **Krzysztof Przybył**. Rozmowa miała miejsce podczas Klubu „Teraz Polska”, który odbył się 24 października br. na stadionie Legii Warszawa.

Krzysztof Przybył: Z Legią Warszawa jestem związany od dnia narodzin, bo urodziłem się i mieszkam kawał czasu dwa kilometry stąd. Na stadionie Legii próbowałem swoich sił w biegach średnich jako uczeń Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Zamojskiego. Raczej truchtałem, niż biegałem. Ale na mecze piłkarskie chodziłem i chodzę po dziś dzień.

Janusz Zaorski: Przebiję cię, drogi prezesie, ponieważ jako dzieciak mieszkam na 13. piętrze wieżowca przy ulicy Fabrycznej 2 na osiedlu Torwar i przez lornetkę oglądałem wszystkie mecze na stadionie Legii. Natomiast swoją „karierę” sportową zaczynałem jako *ball boy* na kortach tenisowych Legii Warszawa. Potem trener Józef Rosiak pilnował, żebym dobrze objął ścianę tenisową przy ulicy Myśliwieckiej. Z zazdrością patrzyłem jak Michał Kleiber – dziś przewodniczący Kapituły „Teraz Polska” – fantastycznie walczył na ceglanych korcie, gdzie i mnie udało się w końcu dostać. Tak się

zapaliłem do tenisa, że przestałem chodzić do szkoły. Gdy rodzice się dowiedzieli, to zamknęli raketę tenisową na trzy spusty i w ten sposób nie zostałem Hubertem Hurkaczem. Ale chciałem państwu opowiedzieć o moim spotkaniu z Władysławem Skoneckim, wielokrotnym mistrzem Polski i reprezentantem w Pucharze Davisa. O grze z nim marzyło wielu ówczesnych biznesmenów, czyli jak to się wtedy mówiło – prywatni, którzy rozgrywali mecze ze Skoneckim za pieniądze. Ja podawałem im piłki. Umowa była taka, że każdy gem zaczynał się od wyniku 40:0 dla prywatniaka, mało tego, mógł nawet zepsuć jeszcze dwie piłki. Tak więc aby wygrać gema, Skonecki musiał wygrać pięć piłek z rzędu. I wygrywał! Czasem nawet dla żartu grał patelnią do jajecznicy.

Andrzej Person: A ja chciałbym opowiedzieć o nieprzewidywalności w sporcie, która stanowi o jego prawdziwym pięknie. Rzecz miała miejsce na igrzyskach olimpijskich w Londynie

w 2012 r. Popularność siatkówki w Polsce była już niewyobrażalna. W Anglii w tym czasie mieszkało prawie 2 mln Polaków, więc kiedy szedłem w dresie z napisem „Polska” na mecz Polska – Australia, przynajmniej sto razy byłem pytany, czy nie mam jakiegoś biletu. Z racji funkcji attaché polskiej reprezentacji olimpijskiej miałem miejsce w łoży VIP. Siedział tam już Anglik, wytworny, elegancki, w tweedowym garniturze. A ja w dresie z napisem „Polska”. Pewnie dlatego zapytał, co to za mecz i czy siatkówka jest popularna w Polsce. „Bo u nas, w Anglii, niekoniecznie. My gramy w krykieta, rugby, piłkę nożną, ale w siatkówkę nie gramy. A co to za drużyny?” – zagadnął. Na co ja z przekonaniem wyjaśniłem, że między Australią a Polską jest różnica co najmniej trzech klas, i zapewniłem dzentelmena, że rozgromimy Australijczyków w godzinę. Jak państwo się domyślają, w połowie drugiego seta uciekłem z łoży ze wstydem. Przegraliśmy z Australią 1:3, a ostatecznie odpadliśmy w ćwierćfinałach po przegranej z Rosją 0:3. Na tym polega urok sportu, że niespodziewanie faworyt może przegrać. Pokora i szacunek w sporcie są bardzo ważne.

KP: Również pamiętam pobyt w Londynie w 2012 r., dokąd poleciałem z grupą działaczy siatkarskich na półfinały i finały siatkówki, które miały być zwycięskie dla polskiej reprezentacji. Kiedy wylądowaliśmy samolotem specjalnie dla nas wycarterowanym, to już na lotnisku zobaczyliśmy, jak nasza reprezentacja odprawia się w hali odlotów, gdyż wracała do kraju właśnie tym samym samolotem. A my oglądaliśmy mecze innych drużyn. Nie takie były plany...

AP: Według mnie kluczowy dla polskiej siatkówki był mecz ze Związkiem Radzieckim na igrzyskach olimpijskich w Montrealu w 1976 r. Trwał dwie godziny i dwadzieścia sześć minut. Biało-Czerwoni pokonali ZSRR 3:2 i sięgnęli po złote medale. W Polsce była czwarta rano, ale światła w domach się paliły, bo wszyscy oglądali ten mecz. Trener Wagner przed wylotem do Montrealu obiecał złoty medal, ale mało kto mu wierzył. Co prawda Polacy byli wtedy mistrzami świata z Meksyku, ale igrzyska to zupełnie inna bajka.

JZ: Piękna była ta bajka, bo wcześniej był jeszcze mecz z Kubą, który trwał tak długo, że nie zmieścił się w czasie transmisji – ta niespodziewanie zakończyła się w trakcie piątego seta. A nie było wtedy Internetu, więc nerwowo czekaliśmy jakichś wiadomości z radia. Podczas całych igrzysk w Montrealu przeżycia były niesamowite. Wtedy polska reprezentacja zdobyła rekordową liczbę 26 medali.

Stefan Szczepłęk: Nie wiem, czy jestem właściwą osobą w tym towarzystwie skorym do żartów, bo piszę o piłce nożnej i w związku z tym przez ostatnich kilka lat nie spotkało mnie nic śmiesznego. Dlatego może opowiem o... basenach Legii,

które w latach 50. i 60. były największym letnim salonem towarzyskim w Warszawie. Przychodzili tam wszyscy, a Agnieszka Osiecka, która mieszkała na Saskiej Kępie i była członkiem sekcji pływackiej Legii, czasami nawet przepływała przez Wisłę w ramach treningu. Kierowcy rajdowi zbierali się w jednym miejscu, artyści – w drugim. Podobno Roman Polański właśnie na basenie Legii wypatrzył Jolantę Umecką do głównej roli w „Nożu w wodzie”. Natomiast wyższym stopniem wtajemniczenia było solarium na Legii. Wielu śmiazków lubiło podglądać opalające się tam dziewczyny. Władysław Stachurski, prawy obrońca i legenda Legii, wszedł na wieżę, aby lepiej widzieć solarium, ale kiedy spostrzegł zbliżającego się tzw. pana porządkowego, Kazimierza Stankiewicza, wolał skoczyć z tej 10-metrowej wieży do wody. Pan Kazimierz pomimo swojej tuszy wdrapywał się na ostatnią platformę wieży i brzuchem wrzucał do wody „podglądaczy”, którzy tam stali. Pilnował porządku i moralności na Legii, a ze względu na warunki fizyczne był także aktorem trzeciego planu, obsadzonym w wielu filmach. To on w „Krzyżakach” zagrał kata, który na zamku w Szczytnie zwała ze schodów krzyżackiego mistrza i ratuje życie Danuśce.

AP: Ja z kolei lubiłem nie tyle podglądać, co oglądać Wyścig Pokoju. Z kolegami chodziłem na Stadion Dziesięciolecia, żeby kibicować Królowi, który – jak legenda głosiła – walił radzieckich kolarzy pompką po głowie. Rosjanie znani byli z agresywnej jazdy, rozpychali się w peletonie. Któregoś razu poszła fama, że Królak postanowił wziąć sprawę w swoje ręce i – jedyną bronią, jaką miał przy sobie – zaprowadzić porządek. W tunelu prowadzącym na metę na Stadionie Dziesięciolecia dzielił jednego z radzieckich kolarzy rowerową pompką. Historia była oczywiście nieprawdziwa i nikt nie wie, skąd się wzięła. Polscy kibice nie dociekali nigdy, czy Królak rzeczywiście bił Rosjan, czy nie. Nasz bohater wiele razy starał się sprostować to nieporozumienie, ale nikt nie chciał go słuchać.

JZ: Ja z kolei przytoczę historię Jerzego Kuleja, którego znałem osobiście, bo był sąsiadem mojego brata. Kiedyś zapytałem go: „Jurku, jak dałeś radę wygrać wszystkie walki w Meksyku z taką szramą, że nawet dotknąć się nie dało?”. Na co on odparł: „Trzeba mieć metodę. Niemcowi najlepiej nadepnąć na nogę i wtedy mu przyładować. Ruskiemu z kolei warto strzyknąć śliną w oko – on nic nie widzi, a ty go ładujesz”. Mrugnął do mnie i tak zostawił skonsternowanego, bo nie wiedziałem, czy żartuje, czy coś jest na rzeczy, a zawsze traktowałem boks jako szlachetną szermierkę na pięści. Nawiasem mówiąc, Xawery Żuławski realizuje teraz film fabularny o Jerzym Kuleju. Należy mu się taki film, bo był bardzo zasłużony dla polskiego boksu. A jak pamiętamy, sam grał jedną z głównych ról w filmie kryminalnym „Przepraszam, czy tu biją?” Marka Piwowskiego. I to nie zabijakę, ale milicjanta prowadzącego śledztwo.



© ARCHIWUM AS

Adam
Szejnfeld

Senator RP

Słowo

Rozmowa człowieka z człowiekiem uczy, rozwija, zbliża. Rozmowa człowieka z człowiekiem pobudza, inspiruje, buduje. Rozmowa człowieka z człowiekiem zachęca do planowania, działania i wspólnego osiągnięcia celów. Nie ma sukcesów bez rozmowy, tak jak nie ma pokoju bez negocjacji. Rozmowa jest najlepszym uniwersytetem, a słowo najskuteczniejszym narzędziem nauki. Trudno się zatem dziwić, że już w Ewangelii zapisano, iż... „Na początku było Słowo”.

Nie ma nic gorszego niż milczenie, unikanie wzrokiem, obchodzenie siebie bokiem. „Ludzie wyspy”, żyjący w otchłani własnych poglądów i pielęgnowanych stereotypów, a niekiedy nawet i urojeń, nie potrafią wyjść poza ramy przyjętych przez siebie schematów. Nie zauważają przez to, jak szybko wokół wszystko się zmienia. Także państwo i społeczeństwo. A przecież za tymi zmianami trzeba umieć podążać, ba, trzeba je nawet wyprzedzać. By jednak tak się działo, jedni z drugimi, a nie przeciw innym, muszą rozmawiać.

Najwyższą jednak formą rozmowy wydaje się deliberacja, a więc proces rozważania i konfrontowania określonych poglądów także z samym sobą, ale przede wszystkim z innymi. Deliberacja bowiem uczy szacunku do innych, rozwija dialog na wielu płaszczyznach i poziomach, kształci, włączając w swój proces setki, tysiące, a nawet i miliony. Jej efektem końcowym może być także forma demokracji bezpośredniej, a więc referendum.

Praktycznie nie ma żadnej dziedziny życia, która mogłaby dobrze funkcjonować z pominięciem rozmowy. Ta jednak uczciwie może być prowadzona wyłącznie wtedy, kiedy rozmawiający, strony dialogu, uczestnicy dyskusji wykazują się tolerancją i cierpliwością oraz traktują siebie wzajemnie poważnie i z szacunkiem.

Ostatnie lata w Polsce charakteryzował kryzys rozmowy i upadek dialogu. Z tych powodów z gabinetów, biur i sal konferencyjnych rozmowa przeniosła się na ulice. W konfrontacji

Praktycznie nie ma żadnej dziedziny życia, która mogłaby dobrze funkcjonować z pominięciem rozmowy. Ta jednak uczciwie może być prowadzona wyłącznie wtedy, kiedy rozmawiający, strony dialogu, uczestnicy dyskusji wykazują się tolerancją i cierpliwością oraz traktują siebie wzajemnie poważnie i z szacunkiem.

W życiu publicznym, w budowaniu demokratycznego państwa, w umacnianiu społeczeństwa obywatelskiego najważniejszą formą rozmowy jest dialog. Dialog społeczny. To on buduje społeczeństwo, które tak na szczeblu lokalnym, jak i krajowym może współtworzyć przyszłość państwa i jego mieszkańców. Bez uprawiania dialogu trudno budować także kręgosłup gospodarki z jej uczestnikami, a więc państwem z jednej strony a pracodawcami i pracownikami z drugiej strony.

postaw, poglądów i idei, w konfrontacji często siłowej nie tworzy się wspólnoty, lecz buduje mury. Mury, które dzielą, a nie łączą; mury, które zabijają rozmowę; mury, które niszczą dialog.

Dzisiaj, po wyborach parlamentarnych, Polkom i Polakom, nam wszystkim, nic tak nie jest potrzebne, jak powrót do rozmowy, przystąpienie do dialogu i rozpoczęcie odbudowy wspólnoty. Służyć temu może wyłącznie słowo, a nie pałka teleskopowa czy gaz łzawiący.



© ARCHIWUM MR

**Marcin
Rosołowski**

*Wiceprezes Fundacji
im. XBW Ignacego
Krasickiego, członek
Rady Fundacji
Instytut Staszica*

Polski dialog obumiera

Dialog, który jest podstawą demokracji w różnych jej obszarach, przeżywa w Polsce najgłębszy od lat kryzys. Polacy uczą się, że zamiast szukać kompromisu, lepiej stosować prawo pięści lub przerywać się pozwami. Co gorsza, te fatalne zjawiska młode pokolenia będą uważać za coś naturalnego, wręcz wzorowego. O ile polskie elity nie pójdą po rozum do głowy.

Od wielu lat w ostrym tempie przyrasta liczba prywatnych aktów oskarżenia za znieważenie i zniesławienie. Największy wzrost – prawie o sto procent w stosunku rocznym – odnotowano w roku 2021. Rocznie z art. 195 i 212 Kodeksu karnego skazywanych jest kilkaset osób.

Z każdej statystyki można wysnuć różne wnioski. Optymista mógłby rzec, że oto coraz większa jest świadomość prawna Polaków, którzy nie dadzą sobie w kaszę dmuchać. Pesymista stwierdziłby pewnie, że Internet służy przede wszystkim do oczerniania i obrażania. A realista? Realista zastanowiłby się nad powodami takiego stanu rzeczy.

Jeszcze sto lat temu dla szanujących się ludzi prawo karne nie było koniecznym narzędziem, by utrzymywać normy społeczne. Pewne czyny i słowa pociągały za sobą wykluczenie z pewnych kręgów, co było znacznie dotkliwsze niż grzywna. Kiedy normy społeczne przestają mieć charakter powszechnie obowiązujący, to zamiast poczucia przyzwoitości wkraczają sankcje prawne. Z jednej strony brutalny język staje się – dosłownie – synonimem języka parlamentarnego, a z drugiej rośnie zachęta do zwykłego pieniactwa. Bo oprócz tych kilkuset skazań rocznie kolejne kilkaset spraw kończy się odrzuceniem oskarżenia.

Zapewne wiele z tych spraw mogłoby się zakończyć polubownie. Jednak umiejętność dialogu także staje się coraz rzadsza. Do dialogu zniechęcają nas politycy, dowodząc, że liczy się siłowe przepychanie swoich racji. „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie” – jak cytował za aktem fundacyjnym Akademii Zamojskiej ksiądz Staszic.

No właśnie, jakie państwo zbuduje nam pokolenie wychowane w duchu pogardy dla dialogu?

Jeszcze sto lat temu dla szanujących się ludzi prawo karne nie było koniecznym narzędziem, by utrzymywać normy społeczne. Pewne czyny i słowa pociągały za sobą wykluczenie z pewnych kręgów, co było znacznie dotkliwsze niż grzywna.

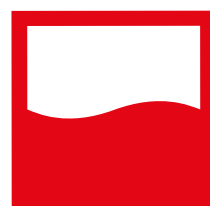


34 EDYCJA KONKURSU TERAZ POLSKA



www.konkursterazpolska.pl

NA NAJLEPSZE
PRODUKTY
I USŁUGI



TERAZ POLSKA

BLACHY PRUSZYŃSKI



RAZEM
BUDUJEMY POLSKĘ

www.pruszynski.com.pl

